W WIEKU NERWOWYM: POWIEŚĆ ORYGINALA : W DWÓCH...

Leo Belmont

W WIEKU NERWOWYM.

Powieść oryginalna

w dwóch częściach.

W dal się miotasz z każdą chwilką,
Rozpaczliwy czyniąc gest...
Ucz się szczęście chwytać tylko:
Ono zawsze blisko jest!

Goethe.

Skarżysz się na ducha męki,
Upadając w próżni toń,
A nerwowym ruchem ręki,
Sam odtrącasz szczęścia dłoń!

Leo Belmont.

Wydanie drugie.

WARSZAWA.

NAKŁAD

Księgarni E. Wende i S-ka.

1900.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава 12 Ноября 1899 года.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Nakoniec o godzinie piątej z rana, po całonocnej nużącej podróży, odbytej w niezbyt miłem towarzystwie, w wagonie klasy trzeciej, usłyszałem głos konduktora, wywołujący nazwę pożądanej dla mnie stacyi. Oprócz mnie wysiadły tutaj tylko trzy, czy cztery osoby, stanowiące, zdaje się, jedną rodzinę. Łatwo tedy zrozumieć, jakiego zamięszania stałem się powodem, kiedy z peronu przez salę wyszedłem na przeciwną stronę stacyi, na podjazd. W jednej chwili z głośnym turkotem podjechało kilka bryczek, a następnie pomiędzy Ickami i Maćkami powstała żywa kłótnia, podczas której Maćkowie dowodzili mi, że szelmy-żydy „resiorów" nie mają, a Ickowie nawzajem przysięgali się, że chrześciańskie konie chodzą, jak „wipchane ze słomą". Skorzystałem

z tak ożywionej konkurencyi, która wywołała silną zniżkę i wybrałem nakoniec jakiegoś taniego Maćka. W chwilę potem koń jego, jakkolwiek, według zapewnień współzawodników, słomą wypchany, dosyć szparko ciągnął mnie i mój kuferek po równej szosie.

Począłem rozglądać się dokoła. Słońce już było wzeszło, ale znajdowało się po za osłoną z mgły. Powoli jednak rozrzedzała się ona i promienna białość letniego poranku roztaczała się w powietrzu. Na polach opadały również tumany, zdala wyglądające, jak powierzchnia jeziora. Natomiast złociły się kołysane lekkim wiatrem morza żółtych kłosów; tu i owdzie, na wzgórzach i płaszczyznach, rozciągały się w kształcie barwnych dywanów, pasy zielonego grochu, białej gryki, lnu, końskiego zęba i t. p. Brzegiem szosy szły czasem czarne, świeżo zorane pola, gdy po drugiej stronie połyskiwała młoda pszenica, albo nizki jeszcze jęczmień pokazywał niedojrzałe swoje wąsy. Gdzieniegdzie znów ciągnął się olbrzymi pas łąki, na której pasło się w różnych miejscach kilkadziesiąt sztuk bydła. Ledwie odrosły od ziemi chłopiec, w rozpiętej koszuli, boso, z kijem dwa razy większym od niego, uwijał się przy jednej z takich gromadek. Kiedyśmy przejeżdżali, jakaś krowa odwróciła głowę i obdarzyła nas długiem spojrzeniem, poczem znowu z filozoficznym spokojem gryzła trawę. Bardziej skłonne do

wzruszeń cielę zaryczało na nasz widok. Gdzieindziej znów koń, który ze spętanemi nogami przywlókł się do rowu przy szosie, zarżał, ujrzawszy ciągnącego nas towarzysza. Gdzieś znowu z łąki nadbiegł czarny kudłaty pies i z głośnem szczekaniem odprowadził nas kawałek drogi; zabiegł w prawo i w lewo od bryczki, podskakiwał przed naszym koniem i ujadał, nie troszcząc się o chrypkę. To nic, pomyślałem, przypomniawszy sobie mimowoli zdanie poety: „kiedy pies szczeka, biegnąc za nami, to dowód, że poruszamy się naprzód".

Istotnie poruszałem się naprzód: płynąłem przez atmosferę kwietnej woni i ptaszęcych śpiewów. Jakaś błogość przepełniała mi duszę. Tu więc, na łonie natury, miałem spędzić trzy miesiące wakacyj: samotny, z książką w ręku, — takem postanowił! Rozgoryczony uciekłem z miasta. Odetchnąłem nakoniec po męczących studyach egzaminacyjnych czwartego kursu medycyny. Skończył się szereg bezsennych nocy i dni, spędzanych na „kuciu", skończył szczęśliwie. Mogłem porzucić rozpalone mury Warszawy, ulice, których, duszne powietrze truło mnie, domy, które dachami swojemi pocięły niebo na wązkie pasy i ukradły oczom mieszczuchów wspaniały widok szerokiej błękitnej przestrzeni. O, jakże mi zbrzydł gwar, kurz i brud tego miasta. Nie miałem tu krewnych. Wogóle los nie obdarzył mnie

wielką ich ilością, czego nie mam mu zresztą za złe: wystarczali mi zupełnie dwaj stryjowie, którzy niegdyś obdarzali mnie do zbytku złotemi radami, zachęcali do pracy, przypominali o obowiązkach względem rodziny, ale, wzbogaciwszy się na jakiejś spekulacyi, zapomnieli o mnie i o mojej matce. O mnie — to mniejsza, mogłem sobie zawsze dać radę, ale cóżbym zrobił z matką, gdyby nie przypomniała sobie jej moja ciotka, a starsza jej siostra? Byliśmy bowiem w bardzo smutnem położeniu. Ojca straciłem prawie u wrót życia. Drobna emeryturka po nim, jako po urzędniku jednej z instytucyj rządowych, musiała wystarczyć mnie i matce. Później lekcye, po których uganiałem się do późnej nocy, były główną podstawą naszego utrzymania. Pomagałem matce, jak mogłem.

Obecnie starowinka — cierpienia moralne i fizyczne uczyniły ją starszą, niż lata — mieszkała w ciepłym zakątku ziemi podolskiej, w mająteczku siostry, wdowy po obywatelu ziemskim. Nie było tam zbytku, ale było dostatnio.

Ciotka wzywała mnie na wakacye do siebie, ale przeprosiwszy ją listownie, odmówiłem.

Miałem oddawna wcale inny plan przepędzenia wakacyj. Za uciułaną z ostatnich lekcyj niezgorszą sumkę, postanowiłem sam pojechać na wilegiaturę. Dlaczego sam? Bo przyjaciół nie miałem. Kiedyś zresztą był jeden, ale ten mnie oduczył od zawiązywania przyjacielskich węzłów!

Ambitny, kapryśny, porywczy, dumny, chciał mi przewodzić na każdym kroku. Cała nasza przyjaźń polegała tylko na wzajemnem łechtaniu miłości własnej. Kiedy zbrzydło mi to schlebianie słabostkom, ta wzajemna wymiana pochwał wyciąłem mu pewnego razu parę słów prawdy; oburzył się, nazwał mnie „zuchwalcem" i, zapomniawszy o kilkoletniej przyjaźni, w ciągu tygodnia bryzgał na mnie pianą szyderstw wobec kolegów szkolnych: wszystkie moje tajemnice ujrzały nagle światło dzienne. Rozeszliśmy się. Ten pierwszy bolesny zawód nie pozostał bez wpływu na mnie: stałem się podejrzliwym względem ludzi, w uniwersytecie nie zawiązałem żadnych ściślejszych stosunków. Koledzy nazywali mnie rozmaicie: odludkiem i dumnym, waryatem i poetą. To ostatnie przezwisko zawdzięczałem kilku rymowanym utworom, które ukazały się w czasopismach, podpisane początkowemi literami mego imienia i nazwiska. Nie wiem, jak wyszperano, że ja byłem ich autorem.

„Towarzystw" znałem nie wiele. Miałem wstęp do kilku domów, do których zachwyceni postępami syna rodzice nie wahali się zaprosić biednego studenta korepetytora w progi pańskiego salonu. Ale ja sam zazwyczaj kryłem swój wytarty mundurek w jakimś kącie lub za fałdami firanki.

Zresztą, towarzystwa wogóle pociągały mnie

nader mało. Jednostajny konwenansowy pokost; powszedniość myśli i uczuć, brak jakiejkolwiek poważniejszej treści, jednem słowem wszystko to, co zwie się filisterstwem, banalnością, pustotą, po krótkim czasie obrzydzało mi „towarzyskie stosunki”. Pod tym względem byłem nawet po części dziwakiem.

Raz tylko w tym bezimiennym tłumie znalazłem punkt przyciągania dla wszystkich sił mojej umysłowości, uczucia i woli.

Spotkałem istotę, którą na pierwszy rzut oka wziąłem za różną od wszystkich innych, za słońce pośród chmur, za białego gołębia wśród szarych wróbli... Ta jedna — ale po cóż o niej mówić? Jeszcze w tej chwili, gdy bryczka przejeżdżała koło tej topoli, mignęło mi za nią — to dziwne, — coś nakształt jasnej sukienki.

Rany serca nie zabliźniają się nigdy; od czasu do czasu odzywaja się cichem westchnieniem, tęsknotą, wspomnieniem. Pytamy wówczas jak głupcy: dlaczego nie stało się inaczej? a wiatr unosi to pytanie, lub zegar śród ciszy odpowiada monotonnem tykaniem.

Tak więc, w całym tym labiryncie ulic i domów wielkiego miasta, ani jednego węzła, coby przyciągnął duszę, ani jednego ogniwa, coby ją przykuło. Ha, więc dalejże w świat! na łono natury, z ulubionymi poetami, ze skarbami wiedzy i myśli w kuferku! Tak dawno już nie czytałem

nic, prócz tych jednostajnych kursów medycznych. Teraz to sobie powetuję!

Ileż to książek zabrałem! duchowy zapas na całe wakacye! Dopieroż to nerwy się uspokoją, serce odżyje, umysł wykąpie się w krynicach mądrości!.. A czytać będę zawsze na świeżem powietrzu, w ustronnem miejscu, w lesie. .

— Słuchajcie, daleko to jeszcze do miasteczka?

Woźnica wskazał biczem na południo-wschód.

— A hen, ta wieża, co tak łyscy od słońca, to już je Niemirowski kościołek.

— A czy lasek blizko miasteczka?

— Miasteczko ma lasek tyla co pod pachą.

— Ładny?

— Hm... może i ładny. Kto go tam wie. Drew dużo. Na wiele zimów starcy. Już i kolejniki z jednej strony rombiom.

— A miasteczko czy duże?

— Phiii! niema o cem i gadać...

— Co? takie małe?

Tu chłop nagłym ruchem ściągnął konia, wstrzymał bryczkę, obrócił się ku mnie na koźle i prawie szeptem rzekł:

— Ja, panie, widziałem Warsiawę.

Surowa, poorana zmarszczkami twarz ułożyła się do uśmiechu; usta rozszerzyły się i ukazały dwa rzędy nierównych żółtych zębów.

Po chwili znowu siedział odwrócony do mnie

tyłem, zaciął konia, a gdy bryczka potoczyła się z fantazyą, dodał z dumą:

— Ho, ho, panie, człek nie jedno już widział! Co mi ta Niemirówka!?

— A pocoście wy jeździli do Warszawy?

— Po co? Ja som nie jeździłem, ino mi kazali pojechać. Jo byłem świadkiem, jak Jan Kopytko percesował brata za to, że go pobił. Ale Mateus miał racyjom! Ja im to mówiłem w Warsiawie: bił — pedam — to prawda, ale bił na swoim gruncie, a Jan psychodził na jego grunt z papirkami, z urzędnikami i chciał za te siedemdziesiąt rublów jego ziemię wziąć. Ale w Warsiawie, to przez obrazy pańskiej, ludzie mądre niby som, ale rozumu ta nijakiego nie majom. Ziemię kazali oddać Janowi, a Mateusa jesce wsadzili do hareśtu — i tyla. Chciałem ja im powiedzieć, ze oni Boga w dusy nie mają, że Jan to kondel, ale mnie taki strach wziun, nie rozumianem nic, co te panowie gadali, i jak mi dali trzynaście złotówek na drogę za świadkowanie, takem ucik z sali — i tyla!

Nastąpiło długie milczenie. Obydwaj widocznie pogrążyliśmy się w dumaniu.

— Czy w Niemirówce dużo letników t. j. gości na lato? — spytałem po pewnym czasie.

— Bywa tego dosyć, bywa — ale tera więcej. Pan japtykarz mówi, że coraz więcej będzie, że to jak Warsiawiacy dowiedzą się, proszę panicza,

że tu takie dobre powietrze, takie ładne wokolice, a wsyćko tak tanio, to się zlecą jak stado gęsiów, a wtedy dopieru wszyćko będzie drogie... Tak pan japtykarz mówi, a jak pan japtykarz mówi, to tak musi być. Ho, ho, to mądra szelma ten pan japtykarz! Panicz go pewnikiem pozna. On tu zaraz blizko mieszka.

Wjeżdżaliśmy właśnie do miasteczka. Ulica, obstawiona dwoma rzędami wyniosłych topoli, była tylko dalszym ciągiem szosy. Z obu stron stały niewielkie murowane domki. Spód ich ukrywał się za krzakami akacyj i kląbami kwiatów, gdyż wszystkie prawie miały od frontu małe ogródki, oddzielone od ulicy parkanami.

Była to pryncypalna ulica, wcale pięknie przedstawiająca się oczom. W tej części, jak dowiedziałem się później, mieszkała arystokracja miasteczka, oraz letnicy.

Ale tylko część głównej ulicy miała tak ponętny wygląd. Niebawem fizyognomia jej zmieniła się i przybrała wyraz jednostajny już na całej przestrzeni—wyraz semicki. Topole znikły, zamiast szosy ukazał się nierówny zanieczyszczony bruk. Po obu stronach mnóstwo szyldów mówiło o zawartości zamkniętych jeszcze sklepów. Domy były drewniane, barwy niepewnej.

Miasteczko jeszcze spało.

Woźnica zatrzymał konia przed jednym z rzadkich w tej dzielnicy murowanych domków.

Nad drzwiami widniał pompatyczny napis: Hotel Europejski.

Po kształcącem cierpliwość długiem dzwonieniu, otworzył mi nareszcie sam gospodarz z twarzą widocznie zaspaną, w zielonym szlafroku, ale, rzecz dziwna, w krawacie na szyi; chciał widać czemśkolwiek okazać gościowi uszanowanie. Po wniesieniu rzeczy, odprawiłem woźnicę i zażądałem czegoś do jedzenia.

— Pan dobrodziej kawki? — pytał nadskakująco gospodarz, zacierając ręce.

— Niech będzie kawa.

— Tak, ale to dopiero za jakie półgodzinki. Trzeba zrobić na maszynce.

— No to może herbata?

— Herbatka? za maleńki kwadransik. Zaraz zarządzę. Ten hultaj Józef jeszcze się ubiera. Może tymczasem pan dobrodziej wódeczki?

— Proszę... słodkiej...

— Słodziuteczka. Bierzemy z Warszawy. Co to za wódka! — mówił, nalewając.

— Nie mógłbyś pan znaleźć mi jakiego faktora, który wyszukałby mi mieszkanie, co?

— Pan dobrodziej, za pozwoleniem, letnik?

— Tak, i dziś jeszcze chciałbym znaleźć się we własnem mieszkaniu. Mówiono mi, że faktor prędko wyszuka, co?

— O, to można, można... każę przywołać Jankla. On panu znajdzie jakie uczciwe, porzą-

dne mieszkanko. Tylko trzeba z nim ostrożnie, bo szelma żydek kuty na wszystkie boki.

Podczas kiedy piłem herbatę i zajadałem ciastka, stawił się i Jankiel. Był to wyrostek o twarzy semickiej, podługowatej, oliwkowego koloru. Duże piwne jego oczy, trochę ukośne, zdawały się obejmować więcej, niż jakiekolwiek inne oczy, a spoglądały nader bystro.

— Pan dobrodziej mnie potrzebował?

— Tak... ale nie myślałem, że tak wcześnie... Gospodarz się pośpieszył. Teraz jeszcze za rano, aby coś zrobić... Jeszcze niema ósmej...

— Lepiej wcześnie, jak późno. Daleko lepiej wcześnie. Ja później mogłem wychodzić na miasto i pan dobrodziej by mnie nie znalazł...

— Ale Jankiel mógł się wyspać jeszcze troszeczkę.

— Co to wyspać? Ja nigdy nie śpię...

— Jakto? Co Jankiel gada?!

— Tak, daję pana słowo honoru. Ja sobie tak jedno oko zamykam, a drugiem widzę i myślę. Żona za mnie śpi i dzieci.

— Taki młody, a ma już żonę i dzieci.

— Młody, dla żonę widać nie jestem młody, kiedy una ma dzieci?

— Słuchaj-no pan, panie Jankiel!

— Ja po to właśnie przyszedłem.

— Musisz mi znaleść mieszkanko.

— Kiedy?.. ile pokojów?.. pan sam, czy kto

jeszcze będzie przyjechać?.. ma być tanie? ładne? z jedzeniem i obsługiem, czy bez?..

— Jeden pokój dla mnie samego, tani, ładny z jedzeniem i obsługą; o faktorne bądźcie spokojni.

— Będzie wszystko. Jankiel ma głowę na szyje.

Już o godzinie dwunastej, kiedym wrócił z przechadzki po mieście, przyjrzawszy się nędznym sklepom, brudnym dzieciom, płynącej tuż po za miasteczkiem rzece, kościołkowi na wzgórzu etc. —zjawił się Jankiel z twarzą rozpromienioną.

— Wiborny pokój... umeblowanie fajn... jedzenie znane w mieście... obsługa wiborowa. Jest ogródek przed dom, i co pewnie pan dobrodziej lubi, z pańskiego okna wiglądacz będzie las i pole. Cena przestępna...

— Istotnie, istotnie, cena przystępna — zadecydowałem, gdy Jankiel ją wymienił.—Pójdźmy teraz te cuda zobaczyć.

Jankiel poprowadził mnie ku pryncypalnej części miasta. Po drodze jąłem go wypytywać o szczegóły, ale byłem roztargniony; więcej myślałem o swem przyszłem życiu w tem miejscu, niż o jego odpowiedziach. Chwytałem je też raczej uchem, niż myślą.

— A u kogo to jest to mieszkanie?

— U jednej damy. Una wynajmuje pokój...

— Czy to wdowa?

— Jak pan dobrodziej chce, to una jest tak, jak wdowa. Jej mąż to miał być uczony człowiek. Ale teraz to jego wielga uczoność jest mniej warta, niż fałszywy rubel. Fałszywy rubel można dać, jak prawdziwy, a jego rozum nie można dać w taki sposób, bo un siedzi w szpitalu...

— A ona sama mieszka?

— Una nie sama. U niej jest córka. Cy... cy... cy... co to za córka!.. pięknoszcz... Pan dobrodziej będzie kontent z mieszkania... tylko, że una, gadają, jest także niby trochę chora... Ten ojciec... to una go bardzo kochała...

Tu przerwał i, wyciągając rękę, rzekł:

— Ny, widzi pan, tamten domek to pani Olszewskiej. Mi tam idziemy. Co, czy nie fajn? Przechodzi się przez ogródek... Tędy... Teraz trzeba zadzwoniuć.. Ja poczekam tutaj...

II.

Otworzyła mi kobieta wysoka, w popielatej sukni, w czarnym długim fartuchu, spiętym na piersi. Twarz zwyczajna, cokolwiek zapadnięta na policzkach, włosy gładko przyczesane, nos

gruby, ale regularny, oczy o powiekach, zlekka i często drgających, usta szerokie o wargach mięsistych, jednem słowem pospolitość, wynagradzana zaledwie pewną miłą pogodą, rozlaną na obliczu.

Wprowadziła mnie do małego saloniku, umeblowanego trochę ciężko, po małomiasteczkowemu: widoczny był tu pewien wysiłek skromności, chcącej udawać zbytek. Ciężkie fotele i krzesła, pokryte spłowiałą materyą, stół mahoniowy, okrągły, na nim lampa z figurą, oraz parę albumów; dalej, wsunięty w kąt stary fortepian i komoda przykryta szydełkowej roboty serwetką; na niej zegar, a wkoło niego kilka ozdobnych drobiazgów: figurki, muszle, flakoniki; na ścianach wreszcie parę krajobrazów.

Po wejściu do salonu, pani Olszewska, zanim prosiła mnie usiąść, zwróciła się do młodej panienki, siedzącej przy oknie i rzekła:

— Cezaryno... pan Jerzy Rymsza, który życzy sobie być naszym lokatorem.

— To moja córka — dodała, zwracając się do mnie.

Na mój pełny szacunku ukłon, młoda panienka podniosła oczy z nad jakiegoś haftu, nad którym pracowały jej palce; zmierzyła mnie długiem spojrzeniem, poczem, kiwnąwszy mi poważnie główką, znowu oczy opuściła na haft i tak już pozostała zajętą przez cały ciąg mojej rozmowy z matką.

Ale tych parę sekund starczyło. Dojrzałem twarzyczkę podłużną, chudą, olśniewająco białą, a pod wysokiem, bladem czołem, tuż przy pociętych niebieskiemi żyłkami skroniach, w cieniu ciemnych włosów, dwoje czarnych błyszczących, jak dyamenty, oczu... Gdy mnie zmierzyła spojrzeniem, gdy podnosiła i opuszczała pyszne długie rzęsy, zadrżałem i zmięszałem się. Silna wrażliwość na piękność kobiecą była zdawna moją słabą stroną. Nie wiedziałam już dobrze, com odpowiadał jej matce, bo moje oczy ciągle błądziły w stronę, zkąd wyszło tamte spojrzenie. Chciałem koniecznie ujrzeć je po raz drugi, niecierpliwiłem się, że wzrok jej skierowany był niezmiennie ku dołowi, na ten nieznośny haft, który odrazu zaczął mi się niepodobać. Tymczasem zaś przyjrzałem się ukradkiem, o ile to było możebnem, jej drobnej główce, ciemnym włosom, profilowi dziwnej, marmurowo bladej twarzy, greckiemu nosowi, zgrabnie wyciętemu podbródkowi, oraz bezkrwistym, nerwowo-drżącym wargom. Sprawiała na mnie wrażenie posążku, rzeźbionego najdelikatniejszem dłutem. Niestety! nie wolno mi było podziwiać tego posągu, wpatrywać się weń uparcie, bo tuż, obok, jej matka indagowała mnie szeregiem nieznośnych pytań. Zgadzałem się na wszystko i co chwilę musiałem odwoływać nierozważne „nie" lub „tak".

— Zapewne za panem przyjedzie jaki drugi kolega, by zamieszkać razem. Panowie lubicie towarzystwo, zamieszkujecie zawsze we dwóch, lub we trzech.

— Tak... lubimy towarzystwo... ja także... Ale nie, ja będę mieszkał sam... kolega może później odwiedzi mnie... zresztą nie wiem...

— Więc jeżeli pan życzy sobie stołować się u mnie, to w takim razie pan staluje tylko jeden obiad... Pan zapewne jada trzy razy dziennie?..

— Tak jest... trzy obiady... To jest trzy razy — poprawiłem się, starając się uśmiechnąć z własnego roztargnienia.

— Czy to panu wystarczy? Bo studenci zwykle jadają więcej. Szanowny pan zapewne student?

— A jakże, jadamy więcej... ja jestem student... na medycynie, obecnie na piątym kursie — dokończyłem szybko, nie wiedząc, czemu się tak szczegółowo legitymuję.

— Więc cztery razy dziennie?

— Cztery... co cztery? wybaczy pani.

— Cztery, czy trzy razy dziennie zechce pan jadać?

— Sądzę, że trzy razy wystarczy, najzupełniej wystarczy. Po egzaminach niema się sił, aby tyle jeść. Zresztą świeże powietrze, to także pokarm. Więc starczy trzy razy... Zresztą bę-

dzie można cztery razy. Apetyt rośnie na świeżem powietrzu...

Mówiłem, aby gadać. Czułem, że trzeba być rozmownym, ale po chwili zapomniałem o tem, wpatrując się w rysy tej posągowej twarzyczki, która tam, pod oknem, pochyliła się nad haftem i nie zdradzała najmniejszego zainteresowania się naszą rozmową.

— Pan zapewne na wakacye?

— Aha...

— Cokolwiek wypocząć po egzaminach?

— Aha...

— Podreperować zdrowie?

— Aha... (Boże, jakaż ona blada... jaka niezwykle piękna twarz!..).

— Pan dobrodziej może mocno cierpiący?

— Aha... gdzie tam?... ja cierpiący?.. Ależ pani! Zdrów jak ryba!.. trochę nerwowy jestem... niewypoczęty po podróży... Pani wybaczy, że tak jej dziwnie odpowiadam... nie wyspałem się... w wagonie ani zamknąć oka...

Zmięszanie moje, które czułem dobrze, w jeszcze większy wprawiało mnie kłopot.

— No, tutaj pan sobie wypocznie. Tutaj jest bardzo pięknie.

— A, tak... bardzo pięknie... widziałem...

— Jest tu piękny park, gęsty las, dębowy, sosnowy...

— Widziałem.

— O! pan już był w lesie?

— W lesie?!. Gdzietam?! widziałem zdaleka... (Nieba, co za rzęsy!.. jakie piękne!.. pyszne rzęsy...).

— A jak się panu miasteczko podobało?

— Pyszne, pani, pyszne!..

— Co, miasteczko?!.. E, niech pan nie żartuje... Ale istotnie część wjazdowa nader ładna...

— Pani mówi o miasteczku?.. Naturalnie, że myślałem tylko o części wjazdowej...

Służąca weszła i przyniosła klucz:

— Proszę pani, a dyć leżał w sypialnym pokoju, w toalecie; pani go tam przez umysłu musiała zanieść...

Pani Olszewska wstała; wstałem i ja.

— Pokażę panu teraz jego nowe mieszkanie. Nie śmiem przesądzać, czy się panu spodoba.

Postanowiłem już był zdecydować się na chlew, oborę, kojec, cokolwiekbądź wreszcie, byle w tym domu.

Pani Olszewska otworzyła drzwi salonu i prosiła mnie, abym zechciał przejść pierwszy do sąsiedniego pokoju.

— Oto i pański pokój. Nie obawiaj się pan, że będziesz zmuszony przechodzić przez moje pokoje i salon. Niewygody tej niema. Do pokoju pańskiego jest osobne wejście z podwórza. Salon pozostaje właściwie zawsze zamknię-

ty, nikt więc nie będzie panu przeszkadzał. Jakże się panu tu podoba? Czy cena nie wydaje się mu zbyt wygórowaną? Pytam pana o to, bo dotąd pokoju tego nikomu nie wynajmowałam, a proszę mi wierzyć, nie chciałabym być zbyt wymagającą gospodynią. Zastosowałam cenę do innych letnich mieszkań w Niemirówce.

— Ależ, pani łaskawa — odparłem, ździwiony tym osobliwym sposobem umawiania się o cenę — na warunki jej z przyjemnością przystaję. Pokój jest, w całem tago słowa znaczeniu, ładny; sądzę, że można tu z zupełnem zadowoleniem zamieszkać.

Nie wiem, czemu piersi jej podniosły się ciężkiem westchnieniem, gdy odpowiedziała na moje słowa:

— O, tak!..

Pokój był szeroki, wytapetowany niebiesko, dwa okna od ogródka wyglądały rzeczywiście, jak zapowiedział Jankiel, na las i pola; naprzeciwko bowiem, w tem miejscu ulicy, zamiast murowanych domków, jak gdzieindziej, znajdował się nizki parkan, odsłaniający szeroki horyzont. Trzecie okno wychodziło na wązkie podwórko. Umeblowanie składało się z okrągłego stołu w pośrodku, z paru krzeseł, biureczka pomiędzy dwoma oknami, umywalki, komódki po prawej stronie od drzwi wejściowych i wprost niej stojącego żelaznego łóżka, w danej chwili próżnego. Nad komodą wisiał portret jakiegoś mężczyzny.

— Sądzę, że będzie tu panu wygodnie.

— Może pani być tego jak najpewniejsza... Natychmiast udaję się do hotelu i przy pomocy człowieka sprowadzam rzeczy...

— Każę panu posłać łóżko.

— Poduszki i kołdrę mam...

— Dobrze. A więc do miłego widzenia. Jeżeli pan życzy sobie wyjść, to od podwórka ma pan bliżej. Ja wracam do siebie. Do widzenia z panem!.. Obiad przyślę o drugiej.

I, lekko kiwnąwszy mi głową, zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając mnie w pokoju mocno niezadowolonego, że nie udało mi się zabrać znajomości z jej piękną córką.

Zły przeszedłem się parę razy wzdłuż i wszerz po mojem mieszkaniu, potem nacisnąłem gnieciona w ręku czapkę na głowę i przez furtkę od podwórza wyszedłem na ulicę, aby udać się do hotelu.

Przedtem jednak parę kroków zawróciłem w stronę przeciwną. Chciałem *ją* zobaczyć w oknie. Napróżno; nieznośne liście drzewka, rosnącego w niewłaściwem miejscu ogródka, zakrywały ją przed moim wzrokiem; po przez liście zaledwie udało mi się dostrzedz czarną sukienkę, i parękroć mignęła mi olśniewająca białość jej twarzy.

III.

„Summa niedoli społecznej pozostaje zawsze jednakową. Złe nie daje się wyleczyć, zmienia tylko formę".

— Uf! jakże ten Spencer przy całej swojej głębokości bywa czasem nieznośny — zawołałem.— „Podatki, płynące z pełnych kieszeni na szkółki, usuwające ciemnotę, są tylko nową równoważną tej ciemnocie formą zła"!.. Dosyć mi tej socyologii na dzisiaj!

Gniewnym ruchem odrzuciłem książkę, a odgarnąwszy parę szyszek na bok, położyłem sobie ręce pod głowę i począłem w leżącej pozycyi rozglądać się na wszystkie strony.

Las był piękny. Dokoła mnie uszykowały się gęsto żółte pnie sosen, przedziwnie smukłe, coraz to bardziej zwężające się od podstawy ku górze. Na nich, jak na wysokich palach baldachimu, spoczywała gruba zielona warstwa igieł, gdzieniegdzie tylko przerwana szeroką, niżej zazwyczaj leżącą, smugą liści jakiegoś dębczaka. Po przez różnokształtne otwory w tej zielonej warstwie widziałem niebieskie płatki lazuru lub białe pasma obłoczków. Czasem wiatr się zry-

wał i z szumem kołysał zielonemi wierzchołkami drzew. Wówczas nakrycie baldachimu stawało się ruchomem, otwory zmieniały dziwacznie a szybko swoje kształty i tu widziałem chwilowo szersze, tam znów węższe kawałki nieba... Czasem do tego poważnego szumu przyłączało się świegotanie ptaka, na które natychmiast drugi jakiś głos odpowiadał: zapukał dzięcioł, zakukała kukułka, albo zakrakała wrona... Potem znowu cisza...

Wciągałem z rozkoszą świeże żywiczne powietrze lasu i nasłuchiwałem w tej ciszy. Ale niebawem coś mi zaczęło przeszkadzać. Zamknąłem oczy i zobaczyłem przed sobą wyraźnie dwoje czarnych, dyamentowych oczu, dziwnie uroczo odbijających od olśniewająco białej twarzy...

— Do dyabła!—mruczałem—przecieżem się w niej nie zakochał! Nie jestem skłonny do zakochania się w pierwszej lepszej prowincyonalnej gąsce... Gąsce? jednak coś mi mówi, że to nie gąska... twarz ma nadto myślącą i oczy... Ah, te oczy!.. wlazły mi w głowę od samego rana!.. Przy obiedzie widziałem je na dnie mego talerza; może dla tego, że zupa była czarna, jagodowa .. W każdym razie obiad był porządny... ta Olszewska daje uczciwie jeść... Zaczyna mi się tutaj coraz bardziej podobać... mieszkanie ładne, las wspaniały, miejscowość śliczna... no! i dziewczę — niczego...

Zawszeć to odświeża... Lubię ten rodzaj panien... A gdybym się tak w niej trochę podkochał?.. nie bardzo, broń Boże!.. zresztą czy ja nawet potrafię kiedy tak kochać, jak kochałem tamtę?... Ale ta — ma jeszcze piękniejsze oczy; przysięgnę, że nie widziałem nigdy drugiej takiej pary oczu. W samych oczach na śmierć się zakochałem! Co ja gadam, do dyabła!.. To mnie zaczyna już gniewać... bredzę!.. Przyznaję, że wywarła na mnie wrażenie: twarz ma niezwykle interesującą, ale nawet nie tak ładną... chuda, za blada... Przecudnie blada!.. Jednak ztąd nie wynika, aby miała mi ciągle stać przed oczyma... ja tego nie chcę, nie chcę i nie chcę!.. Należy mieć bardzo pustą głowę, aby myśl swoją przydłużej zatrzymać na kobiecie, kiedy się już raz sparzyło w bengalskim ogniu miłości!..

Ostatnią sentencyę wyrzekłszy głośno, podniosłem się zniecierpliwiony, wziąłem książkę pod pachę i poszedłem, kiereszując kijem po drodze gęsto rosnącą paproć. Z trudnością udało mi się odpędzić natrętny obraz i zastąpić go innemi myślami. Gniewało mnie, że ta dziewczyna, którą widziałem zaledwie parę minut, przywłaszczyła sobie panowanie nad moją wyobraźnią. Zresztą byłem pewny, że ten chwilowy zachwyt przejdzie, jak przeszło tyle innych od czasu, kiedym oduczył się kochać!..

Zmęczony parogodzinnem wałęsaniem się,

wróciłem do domu i położyłem się spać. Ale w nocy zdarzył mi się dziwaczny wypadek. Kiedy, zbudziwszy się z jakiegoś niemiłego snu, otworzyłem oczy i odwróciłem się na łóżku... nagle zadrżałem cały i cofnąłem głowę tak silnie w tył, żem się uderzył o ścianę. Ten portret, tam, naprzeciwko wiszący nad komodą, wyraźnie spoglądał na mnie żółto-fioletowo błyszczącemi oczyma. Opanowawszy wreszcie przerażenie, wstałem i doszedłem doń; pomacałem oczy, przyjrzałem się im, zapaliwszy światło, i po długich badaniach rozśmiałem się serdecznie. Zagadka się wyjaśniła: oczy nasycone były chemicznie roztworem fosforu, błyszczały więc zawsze w nocnych ciemnościach. Postanowiwszy nazajutrz zbadać, ktoby był autorem tego pomysłu, odwróciłem się od błyszczących oczu i resztę nocy przespałem spokojnie.

Nazajutrz przyjrzałem się bliżej portretowi. Wydało mi się, żem widział u kogoś podobne rysy, ale żadną miarą nie mogłem sobie przypomnieć u kogo.

Twarz była męzka, podłużna, o wyrazie szlachetnym. Nad szerokiem czołem rozwiewały się niedbałe gęste włosy. Oczy, przy blasku dziennym, naturalne, wyraźnie nosiły cechę zamyślenia; nos regularny, długi, usta drobne, o dolnej wardze, wyciętej zgrabnie, odemkniętej trochę, co fizyognomiści uważają za cechę wymowności.

— Gdyby nie te waryackie oczy, świecące po nocy, nie przyjrzałbym się może temu portretowi. A twarz oryginalna, warta widzenia. Kto to może być? Może to jaki krewny Olszewskiej — mruczałem, wychodząc z domu.

Pytanie to wkrótce przestało mnie zajmować, gdyż uwagę moją zwróciły gromadki letników, złożone z panów w drelichowych ubiorach, pań i panienek, przybranych w jasne lekkie materye. Sama pospolitość! ani jednej ładnej lub chociażby oryginalnej twarzy. Wszystko to, głośno śmiejąc się i paplając, szło szeroką aleją, na której końcu widniały żelazne kraty i kamienna, ozdobiona dwiema figurkami brama.

Miałem pierwotnie zamiar udać się do lasu, ale popęd naśladowniczy wziął górę. Zawróciłem w przeciwną stronę i podążyłem za letnikami do parku. Byłem przygotowany, że ujrzę powszedni ogród, równe aleje, zwykłe klomby, słowem naturę, musztrowaną ręką ogrodnika, czego wysoco nie lubiłem. Dlatego to wczoraj nie poszedłem do parku, a do lasu; nie śpieszyłem się z obejrzeniem jeszcze jednego egzemplarza tego, co tylekroć już widziałem.

Ale tym razem omyliłem się. Park był uroczą mieszaniną przyrody i sztuki. Na wspaniałym fundamencie natury budowała tu niegdyś ręka człowieka: przecinała ścieżki, wznosiła baryery, podmurowywała wyniosłości; później jed-

nak park pozostawiono znowu samemu sobie, zaniedbano go, zapuszczono; skutkiem czego powróciła częściowo pierwotna dzikość i obecnie zdawała się prowadzić zaciętą walkę ze śladami wykwintnej pracy ludzkiej. Widziałeś niby cygankę, która, długi czas przebywszy w siedlisku ciwilizacyi, uciekła zeń do swoich dzikich towarzyszy i znowu powracała do stanu natury.

Z wciąż rosnącym podziwem przebiegałem aleje parku. Jedne były gładkie, czyste, utworzone przez drzewa, na których widoczne były dotąd ślady strzyżenia; inne nierówne, porosłe trawą, ze sklepieniami z plączących się gałęzi. Aleje wiły się wężowato, szły to w dół, to w górę; nieraz dolna ścieżka biegła równolegle z górną, a kiedym stąpał górną, trzymając się baryery, aby nie upaść, nie mogłem niekiedy dojrzeć dolnej, ukrytej wpośród gęstych kasztanów, dębów i lip o pniach, których pięciu ludzi nie mogłoby objąć. Drzewa te z dołu wyciągały swoje ramiona i tu i owdzie kładły mi swoje gałązki pod stopy. Po nadpsutych marmurowych stopniach zbiegłem w jednem miejscu na dół i wówczas znalazłem się na dolnej ścieżce, nad rzeką; ztąd znowu górnej ścieżki nie można było dojrzeć; widziałem tylko ścianę wzgórza, zarosłą gęsto zielenią i gdzieniegdzie podmurowaną olbrzymiemi bryłami kamienia. Jak dowiedziałem się

później, były to zewnętrzne ściany podziemnych kurytarzy, zbudowanych przez książąt C., posiadaczy tej miejscowości; obecnie wejścia do tych podziemi były zamurowane...

Zapuściłem się w jakąś cienistą aleję, rzuciłem się na kamienną ławkę i puściłem wodze marzeniu. Było tu zupełnie cicho; nikt z letników nie zaszedł w tę stronę... Samotność, cisza, piękna natura—niewiem czemu—budziły we mnie zawsze jakąś pół bolesną, pół-przyjemną tęsknotę.

Czułem się tak drobnym ułamkiem świata i życia.. Fala istnienia niosła mnie niewiadomo zkąd, niewiadomo dokąd... niosła w odosobnieniu od innych... Nie zostawię na niej żadnego śladu... pochłonie mnie na zawsze... Gdybyż w piersi zbudziła się jaka szeroka nemiętność! Ona tę nudną, długą sekundę istnienia zamienić może w krótką, rozkoszną wieczność!..

Zdjęła mnie chęć napisania czegoś... jakiegoś wierszyka, przedstawiającego park i mnie, marzącego w nim. Ale zamiast ołówka wyjąłem zegarek i przekonałem się, że obiad mój musiał już dobrze wystygnąć.

Po obiedzie postanowiłem tu wrócić z poezyami w ręku. Istotnie powróciłem, przyniosłem ze sobą Byrona, kajet i ołówek i — przespałem się parę godzin na świeżem powietrzu. Zbudziłem się w dobrym humorze.

IV.

— Cóż? pan z przechadzki? — zapytała pani Olszewska wieczorem, widząc mnie powracającego i idącego przez podwórko wzdłuż ogródka.

Otworzyłem furtkę i wszedłem do stojącej tuż przy parkanie ogrodowej altanki, w której obok matki siedziała córka. Nie widziałem jej przez cały dzień i nie pomyślałem o niej, zda się, ani razu w tym przeciągu czasu. Mrok wieczorny okrywał jej twarz.

— Dobry wieczór paniom.

— Dobry wieczór. Proszę, niech pan siada. Widzę, że pan nóg nie żałuje.

— Owszem. Wobec ofiarowanego mi przez panią miejsca, uczuwam nad niemi głęboką litość.

Usiadłem.

— Jak się panu las wydał?

— Wspaniały, pani. Z całą ochotą przeniósłbym go do Warszawy, do mojego pokoju.

— O, taki mały chyba nie jest!

— Ale mój pokój taki duży, proszę pani.

— Żartowniś z pana. A park pan widział?

— Rajski, pani... prawdziwie rajski. Edenu sobie inaczej nie wyobrażam.

— E, pan wszystko chwalisz... i doprawdy

nie wiem, czy panu mam wierzyć. Mogęż pana zapytać, czy mu obiady smakowały? Wprawdzie dotąd zaledwie dwa...

— Pani dobrodziejko, bez przesady znakomite... Zdaje mi się, że próżne talerze, zaniesione do kuchni, były najlepszą recenzyą.

— No, a jakże się panu w nowem mieszkaniu spało? Bo to podobno ma być przepowiednią na przyszłość.

— Ah, prawda, to było arcy-ciekawe! Zaraz panią przekonam, że nie wszystko bez wyjątku chwalę... Pozwolą mi panie opowiedzieć historyczny wypadek tej nocy.

Postanowiłem w komiczno-malowniczych barwach przedstawić nocne wydarzenie. Chciałem rozśmieszyć Cezarynę i wciągnąć ją do rozmowy; dotąd bowiem nie wtrąciła się do niej ani jednem słówkiem. Moje wczorajsze zajęcie się jej osobą powróciło na nowo.

— Wyobraźcie sobie, panie... Noc zapadła... Zasypiam... Kołysze mnie do snu melodyjne sykanie świerszczy, poukrywanych w kątach mego pokoju, oraz szczekanie psów, na falach zefirów napływające z oddali... Mrok powoli napełnia mój pokój. Księżyc — a! prawda, księżyca nie było — księżyc tedy nie zaglądał do pokoju. Noc była bezksiężycowa, ponura...

— O, pan tak ładnie opowiada, jak w romansie — rzekła pani Olszewska. — Ciekawam, co było dalej.

— Dalej?.. wzrok mój nagle padł na przeciwległą ścianę. Nieba! Ktoś utkwił we mnie dwoje szalonych, potępieńczych oczu.. Chcę...

Nagły, spazmatyczny wybuch płaczu nie dał mi dokończyć

— To był mój ojciec! — zawołał łkający głos i Cezaryna wybiegła z altany.

Teraz dopiero opowiadanie Jankla przyszło mi do głowy. Byłem zły na siebie i zmieszany, nie wiedziałem, co począć.

— Biedne dziecko! — westchnęła pani Olszewska — pójdę ją uspokoić. Poczekaj Pan chwilkę, zaraz wrócę. Wytłomaczę mu wszystko. Przepraszam.

Zostałem sam w ciemnej altanie z przykrem uczuciem, iż mimowoli zadrasnąłem czułe miejsce w sercu tego dziecka.

— Otóż i jestem — rzekła, wchodząc pani Olszewska — biedaczka położyła się i płacze. Ah, panie, panie, jakie my nieszczęśliwe! Nie wiem, za co nas Bóg tak ciężko karze... zwłaszcza to biedne dziecko, które nikomu nic złego nie uczyniło... Ale po co ja to panu mówię? Co to jego obchodzi...

— Ależ pani, mów, mów, proszę. To ci ulży. Bądź pewną, że znajdziesz słuchacza, który cię zrozumie i odczuje. Od pierwszej chwili los pań zainteresował mnie mocno... nie śmiałem tylko pytać.

Takem jej powiedział, gdyż wydało mi się to w tej chwili istotną prawdą.

— A więc dobrze... słuchaj pan... potrzebuję mówić, mam pełne serce. Tak, to mi ulży... Jeżeli cię znudzę, nie gniewaj się pan na kobietę, która nie ma przed kim wygadać swej boleści, bo przed własną córką nie może, gdyż nie chce tej biednej córki jeszcze bardziej rozdrażniać... A zresztą ona cierpi jeszcze więcej, niż ja... Ja cierpię bardziej nad tem, że ona... Ale pan jeszcze nic nie rozumiesz... A ja nie wiem, jak mam mówić, jak zacząć... Otóż wiedz pan, że mąż mój od dwóch lat już stracił zmysły, a od półtora roku znajduje się w szpitalu obłąkanych. Musiałam go tam oddać...

Zatrzymała się. Słyszałem, jak ciężko odetchnęła, poczem mówiła dalej. Zdawało się, że snuje sama przed sobą tragiczną nić swego życia, że tylko pozornie zwraca się do mnie. Nie przerywałem jej wcale. Opowieść jej sprawiała na mnie bolesne wrażenie, niekiedy dreszcz mnie przechodził.

Czułem łzy w jej głosie. Może płynęły także po twarzy — nie widziałem: było zbyt ciemno. W ciemności tej obok mnie szumiał żywy zdrój cierpień; wsłuchiwałem się w ten szum i milczałem.

— Co to był za człowiek! co to był za mąż! co za ojciec!.. Od dwudziestego ósmego

roku życia był profesorem chemii i fizyki. Nie żałował sił, pracował ciągle. Pokażę panu jego dzieła. Pokażę panu krytyki miejscowe i zagraniczne... przekonasz się pan, jak chwalą jego obszerną wiedzę, jego głęboki rozum... Ah, mój Antoś śmiał się zawsze, że ja te „świstki“ chowam. Śmiał się, mówił: „co ci z tych krytyk — tu masz mnie i widzisz, że mi rozumu nie brak, skoro sobie taką żonę wybrałem”. Mój Boże, co to był za rozum!..

Nazywał mnie swoją starszą córką... pieścił mnie. A ja, nawzajem, nazywałam go swojem starszem dzieckiem. Cezaryna była młodszem. Tak, to było dwoje dzieci. Cały dzień przy książce, razem... On ją uczył, on jej wszystko tłómaczył... Ja byłam za głupia do tego, ja tego nie rozumiem. Ale ja, jak matka, myślałam o nich, bo zapominali przy książce o jedzeniu. Ile to było śmiechu, kiedy wołałam ich cały kwadrans na obiad, bo ciągle mówili „zaraz”, a żadne się nie ruszało; ile udanych gniewów z mojej strony...

Ale czego też on jej nie nauczył, mój Boże! Profesorowie u mnie bywali, dziwili się. Sam mówił, że takiej uczonej dziewczyny, „gruntownie uczonej”, choć sto mil przejechać dokoła, nigdzie nie znajdzie... A ona ma dopiero osiemnaście lat!.. Mój Boże, ja w porównaniu z nią nie wiem nic, co w tym szerokim świecie książkowym się dzieje...

Ale pana dziwi zapewne, czemu mnie, taką prostą, wziął taki uczony człowiek. Zaraz to panu wytłómaczę. Jego familia jest bardzo niezdrową... Nerwowi tacy wszyscy... Brat umarł w konwulsyach — mój mąż nie lubił o tem mówić; matka cherlała, cherlała i poszła za nim; dzieckiem jeszcze będąc, umarła mu siostra; ojciec parę razy podobno dostał ataku obłąkania— o tem mąż mój raz tylko zlekka napomknął, ale ja od ludzi słyszałam.

Pamiętam, byłam jeszcze panną — byłam córką ogrodnika — uczyłam się trochę, chodziłam na pensyę, ale więcej znałam się na ogrodzie... Później dopiero przy nim nabyłam ogłady, nauczyłam się mówić... ah, bo on mówił!.. niemowa przy nim stałby się wymownym!..

Otóż wówczas, pomnę, mąż mój, jako kawaler — to było na krótko przed ślubem — rzekł do mnie: „mój ojciec pragnął mieć rozumną żonę, ja pragnę mieć zdrową, mój ojciec pragnął mieć wykształcone dzieci, ja pragnę mieć — nie głupie, o nie! — ale chcę, aby przedewszystkiem były zdrowe. Mój ojciec owdowiał prędko; ty, Ludwiko, będziesz mnie pielęgnowała — musisz to zrobić, kiedyś się zdecydowała mnie kochać. Mojego ojca dzieci były nerwowe; dwoje umarło wcześnie, ja jakoś dochowałem się. Ty mi dasz zdrowe, pełne życia. No, no, nie rumień się...“ (A ja, panie, zarumieniłam się mocno; pierwszy

raz ktoś przy mnie tak mówił — i przytem do mnie; ztąd te słowa tak długo zostały mi w pamięci).

— „Dosyć na świecie nerwowych! — mawiał często — trzeba powstać przeciw tej chorobie wieku, przez którą karłowacieją pokolenia. Nie mamy zdrowych matek, a będą nam jeszcze męzkie ręce potrzebne! Wara nerwowym łączyć się z nerwowymi! ztąd nasze marne pokolenie robaków, po których, kto chce, bezkarnie chodzi i depce nogami".

Tak, panie to był nietylko profesor, to był dzielny obywatel i najzacniejszy mąż: nigdy różnica naszego wykształcenia nie była dlań powodem, aby mnie w czemkolwiek uraził. Żartobliwie tylko czynił mi wyrzuty, grożąc palcem: a widzisz, dziewucha twoja nie taka, jak należy. Chude to, mizerne, delikatne, nerwowe, jakieś kurczątko, do matki niepodobne. Jeżeli wziąłem cię za żonę, to dla tego, ze chciałem mieć dzieci do ciebie, a nie do mnie podobne... rozumiesz?" A kiedy mu robiłam wyrzuty, że zapomina o swoich poglądach, że z Cezaryną (to on ją tak nazwał) zbytnio przesiaduje nad książką, odpowiadał: „to moja natura! ona to sama lubi! Nie mieszaj się do nas, bo my jeden umysł, jedne nerwy, jedna krew!"

— Ale cóż ty chcesz z niej uczynić? — pytałam — uczoną, co? Katedry nie zajmie.

— Będzie ze mną dzieła pisywała. Będziesz? — pytał dziewczyny. — Będę tato — odpowiadało dwunastoletnie dziecko. — Będziem rozlewali trochę wiedzy po tym kraju, który tak światła się boi... Boi się światła? — zwracał się ku niej. Boi się — odpowiadało dziecko. — A ty się boisz?...

Pamiętam, jakby to bylo dziś, że Cezarynka odrzekła: „Tato, ja się boję ciemnoty!“ — podbiegła doń i zarzuciła mu rączki na szyję: „tato, ja chcę być tak rozumną, jak ty“.

Teraz pan rozumiesz, jak się te dwie dusze związały razem przy wspólnej pracy. Wykładał jej historyę, literaturę, fizykę i chemię — pomagała mu w jego laboratoryum, z niecierpliwością oczekiwała jego powrotu z lekcyi. Wtem, przed laty trzema, mąż mój musiał z katedry ustąpić... z przyczyn od niego niezależnych.

To był pierwszy cios w naszem pożyciu. On to rozstroił i tak słabe jego zdrowie. Wówczas tutaj, w Niemirówce, mąż mój kupił ten mały domek z ogródkiem warzywnym i owocowym... zadłużył się przytem mocno; dziś jeszcze z hypoteką na tym domu nie mogę trafić do ładu. Ale nie o tem mam mówić... Ja zajęłam się ogródkiem, a on począł tu pisywać dzieła; zazwyczaj dyktował córce. Zajmował pokój, w którym pan mieszkasz obecnie. Zapomniałam panu powiedzieć, że umiał malować bardzo pięknie i tu wła-

śnie zrobił swój własny portret... była to jego rozrywka.

Otóż pamiętam, że w owym czasie wielokrotnie przychodziła do mnie Cezaryna i mówiła blada i drżąca: „Mamo! jaki ojciec stał się niecierpliwy. Czasem, kiedy dyktuje, targa się za włosy i dziwnie patrzy na mnie. Ja nie wiem, co to jest, ale ja się ojca boję“.

I razu pewnego, wyobraź pan sobie, siedzimy przy stole, ja mu nalewam rosół, aż tu on nagle wstaje, uderza pięścią w stół i, wskazując Cezarynę, zmienionym głosem pyta: „Kto to jest; ja jej nie znam!

Cezaryna zatrzęsła się, jak w febrze; wargi jej pobladły. Mnie słabo się zrobiło; talerz wypadł mi z ręki i rosół zalał obrus.

— Antoś! co ci jest? — wołam. — A ty kto? zapytał, wpatrując się we mnie obłąkanemi oczyma. Nastąpił atak omdlenia, gorączki, który ciągnął się godzin parę. Po ataku nie pamiętał nic. Odtąd my, biedne kobiety, żyłyśmy w ciągłym strachu, na krok nie odchodziłyśmy od niego. Raz o mało całego domu wraz z nami nie wysadził w powietrze. Jakąś wybuchową materyę rzucał już do ognia, gdy mu ją Cezaryna, znająca się trochę na chemii, wytrąciła z ręki. Śmiał się wówczas okropnie, szalenie, i wołał, że mogliśmy wyprzedzić ziemię o parę dni w jej biegu koło słońca. Odtąd jego szaleństwa stawały się co-

raz częstszemi: raz dorobił sobie właśnie owe fosforyczne oczy, o których zapomniałam pana uprzedzić: mówił, że musi w nocy również widzieć, kiedy śpi, że jego portret stoi wówczas na straży...

Ale na cóż wyliczać te okropne pomysły?! Katastrofa była nieuniknioną: musiałyśmy go odwieźć do szpitala. My, dwie kobiety, żona i córka, oszukałyśmy go, że wieziemy go na bal, do miasta.

Sądzisz pan, że Cezaryna uroniła chociażby jedną łzę. Włożyła na jego rozkaz białą, balową suknię, aby go zwieść tem łacniej, i blada, zaciąwszy wargi, jechała przez kilka godzin. Mąż mój spał...

Tak było w wagonie... toż samo powtórzyło się w powozie... Suchem okiem patrzyła, kiedy go zabrano. Widziałam tylko, jak mocno przyciskała go przedtem do piersi; on nic nie rozumiał! nie poznał nawet lekarza, który wyszedł na jego spotkanie. A gdy ujrzała, że furtkę za nim zamknięto, z dzikim akcentem, lecz sucho krzyknęła na stangreta: „napowrót!“ Potem znowu milcząca rozpacz w wagonie; ja rozpływałam się w cichych łzach.

Za powrotem dopiero nocą dostała spazmów i tak przespazmowała formalnie tydzień cały.

Potem... ja uspokoiłam się znacznie; wzięłam się do pracy: z pracą jakoś zawsze lżej.

Wynajęłam przeciwną połowę mieszkania jakiejś rodzinie niemieckiej, a sama zabrałam się do pielęgnowania ogródka: ztąd mam trochę owoców, trochę warzywa na sprzedaż. Ale drobne te zyski nie wystarczały: trzeba i szpital za męża opłacać i hypotekę oczyścić cokolwiek i samym żyć jako tako. Nie było innej rady: wzięłam się do... gotowania i gotuję ze służącą obiady i kolacye dla letników i rozsyłam je na miasto. W lecie to mi zabiera wszystek wolny czas, który chciałabym spędzić przy córce, bo ona... bo ona, panie, nie uspokoiła się wcale. Całemi dniami siaduje przy oknie i niby to haftuje... Ale widzę ja, że robota nie posuwa się wcale naprzód, i czasami uważam, jak drżą jej wargi, jak ciężko wzdycha, a często, kiedy oczy na mnie podniesie, dostrzegam na jej rzęsach wiszącą łzę... Rankami miewa oczy czerwone; snać płacze po nocach... Nie śmiem z nią mówić... nie śmiem jej pytać... Proszę, by co czytała: „Nie mogę, mamo, on ze mną czytał!“... Proszę, by wyszła: „Nie mogę, mamo, sił nie mam sama... a mama zajęta“.

I tak siedzi i siedzi — a ja, matka, patrzeć muszę, jak ją boleść trawi powoli... Radź pan, co zrobić z tem dzieckiem, bo to moje jedyne szczęście! jak wlać w nią trochę życia! zbudzić choć jeden uśmiech!... Co czynić, co czynić?!“

Poczułem, jak w ciemności wyciągnęły się ku mnie jej ręce. Byłem mocno wzruszony; łzy

napływały mi gwałtem do oczu, walczyłem z niemi, wstydząc się mojej słabości. Kiedy ta nieszczęśliwa matka zwróciła się do mnie z swojem rozpaczliwem błaganiem, wydało mi się, że w mocy mojej jest bardzo wiele. Schwyciłem oburącz jednę z wyciągniętych ku mnie dłoni i zawołałem, ściskając ją z całej siły:

— Przysięgam, że córkę pani wyleczyć muszę! Pozwól mi do niej się zbliżyć! Użyję wszelakich sposobów. Mówisz pani, że lubi czytać. Będę jej czytał... będę z nią się uczył... Będę robił wszystko, co tylko możliwe, ażeby wyrwać ją z tej apatyi... Ona będzie się znowu śmiała... zobaczysz pani.

— Czyń pan, co uznasz za stosowne... proszę pana bardzo... Ja ludzi sądzę z pierwszego wrażenia; do pana odrazu powzięłam jakieś zaufanie. Jeżeli ci się uda, zasłużysz na dozgonną wdzięczność nieszczęśliwej matki.

I odeszła; a ja pozostałam na tem samem miejscu, w długich rozmyślaniach. Cały arsenał środków leczniczych przeciw chorobom nerwowym przesuwał się w mojej pamięci. Odrzucałem jeden po drugim. Medycyna była bezsilną w walce z potężnem uczuciem tej dziewczyny. Stałem wobec tragicznej, głębokiej boleści, a nie wobec zwykłego rozdrażnienia nerwów. Postanowiłem więc puścić w ruch wszelkie sprężyny psychicznego wpływu... to był jedyny środek!...

— Ja tę dziewczynę powrócę życiu! — była to oś wszystkich marzeń moich owej nocy...

V.

Nazajutrz, kiedy lekkie kroki i szelest sukni upewniły mnie, że siadła, jak zwykle, przy sąsiedniem oknie w salonie, umieściłem się jak najbliżej mojego okna i, „nastroiwszy“ głos, począłem czytać. Wybrałem umyślnie rzewny i podniosły wiersz Konopnickiej: „Senne róże, białe róże“ a melodya słów, podniesiona melodyą tonu — starałem się bardzo w owej chwili — płynęła oknem do ogródka, zakręcała i wpadała w otwarte okna salonu.

. . . .

Duch, co tęskni, duch, co płacze,
W tę majową noc,
W ściany klatki swej kołacze,
Więzów targa moc.
Myśl o gwiazdy srebrne trąca,
Lecąc w inny świat,
Pierś otwiera się milcząca,
Jak wieczorny kwiat...

Szczęścia, szczęścia, choć na chwilę,
Przelotną śród burz,
Co skrzydełka ma motyle,
Znika z brzaskiem zórz,

Choćby tyle, ile rosy
W polnym kwiecie drży,
Ziemio, wiosno, wy niebiosy,
Szczęścia dajcie mi!

Głos tęsknoty echo budzi
W sennych liściach drzew...
Cicho... ciszej... niech snu ludzi
Nie zakłóca śpiew.
Mgła się wije po lazurze,
Ja na fletni gram...
Senne róże, białe róże
Dobrej nocy wam!...

Zamilkłem i zacząłem nasłuchiwać, Niebawem też ku wielkiej mojej radości, świeży, dźwięczny, chociaż trochę melancholijny głos wleciał przez okno:

— Czyje to, panie Rymsza?

W tejże chwili siedziałem na oknie, i przechyliwszy się tak, aby panna Cezaryna była dla mnie widzialną przez sąsiednie okno, odrzekłem:

— To Konopnickiej. Prawda, że piękne?

— To muzyka... Ale czemu poetka pragnie tylko tyle szczęścia, ile rosy w kielichu polnym?

— Chcesz, pani, zapewne powiedzieć, że kiedy pragnąć, to więcej; inna rzecz posiadać.

— Nie, panie, ale myślę, że szczęścia mierzyć nie można. Albo się jest szczęśliwym, albo nie. Kiedy mogę sobie powiedzieć: „ztąd dotąd

jestem szczęśliwa", to już nią nie jestem. Szczęście musi być nieskończonem, nieograniczonem, jako przestrzeń. Tyle, ile w polnym kielichu. — to inaczej nic. Inna rzecz z czasem: można pożądać chwileczki motylej, ale taka chwilka będzie małą wiecznością...

Umilkła.

— Zna pani utwory Konopnickiej bliżej?

— Mało. Czytywałam je w pismach peryodycznych. Ale dusza poetki jest mi wielce sympatyczną. Jest w niej coś buntowniczego, prometeuszowego...

— Na małą skalę.

— Dlaczego na małą? Czy aby buntować się, trzeba być Byronem?

Widocznie gorączkowała się. Tego mi było potrzeba. Podjąłem dyskusyę.

— Nie, ale dlatego, że pani Konopnicka nie zajmuje jasnego stanowiska w walce, ani nie zdaje sobie sprawy z tego, czem jest ów Bóg, którego wyzywa. To miota się na niego za „łzy nieotarte", to znowu wchodzi z nim w kompromis.

— Nielitościwy z pana człowiek. Wymagasz pan konsekwentnego wobec świata stanowiska, na którem—przebacz pan moją śmiałość—może sam nie stoisz; zapominasz o naturalnem wahaniu się duszy, popadającej naprzemian w wiarę i zwątpienie.

— Ale dlaczego to — spytała — poetkę, którą tak krytykujesz, wybrałeś pan do zawiązania rozmowy?

Otwartość ta zdziwiła mnie, ale i rozgniewała cokolwiek.

— Ja!.. dla zawiązania rozmowy... zacząłem czytać? Wybaczy pani, ale może w tym celu wybrałbym jakiś oryginalniejszy środek, a nie taki zużyty.

Zażenowała się mocno.

— Wybacz pan... nie myślałam nic złego... Wiem, że matka musiała panu o mnie mówić... Ale bo i czemu czytałeś pan tak głośno?.. Dla siebie?..

— Dla siebie, pani. Ja bardzo lubię wiersze.

— Tak... to prawda... ale nie gniewaj się pan... w pańskim głosie było coś takiego... Pan wybaczy, ale wydaje mi się, że tak, jak pan czytałeś, czyta się dla innych...

To delikatne, ale uporczywe obstawanie przy swojem ubawiło mnie. Podziwiałem jej intuicyę.

— A więc przyznam się pani. Tak jest! czytałem dla niej, dla zawiązania rozmowy. Muszę się rumienić, gdyż kłamałem, wypierając się tego. Ale pani... czemu wszczęłaś rozmowę, wiedząc o tem.

— Bo.. bo zapomniałam się... Już naprzód postanowiłam nie mówić — ale to było takie ładne — chciałam wiedzieć, czyje...

I naiwnie podniosła swoje wspaniałe rzęsy— i znów w głębi salonu dojrzałem dwoje czarnych, jak dyament, oczu.

— No, to pozwoli pani, że przeczytam jej jeszcze cokolwiek. Oto epiczny kawałek, w którym nasza liryczna poetka wznosi się do szczytu siły i piękności słowa...

— Słucham... Tylko czy panu tak wygodnie?.. Niby ja tu, w salonie... a pan...

— A ja tu, na oknie, w moim pokoju. Zupełnie wygodnie. Słyszy pani wszystko?

Przysunęła się bliżej do okna.

— Teraz usłyszę doskonale.

Zadeklamowałem „Sclavus saltans".

Rzymski magnat oprowadza przyjaciół swoich po piwnicy i pokazuje im kupionych świeżo na targu niewolników. Widzą oni strasznego Numidę, który pozornie spokojny leży na zgniłej słomie, skuty łańcuchem, ale, zda się, za chwilę zerwie się, wyprostuje swój tors bronzowy, pokruszy kajdany i Romę obali! — widzą Greka o artystycznych kształtach ciała, który, niewolą złamany, resztki mocy ducha w bezpłodnych łzach zatraca...

Wtem z boku nuta wesoła dolata:
To Sclavus saltans, słowianin wpółdziki...
Wszędy mu dobrze i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki.

Z młodzieńczej wierzby naciąwszy gałęzi,
Uczynił sobie grające narzędzie.
Skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi.
Och, niewolnikiem ten był, jest i — będzie!

Podczas deklamacyi parę razy rzuciłem okiem na Cezarynę. Po ruchu warg jej, które zdawały się powtarzać moje słowa, poznałem, że nader żywy udział przyjmowała w tem, co czytałem. Oczy jej naprzemian iskrzyły się i posępniały.

— Jakże się pani to podoba? — zapytałem, zamykając książkę.

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Cezaryna zamyślonemi oczyma poglądała w dal.

— Jak się pani to podoba? — zapytałem powtórnie.

— Jak się to podobać może?.. „I będzie“... „i będzie“... „i będzie“... — powtarzała, kiwając głową.

Przygryzłem wargi. Takem się już był przyzwyczaił do treści tego wiersza, który znałem oddawna, że w danej chwili myślałem jedynie o jego głębokiej artystycznej wartości. Panie, które słysząc, jakem deklamował go w salonie, mawiały: „ah, jaki pyszny wiersz!“ — przyzwyczaiły mnie jeszcze bardziej do traktowania go głównie z tej strony. I dopiero w owej chwili spostrzegłem pustotę tych pań, porównywając ich estetyczny wykrzyknik z tem wrażeniem, ja-

kie wywarła treść danego wiersza na Cezarynie; zdawało się, że na formę jego nie zwróciła w tej chwili żadnej uwagi... również i na moją deklamacyę.

Ta dziewczyna z każdą chwilą silniejsze na mnie sprawiała wrażenie. Ona wciąż jeszcze była zamyśloną.

— Panno Cezaryno! — przerwałem jej zadumę.

— Aah!!.. — wzdrygnęła się cała.

— Co pani?!

— Tak mnie pan przestraszył — rzekła, odejmując ręce od twarzy i patrząc na mnie wylęknionemi oczyma.

— Ja?.. ależ jak najciszej wyrzekłem pani imię... nic więcej! — broniłem się.

— Być może... ale mnie się zdawało, że mnie ktoś nagle szarpnął... i że upadam nizko, w przepaść...

— Pani musisz być bardzo nerwową.

— Troszkę — uśmiechnęła się smętnie — to podobno u panien modne. Ale pan, zdaje się, życzyłeś sobie czegoś odemnie.

— Ja... ja... chciałem właściwie zapytać, czy pani teraz dużo czytuje?

— Nie, panie... prawie nic...

— A to czemu?

— Jakby to panu powiedzieć... Wie pan, staruszki, gdy gubią swoje drogie okulary, prze-

stają czytać. Ja miałam także coś w rodzaju takich okularów. Czytywałam zawsze z ojcem; on mi wszystko objaśniał, tłómaczył... Teraz, jak biorę książkę, to mi się chce płakać... Że też ja to panu wszystko mówię...

— Słucham... mów pani, mów... wierzaj, że cię nie wyśmieję.

— Otóż teraz nie mam nikogo, ktoby dzielił się ze mną czytaną myślą, ktoby mi wszystko tak barwnie i jasno tłómaczył... A zresztą, zdaje mi się, że, czytując, spełniłabym przestępstwo względem niego... On mnie nazywał żartobliwie kolegą!!

Czuć było łzy w jej głosie.

— Teraz on czytać nie może — ciągnęła dalej — on, co książkę tak kochał! nazywał ją swoim wagonem, którym świat objeżdża, okrętem, którym podróżuje po morzu, balonem, którym puszcza się w powietrze, wreszcie promieniem światła, po którym wędruje na gwiazdy... To jego wyrażenia własne... I ja miałabym teraz sama czytać... sama używać tego duchowego chleba... i to jeszcze z tych książek, które on czytał, które były w jego rękach.

— Ależ pani, pani! żadnego w tem egoizmu niema. Przeciwnie, jest to występek wobec natury pozostawiać swój umysł odłogiem, zamykać mózg przed wiedzą, wstrzymywać piękny rozwój swoich zdolności... No, powiedz pani, sama, rozsądnie... wybacz, że ośmielam się tak mówić....

— Nie szkodzi.., słucham...

— Otóż powiedz pani rozsądnie: wszak dlatego, że ojciec pani nieszczęśliwym sposobem, najwidoczniej zaś na skutek pracy, stracił rozum, — wszakże nie chciałabyś dlatego być obłąkaną....

— Może — szepnęła — gdyby obłąkani rozumieli się nawzajem.

— W takim razie?..

— Zgodziłabym się, ażeby i mnie twardnieć począł mózg, jak mojemu ojcu, ażeby i mnie, jak jego zamknięto....

— Ależ... nie... bo... bo... nie wiem doprawdy, co mam na to odpowiedzieć....

— Rozumiem pana. Przed chwilą sądziłeś, że masz przed sobą osobę rozsądną, a teraz spostrzegasz, że głupstwa plotę... Dam panu radę. Mów pan o czem innem.

— Dobrze... o czem innem.

Jednym susem byłem za oknem mego pokoju. Stałem w ogrodzie i po przez okno salonu podawałem Cezarynie grubą, małego formatu, ozdobnie oprawioną książeczkę.

— A to co?

— To dla pani, do czytania. Nie chcesz czytać książek, które pozostawił ojciec. Proszę więc, zechciej pani, wziąć tę książkę odemnie. Zacznij pani tylko czytać, a z pewnością się nie oderwiesz. Jest to „Księga Pieśni" Heinego. Znasz pani tego autora?

— Nie, panie, nie znam, niestety... ale pozwól pan, przypomnę: coś o nim czytałam, czy słyszałam... A tak! w jakimś tygodniku był życiorys, czy wzmianka. Heine.... Heine.... to był, zdaje się, niemiecki poeta i... satyryk.

— Genialny poeta i genialny satyryk! — wykrzyknąłem z uwielbieniem.

— Genialny?... Nie śmiej się pan z mojej niewiedzy... ja go nie znam... po niemiecku tak mało czytam...

— Dobrze więc, że daję pani przekład... Później sama zechcesz poznać tę duszę w oryginale, bez obtłuczeń i naddatków....

— Ale pozwól pan, to podobno był człowiek bardzo lekkich zasad... Szczęśliwą mam pamięć... tak, tak, było tam napisane: „lekkich zasad i obyczajów"...

— Fałsz, pani, fałsz... paszkwile! — pośpieszyłem — wiem o tem najlepiej, gdyż jestem osobistym przyjacielem Heinego.

— Jakto?... alboż on?... — bała się dokończyć, aby nie strzelić głupstwa.

Uśmiechnąłem się.

— Uspokój się pani. Heine już dawno nie żyje i nie miał sposobności widzieć mnie, to też nie twierdziłem, że on był moim osobistym przyjacielem, ale ja — jego. Zresztą niewiele on sobie z tej przyjaźni mojej robi teraz w grobie.

Zdawało się, że nie zauważyła tego żartu.

Po zmarszczeniu czoła, widać było, że myśl jej nad czemś pracuje.

— Ah, — zawołała nagle — i mój ojciec raz o nim mówił! Jakżeż ja o tem zapomnieć mogłam. Wtedy, właśnie z powodu tej wzmianki w tygodniku — ztąd ją pewnie pamiętam — rzekł: Heine był to człowiek taki, że, gdyby go palono na stosie, on, jęcząc, szydziłby jeszcze z niezgrabnych ruchów kata, podkładającego drwa do ognia...

— To on, pani, to on — zawołałem — ojciec pani widać dobrze go rozumiał.

— Ah... rozumiał....

Rozmowa stawała się znowu drażliwą. Postanowiłem prędko zagłuszyć ten fatalny ton.

— Książka, którą pani daję, to nie satyry, to „księga pieśni" — księga miłości. Jakżeż mistrzowsko skreślone tu pierwsze drżenia miłosne w duszy młodzieńców... Jakież tu skarby uczuć!... Ziemia, niebo — zmienione w raj w oczach zakochanych... kwiaty, podsłuchujące ich tajemnice, gwiazdy, poglądające na siebie z uczuciem tęsknoty... A potem cała natura, kirem powleczona po stracie kochanki: blednące róże, słowiki, śpiewające smętne piosenki... I to nie płaczliwy, chorobliwy sentymentalizm, to tylko silne uczucie, obejmujące czystą, gorącą duszę... Widzimy, jak kołysze się ona na tęczy szczęścia, pośród wspaniałych czarów przyrody i jak potem spada w cie-

mną przepaść bezdennej rozpaczy... Widzimy, jak serce budzi się na nowo... A przytem tu i owdzie rzucona myśl głęboka, brylantowy żart, swawolny uśmiech lub ostre szyderstwo z samego siebie, maskujące ból, ukryty w piersi... To cała psychologia miłości!

— Miłość... to musi być wielkie uczucie — rzekła jakby do siebie, podnosząc do góry swoje cudne czarne oczy.

— Pani! to nieskończoność, to nieśmiertelność dwojga ludzi w przyszłości, to zaczarowane słowo, otwierające sezamy szczęścia, to — wszystko, zmieniejące resztę w nic, a nic czyniące wszystkiem, to ..

Zatrzymałem się; czułem, że się zbyt unoszę.

— To czasami tak — dokończyłem spokojnie — czasami zaś jest to zamknięcie życia w zaczarowanem kole bardzo nizkich popędów, to zacieśnienie swego bytu i zewnętrznego świata w wyperfumowanej rękawiczce jakiejś gąski, kokietującej byle kogo na balu...

Machnąłem ręką i, zmieniając ton, spytałem:

— A więc mogę liczyć, że rekomendacya moja nie pozostanie bez skutku?.. Żegnam panią w tej nadziei.... Pani powtarzam, że jestem osobistym przyjacielem....

— Dobrze... przeczytam i dziękuję.

Kiwnęła mi główką na pożegnanie.

— Czy pani nie gniewa się na mnie — zatrzymałem się jeszcze — żem jej zabrał tyle czasu?

— Jestem dziwnie szczera. Powiem panu prawdę. W pierwszej chwili nie chciałam rozpocząć rozmowy; potem myślałam ciągle, jakby ją przerwać. Ja tak odwykłam od rozmowy z ludźmi, tak przywiązałam się do moich myśli, tak lubię z niemi sama pozostawać, że nie powinno to pana dziwić. Ale w miarę, jak pan mówiłeś i we mnie powstawała potrzeba rozmowy: ja tak dawno nie rozmawiałam z nikim o tych wszystkich pięknych i wielkich rzeczach... Byłam panu wdzięczną, doprawdy.

Skłoniłem się.

— To pozwala mi mieć nadzieję, że nie odmówi mi pani i nadal przyjemności spędzania po kilka chwil dziennie w jej towarzystwie.

Zawahała się.

— Zechciej pani śmiało wypowiedzieć swoją myśl.

— Dobrze. Z przyjemnością będę rozmawiała z panem, ale... ale, proszę, pozostawiaj mnie pan czasem moim myślom, jeżeli mnie ujrzysz zadumaną; nie przerywaj mi wówczas rozmową, nawet przywitaniem... Ja tak kocham moje myśli: — ja słyszę dawne rozmowy, ja widzę dawne obrazy... To tak boli, kiedy je ktoś zamąci i wyrwie mnie z zapomnienia...

Skłoniłem głowę i oddaliłem się.

VI.

— Tak, to dziwna, to bardzo dziwna dziewczyna — mówiłem w parę dni potem do pani Olszewskiej. — Przyznam się pani, że dotąd córki jej dobrze nie pojmuję, ale już podziwiam rozległą na jej wiek wiedzę, wzniosłą jej duszę i szlachetne serce.

— Panie, a ja panu tak wdzięczna. Moja Cezarynka ma przynajmniej teraz z kim pogadać. Widuję ją jeszcze często zamyśloną; ale twarz ma mniej posępną i zdaje mi się, że jakby już i „o czemś innem" myśli. Dziękuję panu stokrotnie, dziękuję.

— Ależ za co mi pani dziękuje?.. Proszę mi wierzyć, że każda chwila, spędzona w towarzystwie córki pani jest mi wysoce przyjemną. Nie zamienię jej ani na chwile moich samotnych przechadzek po lesie lub parku, ani nawet na te, które spędzam przy książce.

— Jednak możeby pan w jakiemś towarzystwie?..

— W jakiem towarzystwie? Nie mam żadnego i z nikim nie mam zamiaru zaznajamiać się. Zrobiłem przegląd letników i letniczek; nie trafili mi do gustu bynajmniej.

— O, panie, będąc medykiem, tak nie można... Możebyś pan znalazł tutaj pacyentów...

— Nie mam zamiaru wysyłać nikogo na tamten świat, zanim otrzymam dyplom. Zapomina pani, że jestem dopiero studentem medycyny.

— E! student piątego kursu i doktór, to wszystko jedno.

— No, niezupełnie, proszę pani — uśmiechnąłem się.

— Już ja od pierwszej chwili tak na pana patrzyłam i nie przekona mnie pan. Powiadam panu, że gdybym była chora, leczyłabym się u pana.

— Dziękuję bardzo, ale nie radzę pani żałować, że nie jest pani w tym przypadku. Bardzo lichy ze mnie medyk; daleko lepszy byłbym w fachu amatora poezyi. Szkoda, że to taki niepopłatny fach... Musiałem obrać medycynę....

— Pan, widzę, bardzo praktyczny.

— Nadzwyczaj! Wiem dobrze, jak wydać pieniądze — trochę gorzej, jak je zdobyć... Ale, wracając do córki pani, daję słowo, że gdybym się nie bał naprzykrzyć pannie Cezarynie, przyszedłbym codzień, jak wczoraj, posiedział z nią w salonie, rozmawiał z nią i czytał.

— Oh, ona była taka kontenta!

— Czytałem jej Fausta.

— Tak, Fausta. Ja tam trochę z kuchni

słyszałam. Znam to z teatru. To ten, co z dyabłem się związał i tę Małgorzatę...

Zatrzymała się.

— Panie, to, zdaje się, trochę niemoralne... Małgorzata nie jest zaślubioną, a oni... Możeby to dla osiemnastoletniej panienki...

— Wypuszczam, łaskawa pani, wypuszczam — zapewniłem, uśmiechając się skrycie, a w oczach stanęła mi poważna minka Cezaryny, gdy rzekła do mnie wczoraj: „czytaj pan śmiało dalej. Wiem, co to jest skromność i szanuję ją, jak przystoi pannie i kobiecie, ale od fałszywego wstydu mój ojciec oduczył mnie".

— Byłbym jednak zdania — rozpocząłem po paru chwilach milczenia — że panna Cezaryna nie powinnaby siedzieć w domu tak nieustannie. Przechadzka po lesie ożywiłaby ją, jestem tego pewny; panna Cezaryna potrzebuje powietrza i ruchu; ta bladość, brak rumieńca u córki pani jest właśnie skutkiem siedzenia w dusznym pokoju... Ja z całą przyjemnością będę towarzyszył pannie Cezarynie.

— Tak, panie, to prawda, ale jak ją namówić. Tyle czasu proszę — siedzi.

— Niechże pani spróbuje. Niech pani jej włoży kapelusik na głowę. W takich razach trzeba prawie gwałtem działać na chorego. Niech pani powie, że czekam na nią przed progiem, że nie wejdę...

— Ale pan nie na żarty wziął się do opieki.

Czułem, że się zlekka zarumieniłem.

— Pani — rzekłem — panna Cezaryna jest pierwszą moją pacyentką; mam być lekarzem chcrób nerwowych...

— Aha, jednak zawód zwycięża...

— Wyjątek, proszę pani, wyjątek. W danym razie nie używam żadnych mikstur, ani pigułek. Chcę wypróbować moją własną metodę, psychiczną! Pierwszy uśmiech na ustach panny Cezaryny, pierwszy jakiś ruch jej, zmierzający ku przyszłości — to tryumf dla mojej metody. W imieniu tej metody wzywam panią!.. — zakończyłem patetycznie.

Pozostawiła mnie w ogrodzie przy świeżo wyrwanej główce kapusty, a sama weszła do wnętrza domu. Dziesięć minut kręciłem się po wązkiej alei, tracąc zwolna nadzieję. Nakoniec ujrzałem obie, idące naprzeciw mnie. Cezaryna, prócz zwykłej czarnej sukienki, miała tylko słomkowy kapelusz na główce, niebieską opasany wstążeczką.

— No, jest, pójdzie... ale mówiłam, jak Cycero... przy piecu tak się nie namorduję... Ileż to ona czasu biedaczka nie wyszła po za próg tego ogródka!...

Cezaryna była niezwykle blada; widocznem było, że dziś jest jeszcze mocniej rozdrażnioną, niż dni poprzednich. Podeszła ku mnie i, podniosłszy oczy, rzekła prosto:

— Ofiarowałeś się pan towarzyszyć nudnej, kapryśnej osobie. Służę panu. Mamo, do widzenia... do widzenia...

— Idź, idź, moje dziecko.

Pocałowały się.

Za parę chwil szliśmy już szeroką lipową aleją, brzegiem pola, zmierzając ku poblizkiemu dębowemu lasowi, którego przednie drzewa nachylały swoje gałęzie ponad żółtemi kłosami tuż obok rosnącego żyta.

Ona ciągle milczała... nie uważała piękności poranku. Natomiast ja odczuwałem ją w całej pełni; niedoznawana już dawno błogość napełniała mi duszę: czułem się świeżym, rzeźkim, nieledwie szczęśliwym... z prawdziwą ochotą, jak dzieciak, pobiegałbym teraz po polu, goniłbym się z tą dziewczyną, która szła obok mnie ciężkim krokiem, jakgdyby kulę galerniczą miała uwiązaną u nogi. Nie rozumiałem jej wcale w tej chwili; wydawała mi się ślepą i głuchą... A była tak piękną!.. Chciałem ją natchnąć mojemi uczuciami i z ust popłynęły mi takie słowa:

— Spójrz pani dokoła! poprzez mgliste szybki swojego mieszkania, ani nawet poprzez otwarte okna, nie widziałaś zdawna tyle zieleni, tyle drzew, tyle kwiecia... Cztery ściany dla młodej duszy — to grób; lubując się w takim grobie, ona sama cechy grobu przybierać poczyna... Koniec końców, staje się nieczułą, zamkniętą...

ani jej nikt, ani ona nikogo zrozumieć nie potrafi... Po za zasłoną swego smutku myślałaś pani, że życie ustało, że ziemia stała się zimną i bezkształtną bryłą, że słońce wschodzi z zastygłą źrenicą i, rzuciwszy ludziom kilka szyderczych spojrzeń, odchodzi z drugiej strony i w krwawej koszuli kładzie się do ciemnego grobu... Ależ nie!... na Boga!... spójrz pani: jakżeż nad nami lśni to kryształowe niebo!.. jak fantastycznie rozrzucają się te białe obłoki!.. jaka woń nadlatuje z tych pól, jaki czar wieje z tego lasu!.. Czyż może być na świecie coś piękniejszego nad niebo?! Ono, według biblijnej legendy, było jednem z pierwszych dzieł stworzenia... Jakże potężny byłto początek!.. Jakżeż godnem jego to wieczne, bujne, rozmaite życie, które, zwyciężając prawo śmierci i rozkładu, nawet na ruinach się rozwija...

— Oh, jakież to ładne maleństwa — przerwałem, widząc dwie białowłose dziewczynki z dzbanuszkami w ręku, które na tę pochwałę prędko umykać poczęły — dokąd to?! po jagody? co?.. poszły!...

— Tak, pani — zwróciłem się znowu do Cezaryny — wszystko rwie się naprzód, obraca, dąży... spójrz tylko...

I wyciągnąłem rękę przed siebie. Wzrok jej poszedł w kierunku mej ręki, w tę stronę, w którą biegły dziewczynki, potrząsając dzbanuszkami.

— Po ja-go-dy? wyskandowała sucho, odzywając się po raz pierwszy od wyjścia z domu.

Osłupiałem.

— Bo i po co to? — rzekła. — Pan sądzisz pewnie, że ja te długie tygodnie przed oknem spędzałam na bezmyślnem wpatrywaniu się w podłogę, lub na rozpamiętywaniu mej straty jedynie? O nie, panie, ja myślałam — dużo myślałam. Myślałam nad tem, po co właściwie ta ziemia obraca się z całą na niej istniejącą niedolą, po co biegnie ze słońcem wraz w przestrzeni po kilka tysięcy mil na godzinę, kiedy tu, czy tam, nigdzie jęk nasz nie sięga wrót nieba; po co człowiek śmieje się, płacze, pije, je i w końcu zawsze umiera... po co, i po co, i po co?

To mówiąc, nerwowo załamywała dłonie.

— A teraz panu powiem, po co. Wiem już, własną myślą doszłam zagadki.

Przeczekała i po chwili rzekła głuchym głosem:

— Po... nic!

Otworzyłem usta, chcąc zaprzeczyć.

— Po nic! nie przekonasz mnie pan. Przyszliśmy na świat, jakby złośliwą ręką wyrzuceni na bezludną wyspę. Natura dla nas specyalnie się nie stroiła, specyalnych celów dla nas nie wymyślała. Jak rozbitek, zaczęliśmy się rozglądać, bośmy żyli i przez inercyą chcieli żyć dalej. Szukaliśmy jadła... o każdy kęs chleba walczyli

z nieubłaganą naturą. Praca nie była błogosławieństwem ale potrzebą, a z czasem dla wielu stała się przekleństwem... Żyjemy, nie wiedzieć po co... żyjemy, bo żyjemy — oto cel!

Jak trująca woń, dotknęły mnie te słowa... Usłyszeć wyrazy pesymizmu z ust ośmnastoletniej dziewczyny nie było dla mnie zupełną nowością. Ale dotychczas zawsze odkrywałem w nich pozę, niezgrabne naśladownictwo, powtórzenie książkowego frazesu, wreszcie kaprys złego humoru, po którym następował wybuch pustego śmiechu. Tu było wcale co innego: dowodziły tego i ton mowy i cała postać mówiącej. Pesymizm Cezaryny nie był wynikiem filozofującej myśli. Wyrósł on całkowicie na gruncie uczucia, ale zaczynał już wchodzić w swoją najniebezpieczniejszą fazę, rozumową: szukała ona dla swojego osobistego nieszczęścia ogólniejszych podstaw i, niestety! znajdowała je.

Czułem już, jak rdza przejada tę młodą duszę, która dla szczęścia zdawała się straconą.

Wyrwało mi się:

— Ależ tak myśleć to agonia moralna! To lepiej skończyć samobójstwem odrazu.

— A pan sądzisz, że ja o tem już nie myślałam.

Zadrżałem.

— Panno Cezaryno!

— Ale moja matka!.. — rzekła cicho do

siebie, jakby ponownie w tej chwili walcząc z jakąś marą. — Przez nią trzeba żyć.

— Przez nią? Nie mówisz pani „dla niej"?

— Tak... nie powtarzaj pan jej tego. Mówię „przez nią", bo mi życie — ciężarem; nie mówię „dla niej", bo nie widzę, aby istnienie moje cokolwiek przynosiło jej samoistnie.

— Rzeczywiście samoistnie nie dajesz jej pani nic. Przyznaję to. Jedyną jej pociechą jest, że żyjesz.

— Właściwie toby nawet policzyć godziło się — wtrąciła cicho.

— Ale zważ pani, że jesteś dla niej wszystkiem, celem wszelkich jej dążeń, osią wszelkich jej zabiegów. Matka pani zapracowuje się, nie możesz tego nie widzieć; chce, aby ta wątła roślinka, którą pielęgnuje, wybujała, rozkwitła. To jedyny tryumf, jedyna nagroda jej pracy, a roślinka ta, jakby umyślnie, odwraca się od słońca, listki opuszcza, blednie, niknie. Czyż nie należałoby podziałać na siebie, otrząsnąć się ze smutku, zapomnieć...

Na to słowo: „zapomnieć" szalona, nieprzerwana gamma śmiechu buchnęła z ust Cezaryny. Wiatr roznosił echo tego śmiechu daleko po lesie. Ptaki zerwały się z poblizkich drzew i z trwożliwem trzepotaniem uciekły.

Mnie samego przejmował dreszcz, kiedy słyszałem ją, jak śmiech ten chrypł i nieledwie dusił.

Nakoniec, zmęczona, białą, chudą rękę o długich palcach położyła na piersi i poczęła mówić namiętnie:

— Każesz mi pan zapomnieć Zapomnij-że pan w tej chwili, że mówisz ze mną, zapomnij, że masz niebo nad sobą, a ziemię pod nogami, zapomnij, że codzień masz jadać... Zapomnienie! zapomnienie! — nie po raz pierwszy słyszę to zabawne słowo: to plasterek na rany duchowe, rekomendowany powszechnie.

— Czuję się zawstydzonym — tłomaczyłem się — użyłem słowa na wiatr... wiem, jak to trudno zapomnieć...

— Et, nie wiesz pan!—rzekła z lekkim akcentem zniecierpliwienia w głosie — mój ojciec wykołysał mnie na kolanach, uczył chodzić, jeść i pić; z własną moją matką prawie kłócił się o mnie; od służących nigdy nic nie potrzebowałam... To nic!... to związek ciała, który rwie się. Ale ojciec mój prócz tego był moim nauczycielem, którego nie zabrakło mi ani jednego dnia... do tego momentu przed półtorarokiem... trochę dłużej... On wodził moim paluszkiem po literach i skakał, jak dziecko,—mama tak opowiada,— kiedym je poznawała prędko... Wszystko, co umiem, umiem od niego — pensyi nie znałam — a naukę przecie potrafiłam uszanować głęboko... dzięki jemu! On mnie uczył mądrości życiowej, on dla mnie był ideałem rozumnego człowieka...

Mnie, dziecku, małymi wydawali się ci wszyscy uczeni profesorowie, którzy u nas kiedyś bywali... uważałam jak go radzili się, jak go słuchali, kiedy mówił... I oto ideał ten rozwala się, ten rozum — ha! przemienia się w szaleństwo!.. Ojciec, który córkę kocha nad życie, chce ją raz dusić... tak... tak... własną córkę chce udusić!.. Ja tego mamie nie mówiłam, nie chciałam... ja to panu teraz powiadam... I gdyby nie przypadek, gdyby nie kot, który odwrócił uwagę szaleńca, możebym dzisiaj nie żyła. Zdaje mi się, że dotąd jeszcze mam sine plamy na szyi... A dalej — patrz pan! — człowiek, który z pobłażliwym uśmiechem słuchał ludzkich głupstw i prostował je z niezachwianym rozsądkiem, ten sam człowiek plecie takie brednie, opowiada takie potworne rzeczy, że jego córce serce się kraje i rumieniec występuje na twarz... własnego ojca mowy słuchać jej niewolno... — a człowiek ten tego już nie czuje, nie rozumie? Jak to może być!!! Dlaczego?!.. gdzież tu sens, gdzież sprawiedliwość?!

Czy to przyszedł duch jakiś i zabrał duszę mędrca, a włożył duszę idyoty, aby ubawić się bólem tych, co umieją cierpieć, patrząc na takie widowisko? — Nie?! — to więc natura! — natura jego mózgu była taką, że się nadwerężał, że krew przestawała tak szybko dopływać, jak dawniej, że mózg począł schnąć, czy twardnieć, — bo nie wiem, jak wy to nazywacie — i zamiast wzniosłych myśli wydawać nonsensa!!...

Cezaryna była blada, wargi jej drżały, oczy iskrzyły się niezwykłym blaskiem; gniew wstrząsał jej wiotką postacią. Mówiła, jakby porwana szałem, co chwilę z tragiczną grozą podnosząc ręce ku niebu.

Starodawne dęby, kołem szumiące żytnie pola, ptaki i niebo jasne, słoneczne, przeświecające z za gęstych liści, — słowem, cała ta życiem dysząca natura i jej dzieci słuchały, kiedy drobne usta tej młodej dziewczyny — tego dziecka — ogłaszały ponury wyrok nicości!

I dziecko to, jakgdyby samo zlękło się strasznej mocy swoich słów; bo nagle rozpłakało się z całego serca. Chciałem ją uspokajać. Usiadła pod drzewem i zakrywszy twarz jedną ręką, drugą machała ciągle, jakgdyby odpychając mnie, i wołała:

— Nie dotykaj mnie pan, nie dotykaj!..

Stałem, jak głupiec, nie wiedząc co uczynić. Mimowoli w wyobraźni stanął mi obraz chorej, którą na pół zwegloną, z czarnemi i czerwonemi plamami na ciele, przyniesiono do szpitala i która do otaczających ją studentów wołała bez przerwy jęczącym głosem: nie ruszajcie! nie ruszajcie! boli!.. boli!.. boli!..

Natrętny ten obraz męczył mnie; nie mogłem go odpędzić.

Wtem ona nagłym ruchem powstała, obtarła ostatnie łzy, wiszące na jej długich rzęsach i, zwracając się do mnie, rzekła:

— Chodźmy... tam, w głąb lasu... Jeszcze wiele pragnę panu powiedzieć... a pan spróbuj-że zbić to!..

Szedłem w milczeniu, ustępując jej miejsca, gdy przejście było wązkie między drzewami.

Ona czas pewien zbierała myśli.

— Powiedz mi pan, proszę — rozpoczęła na nowo — jaką bezwzględną wartość ma życie, jaką dla wielu ma ono chociażby względną wartość? Ja naprzykład, cóż robię? na co komu potrzebne moje życie? Czyż nie zabieram tylko miejsca i jadła, przydatnego innym? Gdybym chociaż sama była szczęśliwą, gdybym życie swe cenić mogła! Ale nie... przejdę przez nie z gorzkim uśmiechem na ustach, a kiedy kłaść się będę do grobu, zapytam, dlaczego droga tak długo trwała, dlaczego była tak nudna, dlaczegom na tej drodze nie zostawiła nic dla innych, a to, com od innych wzięła, na nic mi się nie zdało?!

Jeżeli tedy ja własne życie odsądzam od wartości, to wytłómacz mi pan, po co moja matka żyje? Dla mnie? żyje dla niczego! — a morduje się od rana do wieczora, przemyśliwając nad tem, jak uraczyć żołądki kapryśnych pań, zjeżdżających tutaj na lato, oraz ich mężów smakoszów. Arcyszlachetne zajęcie! — nieprawdaż? Co za troska, gdy któryś z tych panów — widziałam go — twarz ma obrzękłą, okrągły brzuszek, je-

dyny snać przedmiot jego całodziennych zabiegów — otóż ów pan przysłał raz powiedzieć, że cielęcina jest przypaloną, że on tego nie znosi, że jadać „takiego świństwa” nie będzie, że on może stołować się gdzieindziej — odtąd moja matka po dziesięśkroć zagląda do rądla, czy się to lub owe nie przypaliło zanadto... To jest przedmiot myśli mojej matki! po to funkcyonuje jej mózg!..

A teraz powiedz mi pan, czy ojca mojego w szpitalu nie należałoby dobić? — Drgnąłeś pan?.. Ja także drżę cała, ale mi się głowa od bólu zawraca... Powiedz pan... doktorzy przecież orzekli, że niema nadziei, że jednę półkulę mózgu ma już całkiem zniszczoną — takie były ostatnie wiadomości... Więc codzień będzie bezmyślniał i codzień bardziej się męczył?!.. Dlaczego to nie jest zbrodnią zabić na wojnie żywego, zdrowego człowieka, obdarzonego rodziną, karmiącego ją, a zbrodnią jest dawać choremu, który tak cierpi, który szczęścia nie czuje, który nic nie rozumie — trochę morfiny... codzień więcej...

Głos jej jakoś zachrypł, kiedy domawiała ostatnich słów.

— I pani to myślisz seryo?

— Ja nie wiem, panie — rozwiodła rękoma — ale to mnie tak te myśli męczą. Zresztą pamiętam: raz ojciec powiedział, że obłąkani powinni skorzystać z przebłysku świadomości, je-

żeli im się zdarzy, i własną ręką przeciąć pasmo swego życia. Ja wiem, że on by to sam już uczynił, gdyby rozumiał...

Podniosła rękę do czoła i przeprowadziła po niem. Musiało być rozpalone...

Chciałem jej przerwać. Nie pozwoliła mi. Prosiła, abym ją wysłuchał do końca: „tyle myśli stłoczyło się w jej głowie — pierwszy raz je wypowiada — wypowiedzieć je musi".

Istotnie stłoczyło się ich niemało. W wyobraźni swojej powtórnie w przeciągu kilku miesięcy przeżyła całe swoje życie; z misternej tkanki myśli, urobionej wskazówkami ojca i znacznem oczytaniem, wyciągnęła powoli wszystkie jasne nici i nadała jej jednostajną czarną barwę.

Teraz był to jakiś kłębek żalów i skarg. Rozsnuwała go przedemną chaotycznie, nerwowo. Miejscami uderzała mnie mocą swej wymowy; miejscami urywała zdania, plątała się, nie mogła znaleźć właściwych wyrazów: milczący ból jej widocznie po raz pierwszy przyodziewał się w szatę słów — to też te ostatnie nie zawsze mogły podołać jej myślom.

A i same myśli nie szły należytą koleją: jedna zabiegała na drugą, trzecia krzyżowała się z niemi. Pomimo jednak ciągłych, czasem wysoce nielogicznych odskoków, Cezaryna powracała zawsze do jednej zasadniczej idei: szczęście powinno być jedynem i powszechnem prawem!

Każdy człowiek powinien być szczęśliwym! Miarą wartości życia jest suma otrzymanych odeń rozkoszy. Nie warto mieć serca, ażeby uczuwać boleść, nie warto mieć rozumu, ażeby przekonać się, jak małą posiada on wartość. A tymczasem wszędzie czującemu i myślącemu człowiekowi towarzyszy niezadowolenie. Nadać martwej naturze zdolność myślenia i czucia -- byłoby to obdarzyć ją równą ludzkiej niedolą.

A i te skąpe dobra, które istnieją na ziemi, jedni wydzierają drugim. Ona sama... i tysiące zagarnęli na własność zdobycze nauki, skarby poezyi, a tymczasem miliony upośledzonych w krwawym pocie dostarczać im muszą powszedniego chleba i ciepłej odzieży i wszelkich przedmiotów zbytku i wygód...

Widziała ona robotników — mieszkała kiedyś z rodzicami obok fabryki — widziała ich życie; tu na wsi przyjrzała się chłopom. Położenie tych ludzi, położenie roboczego bydła, nie raziło jej wcale z początku... miała tylko dla ich pracy szacunek, wszczepiony jej przez ojca ..

Ale w ostatnich miesiącach zastanawiać się poczęła nad życiem ludzkiem wogóle... Wówczas stanęły jej w oczach postacie tych ludzi o ordynarnych, bez wyrazu twarzach, o zgrubiałych, muskularnych rękach...

— Co warte ich życie?! — zwróciła się do mnie gwałtownie. — Co warte życie tego chłopa,

który wiecznie kark swój nagina nad rolą, który jedyną rozrywkę ma w karczmie, a jedyną rozkosz w kieliszku?.. Co warte życie robotnika, spędzane w całości — boć kilku godzin snu liczyć nie można — w jakiejś dusznej fabryce, pełnej szkodliwych wyziewów, śród warkotu machin, przy monotonnem obracaniu kół — życie machiny, smarowanej płacą roboczą!?.. No, teraz odpowiedz pan!

I z jakimś gorzkim tryumfem podniosła głowę — i dalej szła leśną ścieżką obok mnie.

Czułem się zakłopotany. W swojej bezładnej mowie zatrącała ona po tysiąc razy najczulsze struny mej duszy. Z tych ust słyszałem też same pytania, które rzucały mną po łóżku śród nocy bezsennych, które goryczą zatruwały mi życie, od których uciekłem tu, pod niebo wsi, w atmosferę zieleni i kwiatów, aby zapomnieć o nich na chwilę i odetchnąć trochę... A ta nieostrożna dziewczyna, nie wiedząc o tem zupełnie, wszystkie te mary wypłoszyła znowu z kryjówek mego mózgu.

Tylko... tylko... rzecz dziwna — stanowczo musiał to być wpływ rozkosznego letniego poranku oraz obecności młodej i pięknej dziewczyny — dość, że myśli tych tym razem nie odczuwałem tak silnie. Nad niemi górowało we mnie obecnie pragnienie uleczenia tej dziewczyny: każde ostre słowo chciałbym napowrót wtłoczyć

jej do gardła, albo raczej wyrwać z tej młodej duszy z korzeniem, i natomiast przekonać ją dla życia, natchnąć ją bądź co bądź wiarą w szczęście. Jej pesymizm czynił mnie jakgdyby obowiązkowym optymistą. Szukałem argumentów w mojej głowie i po chwili poczęły one, jakby przez samą reakcyą tworzyć się, nawet tłumnie napływać. Za parę chwil owładnąłem już niemi i mówiłem z uniesieniem:

— Wiele... wiele rzuciłaś pani pytań. Trudno mi na wszystkie odpowiedzieć. Uczynię to, jak potrafię. Nie względną, subiektywną, ja właśnie pani bezwzględną wartość życia pokażę, tę właśnie, którą trudniej, według ciebie, uchwycić. Jest nią zadośćuczynienie nigdy nie dającamu się zabić pragnieniu życia, pragnieniu, rozlanemu w całej naturze, pragnieniu, które jest życia samego przyczyną i skutkiem zarazem.

Skupianie się mgławic, wieczny ruch gwiazd, niewyczerpana twórcza moc ziemi, drzewa, zawsze nową okrywające się zielenią, cały ocean istot, niedojrzanych, niepochwytnych, niezmierne masy stworzeń, rozradzające się wciąż, przepełniające lasy, morza, powietrze, a w gronie tych stworzeń ludzkość, stanowiąca najwyższy szczebel rozwoju, najszczodrzej obdarzona rozumem i uczuciem — wszystko to jest wytworem tego pragnienia bytu!

Jest śmierć, jest rozkład — to prawda, ale

one są tylko innym życia wyrazem, nieodzownym jego warunkiem. Życie, jako zastygła forma nieruchomej materyi, jest czemś, czego pomyśleć niepodobna — nie jest życiem. Życie to ruch. Ruch jest zmianą. Zmiana jest śmiercią jednego momentu, jednego kształtu, a nowem życiem innego.

Pierwiastki, tracące moc spoistości, wyczerpane pewną formą bytu rozkład powołuje do nowego istnień szeregu, w nowych formach... A śród tych różnych i zmiennych bytów, niema małych, ni wielkich, niema dobrych, ni złych... Każdy jest wielkim, każdy jest dobrym, póki jest.

A jednak jeden rodzaj bytu my, ludzie, mamy prawo nazwać najlepszym, najwyższym — nasz! Nie jest on takim sam przez się, ale przez swój stosunek do innych: przez możność odczuwania i pojmowania ich; nie jest taki sam w sobie, ale w świadomości i uczuciu człowieka.

Klniesz pani serce, bo boleść przynosi, klniesz umysł, bo dochodzi do przekonania o swojej małej wartości. A ja pani powiem: odczuwać boleść czy rozkosz — to wszystko jedno! — byleby pokarm mieć dla uczucia... Rozumieć małość swoją, czy wielkość — byle tylko rozumieć!

Jakaż to rozkosz uczuwać boleść!.. Jakaż wielkość, pojmować swoją małość!

Dziwią panią te paradoksy?.. A sama, czy bólu swego nie kochasz? czy zamieniłabyś go na

pustacką wesołość? czy torturą cierpień nie chciałabyś kupić szczęścia innych... Czytałaś poetów... wiesz, jak oni bólów szukają... to atmosfera ich życia... Najpiękniejsze pieśni poetów wyrosły z ich cierpień i łez; najwznioślejsze utwory zawdzięczają swe życie sercowym ranom, rozdarciom piersi na ciernistej drodze życia. Podobnież pączki liścionośne rodzą kwiaty, gdy są zgłodzone i pokaleczone. Ogrodnik „obrączkuje" lub w inny sposób kaleczy roślinę kamelji, aby mu kwiat wydała. Los niezczęśliwy lub zdradliwa kochanka są takiemi ogrodnikami względem poetów!.. Sądzisz-że pani, iż który z nich, w chwili najsroższego cierpienia, radby istotnie zamienić się w głaz... zamiast tworzyć nieśmiertelne pieśni?

I wielkość myśli, pojmującej swoją małość, również nie jest paradoksem. Wyznaczyć granice wiedzy ludzkiej — co za olbrzymia wiedza! Wiedzieć, że nigdy nikt nie wypowie ostatniego słowa prawdy — co to za rozkosz dla tych, którzy badać pragną; nie wyczerpie się więc zapas czarownych zagadek!.. umysł ludzki nie popadnie w apatyą, nie powie nigdy: „wiem już wszystko!" aby tem usprawiedliwić sen swój. Sama prawda nie może być tak ponętną, jak to wieczne dążenie do niej!.. A jeżeli nawet niekiedy boleśnie jest stać wobec tajemniczej zasłony stworzenia, w poczuciu niemożności podniesienia

jej — to ileż pociechy w tem, że geniusz ludzki tyle zasłon zdarł już na swojej drodze i tyle jeszcze zedrze!...

Zatrzymałem się na chwilę, szukając wątku do dalszej odpowiedzi. Korzystając z tego, Cezaryna wtrąciła nieśmiało:

— To niby tak... ale... niby i nie tak.

— Ależ to tak! — odpowiedziałem stanowczo, jakkolwiek wewnętrzny głos mówił mi to samo, co rzekła Cezaryna: „to niby tak, ale i nie tak!" Pomimo całego uniesienia, mnie samego męczyła paradoksalność moich wywodów: wiekowy ból ludzkości, wiekowa niepewność rozumu były złem, o którem zapomnieć nie mogłem; każdy gmach optymistyczny, wznoszony na tym ruchomym gruncie, zapadał się bez śladu w przepaść.

— Mówisz mi pan o poetach, o uczonych... przemówiła cicho Cezaryna. Zapominasz o ludziach powszednich, o ich troskach, o ich kłopotach, o codziennych zmartwieniach, o ciężkiej pracy na kawałek chleba... Gdzież jest ich szczęście?!

Ten upór ożywił mnie na nowo. Znowu zbudził się we mnie szereg jasnych myśli, któremi chciałem zagoić jej rany. Potok słów mnie uniósł, mówiłem z zapałem i... wierzyłem samemu sobie.

— Zapominam o ciężkiej pracy?.. Ona wy-

daje się pani przekleństwem, ciążącem na ludzkości? A ja śmiało powiadam, że dzień, w którym Bóg przeklął Adama, skazując go na pracę, był dniem, w którym Bóg pobłogosławił Adama, w którym zabezpieczył go przed wkrótce grożącym przesytem i nudą. Znasz pani jeden rodzaj Tantala. Wierzaj mi, że jest jeszcze inny: męczennik, któremu do rąk nachylają się gałęzie, obciążone owocami, ilekroć tylko zapragnie, — któremu do ust napływa woda, gdy tylko jej zechce: męczennik, który nie zna rozkoszy odpoczynku, bo wiecznie odpoczywa, nie zna rozkoszy pracy, bo nigdy nie pracował, nie doznaje przyjemności z tego, co posiada, bo sam nic nie zdobył, nie pojmuje, jak poczucie spełnionego obowiązku umila nam życie.

Zapominam o ludziach powszednich? o ich troskach i kłopotach?.. Zapytaj pani tych nawet, którzy ciągle się skarżą i ciągle utyskują, zapytaj, czy nie pamiętają oni w życiu swojem jakiego dnia majowego, kiedy w towarzystwie przyjaciół, odrzuciwszy na bok wszelkie troski i kłopoty, śmieli się pełnym, serdecznym, pustackim śmiechem. Może przypomną sobie również jakiś wieczór zimowy, kiedy na niebie iskrzyły się gwiazdy, a w piersiach ich gorzało jedno z głębokich i zdrowych uczuć: dla kochanki, żony, matki, przyjaciela, dziecka... Bezwarunkowo każdy z nich przeżywał takie chwile, a wartość

ich możesz pani zmierzyć tem właśnie, że tak żywo zachowały się w pamięci i dziś jeszcze, po całem paśmie czarnych dni, wywołują przyjemny uśmiech wspomnienia...

Smutki właśnie dają możność odczuć i ocenić niezmierną wartość tu i owdzie rozsypanych chwileczek szczęścia.

Zamało ich? sądzisz pani. Życie nie jest majówką!.. Nie samem tylko szczęściem żyje człowiek... Niesłusznie za miarę wartości życia uważasz pani poczucie szczeşliwości. Gdyby tak było, toć wówczas ciepły byt bogatego próżniaka-głupca, zadowolonego ze siebie i ze świata, bo nie pojmującego ani świata, ani siebie, byłby najwyższym ideałem. Chciałażbyś pani, aby masy ludzkie ukształtowały się wedle tego wzoru?

Człowiek powinien być szczęśliwym! — gotowym powtórzyć za tobą... lecz nie tem widmem szczęścia, z którem zamyka się w swojej sypialni lub w gabinecie!

Być ruchliwą falą ruchomego morza atomów, pogrążać się w pięknie natury, przejmować się nadziejami ludzkości, mieszać się z ogólną harmonią wszechświata, przez swego ducha stawać się wszystkiem — a jednak nigdy nie ginąć w tem wszystkiem, nigdy nie przepadać, zawsze dzięki swojej świadomości czuć się osobnym tonem, oddzielną cząstką, samoistną falą — oto ideał szczęścia, jakiego byt nam dostarczyć może...

Nicość? — o nigdy! wiesz pani, ile piękna jest na każdym kroku!... Natura bezmyślna? — pani drobne usta śmiały to powiedzieć! Astronom w noc gwiaździstą patrzy przez swój teleskop, obserwuje ruch potężnych różnokolorowych słońc, które nam pyłkami wydają się tylko, i pyta: „Jakaż to siła porusza to wszystko?" — i, zdumiony olbrzymim mechanizmem wszechświata, noc całą przemarzy przy teleskopie, aż gwiazdy na wschodzie pobledną...

Wiekowa niezmienność potężnych praw do siebie samej się stosuje, nasza drobniutka myśl jest tylko małą cząstką wszechświata, a my piorunujemy, że nasze widzimisię nie jest jego wychodnim punktem. Nie dość nam, że na skrzydłach tej myśli potrafim w przeszłość i w przyszłość i w przestrzeń szeroką dosyć daleko ulecieć, że w tej drobniutkiej myśli i tak wiele tajemnic bezmiaru się odbija...

— Mów pan, mów pan — szepnęła — pan tak podobnie do niego mówiłeś...

— Do kogo?

— Do mojego ojca... On często takie same wypowiadał myśli.

— Tak?... i pani im wówczas wierzyłaś! Widzisz pani! — bo z słów tych bije prawda. A dzisiaj? .. dziś zapomniałaś o nich, poddałaś się smutnym myślom. Dlaczego? Czy dlatego, że świat stał się gorszy, brzydszy, głupszy, mniej

wart? Nie, wcale nie! Dlatego, żeś sama poczuła nieszczęście. Wierzaj mi pani, pesymizm nie jest teoryą, nie ma za sobą argumentów rozumu, to jest zły humor, to jest uczucie, to wytwór rozdrażnionych nerwów...

Prawdziwie zdrowy człowiek pochyli się chwilowo pod brzemieniem nieszczęścia, nieraz gorzko zapłacze, nieraz się poskarży, ale w sobie samym zawsze znajdzie moc odżywczą i znowu z rozkoszą rzuci się na łono życia; taki człowiek z natury musi być optymistą. Nerwowy natomiast przeklina życie, bo nie jest do niego zdolny, bo oddycha śmiercią... On życia nie pojmuje, nie ma więc prawa go sądzić!"...

W tej chwili przeszła mi przez głowę myśl: Czyliż optymizm nie jest zarówno uczuciem, jak pesymizm?.. Dlaczego pesymizmowi odbieram prawo sądzenia o wartości życia?.. My, nerwowi, mamyż zamknąć skarżące się usta, dlatego że ludziom zdrowym jest dobrze! Czyliż my sami tworzyliśmy sobie nerwy? Czyż nie dała nam ich taż sama łaskawa, poczciwa natura?!...

Spojrzałem niespokojnie na Cezarynę. Obawiałem się, że z jej ust usłyszę toż samo zaprzeczenie... może nie znalazłbym odpowiedzi. Ale ona szła ze zwieszoną głową obok mnie i milczała. Wydało mi się, że już ulegać mi poczęła. Pośpieszyłem więc nawiązać moją przerwaną oracyę, starając się zapomnieć o dręczących mnie sprzecznościach.

— Miarę wartości życia starasz się pani wszelkiemi siłami odnaleźć w granicach życia jednostki. Śmierć wszystko kończy, według ciebie. Przed śmiercią tedy z wszystkiego skorzystać należy. Jest to niesłusznem. Zapominasz pani o potężnem uczuciu rodzicielskiem, zapominasz o sile instynktu społecznego... Czyż nie widzisz naokoło tysiącznych przykładów, że ojciec w pocie czoła użyźnia rolę, z której owoców skorzystają dopiero jego dzieci i wnuki? Czyż nie widzisz tysiąca podobnych przykładów w sferze pracy społecznej, w której ludzie idei poświęcają się dla przyszłych pokoleń? Czyliż takich samych przykładów nie dostarcza nam pole nauki? Kepler ośm lat liczy i liczy bez ustanku, dzień i noc pracuje, ażeby odkryć prawo obiegu planet; chce znaleźć prawdę, choć wie, że w mózgu jego ona nie pozostanie, że mózg ten zjedzą robaki; chce znaleźć prawdę, choć wie, że współcześni nie potrafią jej ocenić. „Zrozumieją mnie potomni — wyrzekł, ogłaszając swoje dzieło - mogę poczekać". Widzisz więc pani, jak silnie czuć można węzeł, łączący pokolenia. Myśl nasza przedłuża nasze istnienie; to więc usuwa boleść śmierci.

A i pani ojciec przedłuża je... On tam w szpitalu, ale jego dzieła czytają i nikt nie zaprzeczy mu tego rozumu, który on kiedyś posiadał. Mówiłaś pani o jego życiu, odmawiałaś mu

wartości, zapomniałaś, jaką wartość miało one kiedyś, jaką posiada dotychczas. Poniekąd stan obecny jest tylko rekompensatą zbyt bogato sypanych poprzednio skarbów. To natura mści się za zbytni wysiłek mózgu; tak, pani, ona jest nieubłaganą, bo rządzi według praw, które ścierpieć nie mogą żadnego naruszenia harmonii... Ojciec pani wiele zrobił: jedno pokolenie ze wzbogaconym umysłem, z jego naukami wyszło w świat. Społeczeństwo nasze dziś jeszcze z jego dzieł korzysta!...

— O panie! jak ja panu jestem wdzięczną, kiedy tak mówisz. Powtórz pan: więc życie mojego ojca nie było bezpłodnem?

Dwoje oczu wpiło się we mnie z uczuciem sympatyi.

— Pani, ono było bogatem. Powtórzy ci to każdy z uczniów twego ojca.

— Panie, panie!... pan nie wiesz... mnie się teraz tak lżej zrobiło... Jak pan pięknie, jak pan rozumnie mówisz... Wiesz pan, ja jakoś jaśniej patrzę... Ja nie wiem... może to słońce wyjrzało teraz z za obłoków...

— Nie, pani, słońce świeci jednakowo, lecz z oczu twoich żałobna katarakta spada.

— Mów pan dalej... ja jakoś szerzej oddycham, kiedy pan mówisz.

Te naiwne komplementy ujęły mnie za serce. Wziąłem ją mimowoli za rękę, i zlekka ści-

skając jej długie palce, szedłem przy niej i mówiłem dalej. Ona z poczatku nie wzbraniała się, ale snać ruch mój krępował ją, bo zaczęła palce powoli wyciagać Czując to, puściłem je nieznacznie.

— Wspomniałaś pani o chłopie i robotniku. Odmawiałaś ich życiu wszelkiego powabu, wskazywałaś ich ciężką pracę. Zważ jednak, że i w nich pragnienie życia istnieje, że cała praca ich ma na celu podtrzymanie tego życia, więc sama w sobie jest dobrem, niezależnie od swojej treści. To prawda jednak że dola tych ludzi jest ciężką, a sprawiedliwość wymaga, aby taką nie była... I taką nie będzie! Każdy z nas powinien pracować na dzień jutrzejszy ludzkości. I pani możesz coś zrobić!..

— Ja?

I wyciągnęła swoje chude ręce, patrząc mi ciekawie w oczy.

— Pani!.. Skarżysz się, że życie twoje jest puste, że nikomu żadnego pożytku nie przynosisz. Weź dzieci służącej, lub jakiego chłopa... ucz je... Najsłabszy kaganek walczy z ciemnością.

Zawracaliśmy. Na naszej drodze znajdowało się źródło. Cezaryna nachyliła się i przemyła oczy.

— Czy znać, żem płakała?

— Nie.

— To dobrze. Mama nie pozna! Martwiłaby się. A po chwili dodała naiwnie:

— Panie, jak to te łzy oschnąć mogą.

— I smutki znikają też — odrzekłem.

— O, to nie prędko — odparła, kiwając przecząco głową.

VII.

— B-a-ba, b-e-be, b-i-bi... — sylabizował jakiś głos dziecięcy za ścianą.

— Co to, u licha?! — zerwałem się z łóżka, przecierając oczy.

— A to jest C... c-a-ca...

Poznałem głos Cezaryny.

— C-a-ca, c-e-ce... — sylabizował znowu głos dziecięcy.

— Paniusiu złota, teraz ja troszeczkę — przerwał jakiś drugi głos, zdaje się dziewczynki.

Zatarłem ręce z radości.

— Ależ to pysznie, pysznie! Moja Cezaryna zaczyna się ożywiać. Jesteśmy na dobrej drodze.

Począłem się ubierać. Godzina była jedenasta. Po raz pierwszy wstałem tutaj tak późno. Zazwyczaj rano o siódmej byłem już w parku. Tym razem zaspałem; to prawda, żem wczoraj czytał trochę przydługo w noc.

Weszła Marysia. Uśmiechała się.

— Czego to się śmieje?

— Ja?.. ja się ta nie śmieję wcale.

— To po co tak usta otwiera?

— Usta... usta... ja mam tak ciągiem otwarte.

— Ej, Maryśka!

— A bo co?

— No, no, no... już ty wiesz... Powiedz mi, co to za dzieci tam?

— A to Szczepanowej kucharki... Panienka uczy z alimentarza... Codzień rano.

— Codzień?.. dawno?

— A to już ze czwarty dzień... Jak panicz rano wychodzą... To panicz nie wiedział? Bez godzinę tak panienka uczy...

— To jeszcze długo będzie lekcya trwała?

— Ale!.. toż pan śpi!.. Już z godzinę są... Pani przysyła mnie, czy panu nastawić herbaty?

— Poproś, poproś... a zapytaj, czy panna Cezaryna przyjmuje teraz?

— Przyjmujom — przyniosła mi Marysia wraz z herbatą odpowiedź. — Panienka mówiła, niech pan bez te drzwi zapuka, to oni otworzom.

Wpuszczono mnie tedy z mego pokoju do salonu. Na krzesełku leżał jeszcze otwarty elementarz. Cezaryna, która sama otworzyła mi drzwi, miała policzki cokolwiek rozgrzane. Powinszowałem jej nowych obowiązków, zlekka

użalając się, że trzymała je w sekrecie przedemną.

— Panie, jakaż ja kontenta! Dziękuję panu za podanie mi dobrej myśli. Uczę dwoje dzieciaczków, chłopca i dziewczynkę — dzieci Szczepanowej. Jaka to przyjemność!

— Oddawać innym swoją wiedzę — dokończyłem żartobliwie.

— Pan żartujesz, a ja panu seryo powiadam, że oddawać innym nawet znajomość abecadła stanowi wielką przyjemność. Panie, dla tych młodych główek złożyć słowo to cała filozofia. Jak one się dziwią, kiedy z tego bezładnego składania dźwięków wychodzi im nagle: baba! znajome słowo! Patrz pan wówczas na te oczki, a będziesz rad, żeś to ty doprowadził te dzieci do tego. Uczyłam dopiero parę godzin, a już jestem dumną z moich wychowańców...

— W tem sęk, pani, że dopiero parę godzin... Obecnie lekcya panią bawi. Później może bawić przestanie. Wytrwałość tutaj konieczna... Ja sam...

Zatrzymałem się. Po cóż mam jej opowiadać, jak wszystkie moje plany pedagogiczne rozbiły się o jakieś szkopuły życiowe, jak korepetycye stały się dla mnie nużącem rzemiosłem, które prowadziłem jedynie dla zarobienia na utrzymanie.

— Ja sam... dawałem lekcye — dokończy-

łem. — Istotnie jest to przyjemne zajęcie, ale wymaga dużej wytrwałości.

— Postaram się, aby mi jej nie zabrakło — odparła.

— A cóż? przeczytała pani moje książki? — zapytałem, kierując rozmowę na inny przedmiot.

— Przeczytałam. Oto Heine... oto Nieboska... oto te przyrodnicze broszurki.

— Prędko pani czyta.

„I dobrze“, musiałem dodać w duchu, słysząc, jak trafnie sądziła o każdej z pożyczonych jej książek. Przypomniał mi się cały szereg książkopożeraczy i książkopożeraczek, czytających na gwałt, poznających wszystko pozornie, z wierzchu, z ilości przeczytanych stron wnioskujących o swojej wiedzy i rozumie.

Cezaryna była wcale inna. Zapamiętywała ona zawsze piękniejsze zwroty formy, umiała lubować się skarbami myśli, zawartemi w książce. Ojciec, widać, nauczył ją tego. Nie była ona wprawdzie umysłem głębokim, krytycznym, w całem znaczeniu tego słowa. Być może, najbardziej rozwiniętą jej zdolnością była pamięć: dziwiłem się nieraz, że przypomina sobie nie tylko myśli, ale i zdania, przeczytane lub usłyszane przed czterema laty, to jest wówczas, gdy miała piętnasty rok. Obok pamięci górę brała u niej wyobraźnia.

Ale po za silnie rozwiniętą pamięcią i wyo-

braźnią posiadała ona mnóstwo innych umysłowych zalet: umiała uwagę swą zatrzymać na każdej zagadce, lubiła zastanowić się nad wszystkiem, była niezwykle pojętną i bystrą, a dzięki niewytłómaczonej dla mnie intuicyi, niejednokrotnie wpadała na myśl wcale głęboką. Umysł ten potrzebował świeższego pokarmu; za pierwszym impulsem z mojej strony rzucił się znowu do poezyi i nauki.

To też niezrozumiałem mogłoby się wydać, jak mógł on znajdować się w przeciągu dwóch lat w zupełnej prawie apatyi, zajęty przeżuwaniem wciąż jednych i tych samych myśli. Rozwiązanie tej zagadki widzę w silnej przewadze strony moralnej nad stroną umysłową Cezaryny. Oddała się ona rozważaniu swojego nieszczęścia, wyrzekła się rozkoszy umysłowych zajęć, zapanowała nad potrzebą czytania. Wogóle była w niej niesłychanie rozwiniętą uczuciowość; nazywałem to „nadczułością moralną". To złe życiowe, do którego ja się już przyzwyczaiłem, jak tysiące innych, w jej sercu dotąd wywoływało wybuchy oburzenia i wstrętu. Najlżejsza niesprawiedliwość bolała ją żywo. Najdrobniejszy wypadek wstrząsał nią do głębi. Kiedy raz skaleczyłem sobie palec, łzy stanęły jej w oczach. Kiedy w sąsiednim domu umarło dziecko, dostała spazmów i parę dni sypiać nie mogła. Wrodzona delikatność uczuć rozwinęła się w niej chorobliwie od czasu, kiedy ojca jej odwieziono do szpitala.

Tego rodzaju podkład moralny objaśnia, czemu nad rozumem zawsze górę u niej brało uczucie, czemu obok głębokich pytań zwracała się nieraz do mnie z wysoce naiwnemi, które w niemały wprawiały mnie kłopot; były to wybuchy uczucia.

„Po co, panie, istnieją obłąkani? — wołała nagle, prostując się przedemną i przenikliwie patrząc mi w oczy. — Czyż mózg ludzki nie powinien być wytrzymalszy? Jaka jest norma jego pracy, po za którą przejść nie może? Gdzie jest granica tych wstrząśnień, którym może przeciwdziałać?!“

Innym razem, widząc żebraka, zaczęła płakać, siadła na kamieniu w polu i mówiła do mnie: „Ja nie mogę patrzeć na nędzę! Dlaczego my tak nierówno obdarzeni? Czyliż ziemia nie powinna wydawać więcej? Czyliż wszyscy ludzie nie powinni posiadać jednakowych wygód?! Dlaczegoż pomiędzy nami, jak w lesie, błąkają się ludzie, którzy cały dzień ni mają nic w ustach, a na noc brak im posłania pod głowę!“...

„Nie, bogactw dosyć — mówiła zmieniając ton — patrz pan, jak tutaj, na wsi, złocą się kołem zbożowe pola! Ale w mieście za dużo pałaców, za dużo karet.. za wiele strojnych pań, bogato ubranych panów... za dużo, za dużo!! Same okruchy z pańskich stołów dla wielu byłyby do-

statecznym pokarmem. Nie, mnie się to w głowie nie mieści: jak obok zbytku może być nędza! jak na pierwszem piętrze mogą balować, gdy w suterynach płaczą!.. Poszukaj pan tutaj tej chwalonej przez ciebie harmonii, zrób tak, aby jęk zestrajał się z śmiechem i tworzył akord jednej pieśni“...

I poczynała się śmiać szalenie, a potem znowu wpadała w płacz. Parękroć obawiałem się, że dostanie spazmów, i nie wiedziałem, jak sobie sam, w polu, poradzę.

Tak więc, ta skupiona w sobie, w cichości cierpiąca dziewczyna, uległa całkowicie potrzebie wynurzenia się. Udało mi się pozyskać jej zaufanie, z czego byłem wcale dumny. Widocznem było, że odczuła we mnie człowieka, który ją zrozumieć potrafi... i że może na takiego człowieka czekała. Matkę kochała bardzo, ale nie zwierzała się jej nigdy, będąc świadomą jej niższego umysłowego poziomu. Dla mnie, po owej rozmowie w lesie przed tygodniem, poczuła jakiś szacunek i poczęła mnie zarzucać mnóstwem pytań.

Ale od owego dnia i we mnie wzrósł szacunek dla tej niezwykle pięknej duszy. Przywrócenie jej do równowagi stało się teraz dla mnie zadaniem, które pochłaniało mnie zupełnie. Kiedym był przy niej, poczynałem wpatrywać się w nią i szukać jej zalet... w tych głębokich czar-

nych oczach, w tej bladej twarzyczce, w tem przezroczystem czole, na którem przeświecały niebieskie żyłeczki.

Ożywia się, czyta, pracuje — mówiłem sobie. — Kiedyż pocznie śmiać się serdecznie?! Kiedyż zejdzie z jej twarzy ten melancholijny wyraz?!

— Czegoż pan tak stoisz przedemną z temi książkami? — zapytała mnie ździwiona.

Zmieszałem się.

— Pozwoli pani. Właśnie chciałem je odnieść do siebie. Wyszukam pani coś nowego w moim kuferku.

Otworzyłem drzwi salonu i za chwilę powróciłem znowu.

— Zapomniałem... przecie pani teraz Fausta ma... nie skończyła go pani?

— Mieliśmy wszak czytać go razem, jak zaczęliśmy.

— A tak... razem... razem... Będzie pani teraz słuchała?

— Owszem.

— Ale może lepiej poszlibyśmy do parku?

— Czemu?.. Zostańmy... Ja tak lubię ten pokój.

— Pani! racz mnie uważać za swego lekarza. Postanowiłem wyleczyć cię z twojej niechęci do świata. Radzę świeże powietrze.

— A więc, panie doktorze, gotowam — od-

rzekła z prześlicznym lekkim uśmiechem, kładąc kapelusik na głowę i biorąc parasolkę dla ochrony przed słońcem.

Ten lekki uśmiech ucieszył mnie niewymownie. Uważałem siebie za jego twórcę. Byłem więc dumny ze swojego dzieła i... przywiązywałem się do niego coraz bardziej.

VIII.

Tego dnia Cezaryna była niezwykle ożywiona. Na każdym kroku czyniła uwagi i zarzucała mnie mnóstwem pytań. Przeskakiwała przytem od tematu do tematu, jak motyl z kwiatka na kwiat: była to niemal chorobliwa ruchliwość umysłu, w której zawierało się wiele dla mnie sympatycznego...

Już kiedy przechodziliśmy przez ogród, strąciła parasolką z drzewa śliwkę, do wnętrza której zakradał się robak.

— Robaczywa... niemoralna.. trzeba ją odłączyć od zdrowego społeczeństwa, jak postępujemy ze zbrodniarzami... Czy tamte, cnotliwe, nierobaczywe śliwki bardzo zasłużyły się swoją moralnością?

— Zasłużyły się, pani, bo będzie je można zjeść.

— Ale czy cnota ich jest cnotą?

— Jest. Słodycz przecie nie jest goryczą.

— Eh, pan mnie nie chce zrozumieć.

Owszem, nie powiedziałem przecie, że same sobie zawdzięczają swą dobroć. Tem nie mniej chwalimy je, a tamte, robaczywe, zmuszeni jesteśmy odrzucać. To mus!

— Jaki fatalny, przyznaj pan.

— Przyznaję.

— Ale pan przyzwyczaiłeś się do faktu i uznałeś go... Wie pan, teorye, głoszące, że występny człowiek działa pod wpływem wolnej woli i każdej chwili, jeżeli zechce, poprawić się może, więcej mają w sobie powabu... Nie lubię ludzi uczonych!

— Co?!

— Seryo... stwierdzają jakiś straszny fakt i kontenci są. Znałam takiego profesora historyi. Ludzie uczeni zawsze przypominają mi tego meteorologa, który przepowiedział był trzęsienie ziemi i zawód spotkał z największą rozpaczą.

— Nie wierz, pani, temu: ludziom uczonym serca nie brak. Powiedziałaś to pani tak, na wiatr...

— Może i na wiatr...

Była dziwnie lekką w rozmowie tym razem.

— Nie mówiłam tego o wszystkich. Wiem,

że są wyjątki. Ale mów pan co chcesz, człowiek uczuciowy często zrozumie wiele tam, gdzie uczony nic nie pojmie.

— Bywa i tak.

— Bywa? Zawsze tak jest! Suchy, łysawy, słomiany jegomość, co całe życie przesiedział w książce, bierze uczucie pod mikroskop, waży je na aptekarskich wagach, miesza w retorcie, dotyka szczypczykami, liczy i — Bóg wie co jeszcze — a potem wygłasza jakieś dziwolągi. Tymczasem serce raz... dwa... trzy razy mocniej uderzy i objęło wszystko, wszystko ukochało. Panie, ja wierzę w uczucie. Serce intuicyą swoją wiele odgadnie tam, gdzie rozum będzie stał nieruchomy i zagapiony, jak jaki niezdara.

Spojrzałem na nią. Na jej bladych policzkach lśniły rumieńce. Nie wiedziałem, skąd jej te myśli przychodziły do głowy. Ozwałem się pół-żartem:

— Ho, ho, widzę, że pani jesteś zwolenniczką Rousseau.

— Ej, wybacz pan, jesteś nieznośny... Powiadam najzwyklejszą myśl, a pan mnie robisz zaraz zwolenniczką Rousseau i posądzasz o jakieś teorye. Rousseau nie żyje, a ja... ja jestem zwolenniczką własnego serca.

Nie było co odpowiedzieć; milczałem. Szliśmy główną ulicą Niemirówki, pustą prawie zupełnie w tej części, tak zwanej „arystokratycznej". Cezaryna zatrzymała się nagle.

— Spójrz mi pan w oczy. Czy ja pana nie obraziłam?

— Czem znowu?

— Powiedziałam... „nieznośny".

— A, pani, drobnostka. Nieraz mnie tak nazwano i ja sam często dawałem sobie ten epitet...

— Jak to dobrze, że się pan nie gniewasz... Bo ja bym z nikim, z nikim, nie chciała się gniewać. Prawda, jakby to było dobrze, gdyby wszyscy ludzie żyli ze sobą, jak bracia, razem, gdyby można było do każdego grzecznie dojść i rozpocząć z nim rozmowę... gdyby i do nas mógł dojść każdy...

— Naprzykład ten pan — wskazałem oczyma mocno niesympatycznego jegomościa, o rudym zaroście, który właśnie przechodził ulicą i ciekawie na nas spoglądał, jakgdyby chciał odgadnąć, co za stosunki łączyły nas, dwoje młodych... Chciałażbyś pani, aby on doszedł do nas i wmieszał się do naszej rozmowy?

— O nie, nie, wcale nie — zawołała z komicznym przestrachem — toby wcale nie było dobrze.

— Zatem teorya pani, mówiąc po studencku, w łeb wzięła.

— Ej, kiedy pan zawsze taki rozsądny!..

— Ja, pani?

— Z pewnością, że nie ja... Wie pan, ja panu nawet zazdroszczę.

— Czego?

— Pan masz taki pewny, ustalony pogląd na rzeczy, pan tak wierzysz w przyszłość, masz taki silny charakter...

„Masz tobie! — pomyślałem — trafiła kulą w płot“. Wyliczała to wszystko, czego brak czułem w sobie zawsze, brak, nad którym najmocniej bolałem. Ponieważ jednak w rozmowie z nią strzegłem się wszelkiego pesymizmu, ażeby oliwy nie dolewać do ognia, ponieważ częstokroć trzymałem się mocno optymistycznego stanowiska, zapewniając ją, że nigdy zeń nie zejdę, pomimo wszelkie ciosy, które na mnie spaść mogą, pozornie więc miała racyę. Mój dobry humor w ostatnich czasach pomógł mi ją tem łacniej zwieść. Broniłem się nader lekko; inaczej nie było mi wolno.

— Ależ zdaje się pani.

— O, ja się wcale nie mylę. Mnie to nawet mocno dziwiło, że pan w tak młodym wieku potrafiłeś stanąć na tak pewnym gruncie.

„Ja... na pewnym gruncie“ — pomyślałem, przypominając swoje duchowe przelewania z pustego w próżne.

— Powiem panu nawet, że pan wzbudziłeś we mnie zapał swoją wiarą w życie, w przyszłość. Ja teraz znowu jasno spoglądam na świat.

Serce zabiło mi radośnie. Mógłżem jej teraz zaprzeczyć? Ta dziewczyna widocznie ucze-

piła się mojej mniemanej wiary i sama czerpała z niej życie. Nie chciałem nagle wydobywać jadu, ukrytego w zakątkach mej duszy, i ciskać go jej w oczy. Swoją drogą jednak ta fałszywa rola, w jaką mimowolnie wpadłem, stawała się dla mnie uciążliwą. Nie odpowiedziałem jej nic.

Weszliśmy do parku. Tu, wbrew oświadczonej przed chwilą przez Cezarynę miłości dla ludzi, odszukaliśmy sobie aleję, mniej uczęszczaną przez letników, i usiedliśmy na ławce. Otworzyłem książkę i począłem czytać ten ustęp w Fauście, gdy Małgorzata egzaminuje kochanka z wiary.

— Zatrzymaj się pan — rzekła Cezaryna.

— Chce pani coś powiedzieć?

— Tak... chcę powiedzieć, że ludzie nader mało zastanawiają się

— Mniej, niż mało w wielu razach... zapewne... Ale „a propos" czego pani to mówisz?

— Myślę, że właściwie zagadki wiedzy nie obchodzą ich wcale... Mówię o masach, nie o wyjątkach... do których należy Faust, sprawdzający to, w co inni spokojnie wierzą!...

Dopiero od dwóch wieków wiemy, czemu ziemia utrzymuje się w przestrzeni... rozumiemy równowagę dwóch sił: przyciągającej i odśrodkowej. Przedtem zaś ludzie tego nie rozumieli, a żyli spokojnie. Ziemia nie padała, bo pan Bóg tak chciał. Fakt im wystarczał. Niektórzy, prawda tłómaczyli to sobie różnie, ale większość...

— Większość — podchwyciłem — i dzisiaj dobrze nie zdaje sobie sprawy z cudownych odkryć Newtona i Kopernika. Powtarza ich tezy, wyuczone w szkołach, przyjmuje je na wiarę, ale nie stosuje ich do tego, co bezpośrednio ogląda. To słońce, które widzą na niebie, jest inne, niż to, o którem uczą się w szkole. Tak, ludzie zastanawiają się mało i to „mało" daje się wyśledzić w dwóch kierunkach. Ogólnych prawd, wyczytanych w książkach, nie potrafią rozmienić na szczegółowe fakty życia: z geografii wynoszą znajomość jakiejś pokratkowanej kuli, ale nie ziemi. Z drugiej strony każdy fakt w życiu wydaje się im odosobnionym: nie potrafią wyobrazić sobie, że jeden fakt powtarza się tysiąc razy, nie widzą ogromnych kategoryj: żebrak jest dla nich żebrakiem, a nie nędzą, złodziej — złodziejem, a nie demoralizacyą społeczną...

Mówiłem to jakoś sentymentalnie, spoglądając w jej tęsknie zadumane oczy.

— No, czytaj pan dalej...

Zacząłem czytać.

— Nie, opowiedz mi pan lepiej sam coś o Fauście. Jak pan go rozumiesz?

— Ależ, pani, nie potrafię.

— Potrafisz pan, zechciej tylko, ja pana tak proszę.

— A więc... cóż robić? będę mówił.

Obróciła się ku mnie na ławce i skierowała na mnie uważne oczy, a ja, pomilczawszy trochę, utkwiłem nieruchomy wzrok w gałęzi stojącej naprzeciw mnie lipy i począłem mówić to, com nieraz przemyślał.

IX.

„Czem jest Faust?.. Jest to człowiek, którego duszę bezmierną, jak świat, zwinięto, zgnieciono i gwałtem wtłoczono w ciało, ograniczone trzema wymiarami i niezliczonem mnóstwem innych kajdaniących naturę ludzką właściwości cielesnych. Faust chce być wszystkiem, chce być tą gwiazdą, co świeci na firmamencie, tą mleczną drogą, która się wije po niebios stropie, tą atmosferą, co wszechświat przenika, — gdybyż to strop niebieski był jego ciałem, gdybyż to dusza jego wypełniała całą naturę! chce być makrokosmosem, bogiem... Wkrótce jednak otrząsa się z tych potężnych marzeń, czuje ich całą fikcyjność... Poddać się jednak odrazu zupełnie nie chce! Gdy już do ziemi przykutym być musi, pragnie przynajmniej wchłonąć w duszę wszystko, co ziemskie: złe i dobre, szczęśliwe i nieszczęśliwe, ból i rozkosz ziemi... jednem słowem, chce

być pełnią natury ludzkiej, ludzkością, mikrokosmosem, wszechczłowiekiem... Szaleństwo tego marzenia jemu, człowiekowi, pokazuje abstrakt, duch ziemi, to streszczenie wszystkiego, co ludzkie i ziemskie, o jakiem właśnie marzył Faust. „Tyś mnie nie rówien!" woła duch ziemi i zwycięża. Jego zwycięztwo nad Faustem oznacza: „człowieku! jesteś tylko jedną króciótką dróżką na obszarach ziemi, jedną formą śród miliarda, jednym atomem ducha ludzkiego, jedną istotą, jednym charakterem!"... Faust rozpaczliwie chwyta się za włosy. Teraz poczuł wyraźnie swoją skończoność, swój pchli wymiar, drobność tej łupiny, w której jest zamknięty, małość duszy, ograniczonej wytrzymałością nerwów i możliwą ilością zwojów mózgowych!.. Bo jeżeli duszę Fausta przedtem nazwałem szeroką, jak świat, to rozumiałem pod tem tylko tytaniczną siłę jego pragnień duchowych, jego żądzę nieskończoności.

Pod tym względem jest on nieskończonym; pod każdym innym — w rzeczywistości tedy — jest pewnym rodzajem, gatunkiem, charakterem, indywiduum, — a jako taki skończonym i zamkniętym być musi pomimo swojego „pragnienia szerokości!" Ach, to pragnienie szerokości! Wątpię, czy na tysiąc ludzi jest jeden, co je rozumie. Ja miałem szczęście — o, z bólem połączone szczęście — raz jeden niejasno je odczuwać. Wówczas jednak nie widziałem, że to szczęście.

Szedłem — i bolało mnie to, że idąc, przemieniam miejsce, pozostawiam je próżnem, że oto już, już, ktoś drugi je zajął. Gniewało mnie to, że tam przedemną były takie obszary, a ja ginąłem w nich jak atom pyłku... Bolało mnie, że ten drugi człowiek to już nie ja, że on czuje inaczej, odmienniej, niż ja, że moja myśl, mój duch, moje uczucia, tak niby szerokie, są tak wązkie w istocie, że wszystko we mnie odgrywa się w tej skorupie, zwanej czaszką, w tym worku, zwanym sercem, — na zewnątrz zaś nic nie wybiega!..

Przedemną snuły się najrozmaitszych ludzi tysiące, lecz choćbym cierpiał, szarpał się wewnętrznie, dusza moja nie przeszłaby w nich, nie mógłbym myśleć ich mózgami, boleć i radować się ich sercami. Każdy z nas był oddzielnem, maleńkiem „ja"... Zrozumiałem, że mi dano kawałek szmaty na ciało, trochę papki na mózg, kilka kropli czerwonego soku na krew, kilka mięśni na serce! Czułem, że ginę, przepadam w tym tłumie, a pragnąłem go objąć w całości!..

Przerwałem; byłem wzburzony własną mową; zbudziłem się...

— Ale ja panią nudzę — rzekłem, pragnąc zażartować ze siebie i czyniąc to bardzo niezręcznie.

— Panie! — zawołała, składając ręce — jabym pana całemi dniami słuchała — pan jesteś poetą!..

X.

Cezaryna od paru dni zmieniła się prawie do niepoznania. Na twarzy jej zjawiły się rumieńce, oczy nabrały nieledwie filuternego wyrazu, ruchy zdradzały młodzieńczą żywość. Uczyła dzieci z wielkim przejęciem, zajrzała parę razy do kuchni i chciała matce pomódz w robocie: „dla tego pana z przeciwka — mówiła — co to jada wszystko niedopieczone, zrobię kotlety.“ Potem poszła do ogródka, uparła się, że będzie kopała i podlewała kwiaty. Trzpiotała się nawet trochę Wieczorem z matką i ze mną siadywała w altanie, lub salonie, gdy dzień był dżysty; w rozmowie przyjmowała czynny udział. Kilkakrotnie siadła do fortepianu i grała mazurki Szopena.

Pani Olszewska była w siódmem niebie; uważała mnie za czarodzieja. Otrzymalem parę razy zaproszenie na obiad przy wspólnym stole u niej i naturalnie zawsze stawiałem się na oznaczoną godzinę; przy stole córka i matka obsługiwały mnie na wyścigi, to też wstawałem podwójnie syty: Jeżelim jadał u siebie, dostawałem podwójny lub potrójny kompot, z wiśni, z agrestu i z porzeczek. Szarlotka stawała się tak częstą, że aż mi zbrzydła; dawałem ją w cichości Marysi,

bo samej gospodyni, dla której szarlotka stanowiła szczyt sztuki kulinarnej, nie chciałem sprawiać przykrości odmową.

Z tem wszystkiem wesołość Cezaryny wydawała mi się jakoś nienaturalną. Nie powiem, aby była udaną, a jednak... Było w niej coś takiego, z czego sobie długo sprawy zdać nie mogłem: była wyraźna chęć sprawienia mi przyjemności.

— Panie doktorze! twoja metoda tryumfuje — mówiła po każdym głośniejszym uśmiechu, po każdym swobodniejszym żarcie.

— Umiem działać na ludzi — powtarzałem sobie wówczas w duchu.

Raz weszła cicho do altany i stanęła za mną.

Nie zauważyłem jej. Nagle krzyknęła wesoło:

— Ah!

— Co to?!.. to pani? — i zamknąłem kajet, znajdujący się w moich rękach.

— Mam pana!.. złapałam!.. A co?.. nie mówiłam, że pan poeta. Nie oszuka mnie pan. To wiersze, wiersze, wiersze...

— Nie zaprzeczam; to wiersze, ale co za wniosek ztąd, że jestem poetą? Przepisywałem...

— Nie! nie!.. pan je pisałeś... pan się zapierasz.

— No, może... — uśmiechnąłem się.

— Nie może, ale tak, napewno tak — nie kłam pan, panie Jerzy, to taka brzydka wada.

Tu pogroziła mi białym paluszkiem przy nosie.

— Zdaję się na łaskę i niełaskę. Tak jest! Od paru lat czynię zamachy na poezyę, przewracam prochy umarłych poetów w grobach, liczę sylaby na palcach, przymierzam końcówki słów, gryzę tuziny piór, znęcam się nad czystym papierem, zarabiam na wieniec laurowy, zabijam naszą literaturę ..

— Ach... panie Jerzy!.. nie tak prędko... bo się nic nie dowiem. Powiedz mi pan, czy krew płynęła?

— Jaka krew?

— Czarna... Farba drukarska.

— A jakże! Parę razy ściskano mnie pod prasą. Cóż? — zwykła choroba, która mnie zatrzęsła aż do skrzynki redakcyjnej: gorączka druku — Druckfieber, co jeden z reporterów kuryjerkowych tłomaczy przez „febra drukarska,“ sądząc zapewne, że drukarze na jakąś specyalną febrę chorują.

— Panie!.. ten kajet... można? — pytała, wyciągając ręce...

— Delinkwent składa dowody rzeczowe w ręce dostojnej sędzini—wydeklamowałem z patosem.

— Sędzini zasiada w trybunale — rzekła, biorąc kajet do ręki i zajmując miejsce obok mnie w altanie. — Co tu wierszy! co tu wierszy! ależ

pan sporo nagrzeszyłeś, panie Jerzy. „W szpitalu“... „Przyszłość“ — fantazyja...

Przewracała kartki i odczytywała tytuły:

— „Bakterye miłości“... Co za brzydki tytuł!

— Jak i sama rzecz... to humoreska...

— A to co?.. „Do niej“... Pan się kochasz?

— Albož to grzech? — zapytałem figlarnie.

Nie odrzekła nic, ale twarz jej jakby spoważniała. Zdawało mi się, że ręka, którą przewracała karty, drży.

— Jak można, kochając, tak długo pozostawać zdala od osoby kochanej? — zapytała po chwili jakimś flegmatycznym głosem.

Mimowoli przemknęło mi przez myśl pytanie: czy ja nie jestem blizko osoby kochanej? Nie umiałbym dać w tej chwili stanowczej odpowiedzi. Towarzystwo Cezaryny było mi teraz koniecznie potrzebnem: w samotności niecierpliwiłem się, rozmyślałem nad tem, co jej powiem, gdy się znów spotkamy, co będziemy czytali, gdy się zejdziemy. Wmawiałem w siebie, że studyuję jej charakter, i wieczorami zapisywałem w moim pamiętniku okoliczności naszego zaznajomienia się, nasze rozmowy, zmiany w jej usposobieniu etc. Wszystko to było pisane niby na chłodno, jak gdyby pewnego rodzaju anamneza chorej, moja dyagnoza, rezultaty „leczenia“ i t p.

W anamnezie tej jednak często wspominałem o oczach Cezaryny! mówiąc zaś o wpływie „metody psychicznej“, zachwycałem się rumieńcem, który poczynał zjawiać się na licach mojej pseudopacyentki. Pomimo to jednak zapewniałem siebie, że Cezaryna jest li tylko moją przyjaciołką,— serce moje nie bije miłośnie, nie!

— Czemuż pan się tak długo namyślasz nad odpowiedzią — spytała.

— Namyślam się... a właściwie nie, nie namyślam się. Nie chcę pozować, — powiem pani prawdę: Kochałem się, ale już nie kocham. Zastałaś mnie pani przy przeglądaniu starych wierszy — prochów miłości.

— Ach, prawda — uśmiechnęła się — data zeszłoroczna. To pan się w zeszłym roku kochał?

— Przed półtorarokiem... mogę dodać, nieszczęśliwie.

— Nie może być — rzekła naiwnie.

Dziękuję pani za komplement... Widać moja wybranka nie była pani zdania. I dziś — nawet nie mam jej tego za złe.

— Ach, ja tylko żartowałam — tłomaczyła swoją naiwność. — Ale czemu pan nie masz jej tego za złe?

— Bo w pierwszej chwili chciałem sprządz moje życie z jej życiem, a teraz widzę, że to byłoby bardzo głupie: rozczarowałbym się w miesiąc po ślubie.

— Pan taki młody... chciałeś się żenić?

— Chciałem to śmiertelne głupstwo popełnić, aczkolwiek poprzednio odżegnywałem się od niego rękoma i nogami... Dzięki jej zdradzie powróciłem do rozumu...

— Co pan tutaj pisze.

— Niech pani przeczyta.

Przeczytała milutkim głosem:

Podaj mi rączkę, o przyjaciółko! —
Ot moja dłoń.
Urazy wszystkie niechaj pochłonie
Letejska toń.
Gdy się połączyć nam nie pozwala
Fatalny los,
Niech-że się miłość w przyjaźń przemieni—
To serca głos!

Przebacz mi wszystko, jak jam ci wszystko
Przebaczył już;
I nawet losom za mym przykładem
Podziękę złóż...
Złóż im podziękę nie za rozłąkę —
W tem grozy znak...
Ale za chwilkę słodkiego szczęścia,
Ach, krótką tak!

Za słodycz uczuć, za czar miłości,
Za złoty sen...
Tu wolę przerwać, bo wiersz przechodzi
W żałobny tren...

Więc podaj rączkę, o przyjaciółko,
I gniewu zbądź...
Wierzę, że życie cię nie omami:
Szczęśliwą bądź!

A ja przebiegnę świat cały, długi,
Roniąc wciąż łzy,
I będę szukał — ach, takiej drugiej,
Takiej, jak Ty...

— Jakie to ładne... tęskne — rzekła Cezaryna — i ona pana nie kochała?

— Nie...

— Piszesz pan przecie, że były tam jakieś stosunki przedtem.

— Przedtem były, ale się skończyły: finita la comedia!..

— I pan do niej wiersze pisałeś?

— Pani, furę całą... Gdybym po zerwaniu chciał jej to wszystko odebrać, musiałbym na cały rok nająć tragarzy...

— I cóż ona teraz... jak... co robi?..

— Ona? — wyszła za mąż.

— Za mąż!.. to oburzające!

Rozśmiałem się: To naturalne... Dlatego, że mnie nie kochała, nie miała jeszcze powodu zostawać starą panną...

— A, prawda... — potwierdziła z przekonaniem.

Bawiła mnie swoją naiwnością. Widocznie, że w sprawach sercowych była mocno niedoświadczoną.

— Ależ pan... pan musiałeś ją bardzo kochać, skoro chcesz szukać „takiej drugiej“ i to „roniąc łzy“ — ozwała się z niejakiem współczuciem.

— Panno Cezaryno, nie lituj się nademną, bo przestałem już być szaleńcem. Pisałem to wówczas, gdy rana była świeżą, gdy za cenę życia chciałem być jej przyjacielem, nie mogąc być ukochanym, gdy zwalałem wszystko na „fatalny los,“ zamiast na jej „fatalną płochość...“ Patrz pani — tu na dole uczyniłem poprawkę ołówkiem; przeczytaj:

„Nie będę szukał już takiej drugiej,
Takiej, jak Ty.“

— Nie, wiesz pan, ja tego nic a nic nie rozumiem. Musisz mi to pan po kolei wszystko opowiedzieć. — Ale, panie... ja jestem niedyskretną — przerwała, rumieniąc się — tak niedyskretnie sięgam do cudzego serca...

— Nic nie szkodzi, pani. Ta historya należy już do... historyi. Opowiem ją w skróceniu, gdyż zbyt długa... O naszej miłości, zwłaszcza jeżeli była nieszczęśliwą, moglibyśmy opowiadać całą wieczność; — dlatego to szczegóły pozosta-

wiam do naszej pogawędki na drugim świecie... Tymczasem tylko szkielet:

Jestem korrepetytorem u państwa X. — jest tam czarnooka szesnastolatka — siostrzyczka mojego ucznia — kwitnące dziewczę rozpala fantazyą „początkującego“ poety... Państwo X. wyjeżdżają na wieś — biorą mnie ze sobą do syna — przy lekcyi tęskne spojrzenia — w wolnych chwilach szturm do serduszka — cztery ody i jeden sonet — rozkoszny wieczór, księżyc — pocałunki...

— Pocałunki?! — zawołała.

— A jak pani chciała?.. bez tego?.. Myśmy się naprawdę kochali! Ale co tu dużo gadać: okazuje się, że panienka jest dzieckiem... i że to dziecko, które, według mnie, zapowiadało dzielną kobietę, w krótkim przeciągu czasu, w atmosferze balów, fraków i pięknych sukien, rozwinęło się, według najpospolitszej modły, w panienkę, co lubiła bawić się, śmiać się, a czuć i myśleć nie wiele .. Była to istota bierna... jak większość kobiecych charakterów w młodości... Pókim był przy niej, działałem na nią, na jej wyobraźnię. Ledwiem odchodził zapominała o mnie. A że nie umiała zdawać sobie sprawy ze swoich uczuć, łudziła siebie i mnie, że się we mnie kocha... Okoliczności zewnętrzne zmusiły mnie, żem się od niej usunął trochę. Parę dni starczyło, wypłakała się i zapomniała mnie... Bardzo

pospolita historya... Powiedz pani, czyż mogę się na mój ex-ideał gniewać?

— Ale wtedy?.. coś pan uczynił?..

— Wtedy... wtedy...—podchwyciłem, a głos zadrżał mi mimowoli — wtedy płakałem po całych nocach, zapomniałem, co to jest sen, marzyłem o samobójstwie; zimową porą, ciemne, straszne wieczory przepędzałem na wsi, szlochając tam, gdzieśmy lato spędzali razem, jeździłem tam umyślnie koleją: jest to, proszę pani, patryjotyzm serca!.. Czasem upadałem tak na duchu, że chciałem iść, błagać ją o miłość na kolanach, a spotykając ją w towarzystwach drwiłem z niej, zcicha rzucając jej ostre słówka. Po każdem takiem spotkaniu, czułem, że pocisk się odbił od tej bezmyślnej dziewczyny i zranił mnie w serce... Kochałem ją potem żółcią moją... nienawidziłem ją, a pragnąłem widzieć... Usunąłem się wreszcie z towarzystw, w których bywała, odmówiłem lekcyj w ich domu, — a właściwie mnie odmówiono, — przekonawszy się nakoniec tysiącznemi dowodami, jak pospolitem była stworzeniem, zobojętniałem najzupełniej...

— Czy to napewno?

— O tak... tak... tak... — rzekłem wzburzony wspomnieniem.

— Ale wiele się pan nacierpiał...

— Wiele... Przedtem, ani potem nie cierpiałem tak nigdy, — ale i nigdy nie byłem tak

szczęśliwy, jak w owe dwa, trzy miesiące naszej wspólnej miłości... Odbyłem odwrotną pielgrzymkę, niż Dante: naprzód w niebie, potem w piekle byłem...

„Ja miałem także Beatrycze moją... Beatrycze?! Ha, ha, ha...“

Upłynęła długa chwila w milczeniu. Nagle Cezaryna, nie patrząc na mnie, i jak gdyby mocno zajęta rozpatrywaniem jakiejś czystej kartki w moim kajecie, spytała:

— Powiedz mi pan, proszę, czy można kochać po raz drugi?

— To zależy, pani...

— Zależy?.. jakto?.. — pytała tak niedbałym tonem, że to mnie aż uderzyło. W innych razach zwykle, zapytując, patrzyła mi prosto w oczy. Wyglądało to, jakgdyby odpowiedź moja była jej zupełnie tym razem obojętną. Jednakże odrzekłem szeroko.

— A tak pani! Zależy to od gatunku człowieka. Rozmaite mizerne indywidua, przewracające mdłemi oczyma, kochają się po parę razy dziennie, bo nigdy nie potrafią złożyć serca głęboko w drugiem sercu. W pugilaresie swoim noszą też setki wyperfumowanych bilecików miłosnych: Każda wiązka osobną przepasana wstążeczką i innemi odznaczona cyframi. Kiedy opowiadają o swoich „miłościach,“ wyciągają to wszystko, wyjmują mnóstwo zeschłych kwiatków,

trochę włosów blond, ciemnych, czarnych, kasztanowatych, rudych etc. i opowiadają: „właścicielkę tego kędziorka kochałem śmiertelnie“; przez inną chcieli skoczyć do Wisły, dla tamtej wieszali się już, ale postronek się urwał... Trochę mniej tragiczni z tej kategoryi uganiają się za byle gąską z pensyi, śledzą zazwyczaj dwie odrazu, w różnych alejach ogrodu, jednej nadskakują dla wzbudzenia zazdrości w drugiej... Bywają także tego rodzaju panienki: każdy inny frak, każda nowa para wąsów głębokie na nich czyni wrażenie: bezsenna noc... zwierzenia przed przyjaciółką.., roztargnienie podczas obiadu... przed następnym balem próba marzącego spojrzenia przy lustrze...

— Ach, jakiś pan... niedobry!..

— Charakteryzuję, proszę pani.

— Więc tylko tacy mogą parę razy kochać? Przypuśćmy: dwa...

— Nie, pani; zapomniałaś o Lassalu: ten dwakroć kochał namiętnie.

— Pamiętam, panie: raz tę cudzoziemkę, dla której napisał swoją autobiografią, a potem tę płochą Helenę Denniges, kokietkę!..

— Widzisz więc, pani, ludzie wielcy kochać mogą dwa razy. Tacy mają olbrzymi ogień w swej piersi: przy ogniu tym parę kobiet ogrzać się może. Niestety, na miłości wielkich ludzi, poetów, artystów, uczonych, działaczy społecznych, kobiety poznać się nie umieją... Od tych

potężnych ognisk zazwyczaj uciekają do ozdobnych kominków, o których rzeźbę mogą oprzeć swoje kapryśne nóżki.

— Historyę Lassala pan wcale inaczej mi wytłomaczyłeś.

— Inaczej?.. Doprawdy nie przypominam sobie.

— Ale ja, panie, pamiętam; ja pamiętam każde pańskie słowo, a wtedy pan coś bardzo pięknego powiedziałeś. Jedno zdanie...

— No, proszę, powiedziałem coś pięknego i o małoby to marnie nie przepadło dla potomności, gdyby nie pani szczęśliwa pamięć...

— Nie żartuj pan.

Przestała się bawić białą kartką papieru i znowu wprost spojrzała mi w oczy.

— Objaśniłeś mi pan, czemu owa cudzoziemka, Zofia, po przeczytaniu autobiografii Lassala, napisanej lawą, jak wyraziłeś się pan, i przedstawiającej całą niezmierzoną potęgę charakteru i genijusz Lassala, odmówiła mu, pomimo niezaprzeczenie wielkiej miłości z jego strony, która bije z autobiografii. Być wybraną przez takiego człowieka rzekłeś pan — to więcej niż koronę otrzymać z rąk narodu. A jednak odmówiła. Nazwałam ją małym charakterem. Przekonałeś mnie pan przeciwnie; czytałeś jej wspomnienia, mówiłeś, że owszem była to dusza podniosła, czująca wielkość Lassala.

— Tak... to wszystko mówiłem... ale owo zdanie piękne... nie mogę przypomnieć.

— Oto ono... Rzekłeś pan: Jowisz był większym psychologiem od Lassala, bardziej znał serce kobiece. Aby zyskać je sobie zmieniał się w deszcz złocisty, przybierał pióra łabędzie, lub postać rozjuszonego byka: błyskotki, łagodna powolność, albo namiętność działają na kobiety... Tymczasem Lassal zjawił się przed Zofią w własnej postaci, Jowiszowej; z piórem w ręku, w błyskawicach, w purpurze... w całym blasku swojej potęgi... Miast podziałać na serce, oddziałał na wyobraźnię... przestraszył ją... Lassal stał przed Zofią olbrzymi, potężny, jak tytan... Uśmiechu miłosnego na jego twarzy dojrzeć nie mogła, gdyż głowa tonęła w obłokach... Nie śmiała się zbliżyć... w jego ręku był piorun na wrogów ludu... Jakżeż ona, małe, zwyczajne stworzenie, wyglądać będzie przy jego boku?! — odmówiła!..

— Jak pani to wszystko pamiętasz!.. i w piękniejszej powtórzyłaś formie...

Moja miłość własna podrażniona była nader przyjemnie. Szczególnie radował mnie ten zapał, z jakim powtórzyła moją myśl...

— Tak, pani, tak... Lassal wówczas płakał — wulkan wylewał łzy; piorun o mało nie wyleciał z drżącej jego ręki. A potem... pokochał gwałtownie swawolną, złotowłosą Helenę... Ileż ognia było w jego piersi!.. Był to wielki człowiek!..

— Więc pan nie mógłbyś pokochać po raz drugi — spytała obojętnym tonem, nie patrząc na mnie.

— Ja, pani, należę do kategoryi środkowej. Kochałem raz gorąco — oszukałem się. Na tamtę miłość wyczerpałem cały zapas uczuciowy mego serca; wydałem wszystko do ostatniej iskry i — ostygłem. Sklejony garnek wydaje fałszywy dźwięk. Rozbite i sklejone serce mogłoby pęknąć, gdyby w niem po raz drugi umieścić potężną miłość. Nie, to niepodobna... Kto wierzył i został zdradzony, ten już chyba nigdy nie pokocha...

— Ale... przecież nie wszystkie kobiety łamią swoje przysięgi... Tamta była dzieckiem, jak pan sam powiedziałeś... A zdaje się, pan sam byłeś wówczas dzieckiem.

— Tak, to prawda, ale to faktu nie zmienia. Jestem sceptyczniejszym, chłodniejszym... Zdaje mi się, że nie uwierzyłbym tak łatwo kobiecie, coby mi powiedziała: „kocham“... Tamta tak szczerze mówiła to słowo, a jednak — skłamała! Kobietę uszanować, zaprzyjaźnić się z nią mogę— pokochać... chyba nie potrafię...

Mówiłem te słowa już jakby do siebie, z odcieniem smutku... one mnie samego przekonywały. Tak — szeptałem sobie w duchu — ja Cezaryny nie kocham... sympatyzuję z nią bardzo... ot, i wszystko... Kochać — to głupstwo

I wierzyłem sobie.

Znowu parę chwil trwało milczenie.

— Ależ, pani! — uderzyłem się nagle w czoło pod wpływem pewnego wspomnienia — ja tu gadam i gadam, a zapomniałem, że to właściwie była moja druga miłość! Ja się już przedtem raz kochałem.

— Co?! — i zapomniałeś pan o tem?

— Tak jest... bo też to była taka dziwna miłość, że jej liczyć nie można...

— Coś tak niezwykłego, że nie rozumiem wcale.

— No, to opowiem pani... Zechce pani słuchać?

— Pan wiesz, panie Jerzy, że jak pan mówisz, to ja zawsze słucham.

— Ale, proszę, nie patrz pani... tak... w bok.

— Nie patrzyć w bok?.. dlaczego?..

— Kiedy patrzę w pani oczy, doprawdy łatwiej idzie mi opowiadanie. O, tak, dobrze Zaczynam...

XI.

— Jest temu już lat pięć, byłem wówczas w gimnazyum, w ósmej klasie. Pamiętam, cała Warszawa rażona była tragiczną wieścią: znana warszawska piękność umarła! Była to młoda kobieta — dziewczę — lat ośmnastu; od kilku miesięcy narzeczona... Zaziębiła się, zapadła na krótko w chorobę i umarła prawie w przeddzień ślubu. Łatwo sobie pani wyobrazi, jakie wrażenie wywarł ten wypadek na ciekawskiej Warszawie: tłumy płynęły ją oglądać, przygotowywano się na pogrzeb, jak na uroczystość miejską. Zbiegowisko przed domem było tak wielkie, że aż żandarmerya czuwała nad porządkiem... Ja nie widziałem nigdy owej piękności. Poszedłem ją zobaczyć na katafalku. Ujrzałem i — zakochałem się!

— Co? w umarłej? — spytała z przerażeniem Cezaryna.

— Ona wyglądała jak żywa! A była przecudna!.. Wyobraź sobie pani pokój, kirem obity. Nieprzerwany tłum snuje się tam i napowrót: wchodzą i wychodzą. Oddychają ciężko, jakgdyby widmo śmierci dławiło ich piersi; szepczą, nie śmią mówić głośno — niby boją się ją zbu-

dzić. Śród mnóstwa oleandrów i wysokich, blado palących się przy blasku dziennym świec, na katafalku leży ona... śpi... Twarz o rysach klasycznych, niby dłutem arcymistrza rzeźbionych; równy, długi, grecki nos, źle domknięte, przepyszne jedwabne rzęsy; lica blade, poważne; wargi, zlekka odchylone; z po za nich wyglądają dwa rzędy białych ząbków... W ręce, ubrane w białe rękawiczki i splecione na piersi, wciśnięto krzyżyk... W przyczesanych gładko blond włosach tkwi mirtowa gałązka... Ubrano ją jak do ślubu...

Stałem godzinę, dwie, trzy — i wpatrywałem się w umarłą, a jakaś burza łez szalała w mojej piersi: na pozór jednak byłem spokojny i zimny. Aż poczułem wreszcie, że mi nie wolno tak stać, że może zwrócono na mnie uwagę, że jak zostanę jeszcze chwil parę, to się rozpłaczę...

Uciekłem za miasto, przewałęsałem się całą noc, gorzko płacząc i załamując ręce... Żałowałem, że tak mało wiary było we mnie, bo mógłbym wówczas pięściami wygrażać niebu: jak ono śmiało zabrać tak młodą i piękną dziewczynę?! jak śmiało taki pałac oddawać na mieszkanie robakom.

Nazajutrz, ledwo świt, ledwo tam wchodzić zaczęto, byłem i ja na mojem stanowisku, naprzeciw niej, śród dwóch oleandrów i dwóch świec; parę godzin patrzyłem na nią, zapamiętywałem każdy rys tej twarzy, która wkrótce miała rozsy-

pać się w proch: dziś jeszcze obraz ten został w mojej pamięci z najdrobniejszemi szczegółami. Prawda, że tegoż dnia po południu byłem tam poraz drugi, wieczorem poraz trzeci; nazajutrz przed pogrzebem znowu kilka godzin nasycałem oczy jej cudną, śmiertelnie bladą twarzą.

Odprowadziliśmy ją na cmentarz. Drogi nie pamiętam, bo oczy miałem wciąż spuszczone na bruk uliczny; i dziś, kiedy chcę sobie tę drogę wyobrazić, przedstawia mi się ogromna równina bez końca, cała usiana kamieniami... A nogi, pomnę, miałem zdrętwiałe... podnosiłem je tak ciężko, jak ciężko myślał wówczas mój mózg... Myślał?.. Właściwie nie... Marzył ciągle o jakiejś ciemnej przepaści, w którą naprzód opuszczono ją, a potem tam niby słońce wpadło: zrobiło się ciemno, tłum jął się popychać, co chwilę ktoś inny zapadał w bezdenną głąb, a wreszcie i ja zostałem wepchnięty i leciałem, leciałem, leciałem bez końca... Tak marzyłem, kiedyśmy weszli między las krzyżów i pomników i dzwony głucho zwiastowały, że jesteśmy na miejscu... Stałem między tłumem i nic dojrzeć nie mogłem. Słyszałem tylko przenikliwy smętny śpiew księży, requiem żałobne, jakieś głuche jęki i płacze — matki, siostry, narzeczonego; potem dziwny szmer: poznałem — to ziemię rzucano na wieko trumny.

Ostry ból świdrował mi pierś...

Nazajutrz cały dzień brakło mi czegoś... nie mogłem wziąć się do żadnej pracy... wyobrażałem sobie, że to moja narzeczona umarła i że teraz życie moje będzie pustem. Poszedłem przed jej dom, rolety spuszczone w oknach, drzwi zamknięte — cicho...

Począłem łazić po mieście; wszystko mi było obcem, nudnem; gwar przechodniów raził mnie i targał moje nerwy: zatykałem uszy... Pragnąłem uciec... Nagle przyszła mi dzika myśl do głowy... Był już późny wieczór.. Poszedłem na cmentarz.

Między mnóstwem grobów, pomników i krzyżów udało mi się odnaleźć nareszcie grób familijny, w którym świeżo pochowano jej zwłoki. Odszukałem go po znajdującym się w pobliżu, jakimś wysokim pomniku, o charakterystycznych kształtach, na który spoglądałem wczoraj machinalnie, przez cały czas żałobnej ceremonii, i który dzięki temu zapamiętałem. Na jej grobie paliła się lampka; na krzyżu wisiał świeży wianek: musiał tu już ktoś być tego dnia.

Położyłem się na kamiennej płycie i tak bez ruchu leżałem parę godzin, oddając się jakiejś żałości bez słów, bez łez, bez myśli...

Wtem ktoś mnie poruszył za ramię. Wzdrygnąłem się. Przedemną stał w czarnej odzieży, w kapeluszu z krepą, blady, jak trup, narzeczony zmarłej; widziałem go wczoraj na pogrzebie i poznałem.

— Czego ty tutaj chcesz? — przemówił grobowym głosem — tu jest moje miejsce.

— Siadaj pan obok i płacz ze mną...

— Ja nie chcę... Ja chcę płakać sam... Jakiem prawem płaczesz pan tu, na tym grobie?

— Jakiem prawem?.. Ja pańską narzeczoną pokochałem po śmierci...

— Co?!.. co?! . panu niewolno jej nawet po śmierci kochać... ona należy do mnie.

— Teraz do nikogo.

— Kłamiesz pan — wrzasnął — ona należy tylko do mnie. Poczekaj pan. Musisz się ze mną bić.

Przed oczyma błysnęło mi coś niby ostrze szpady.

Wstałem i ręce skrzyżowałem na piersiach.

Zabij pan bezbronnego.

— Nie! pan się będziesz bronił — zawołał — masz, weź pan to!..

I podał mi gałęź, którą z szybkością błyskawicy urwał z poblizkiego drzewa. Machinalnie wziąłem podaną mi gałęź i zastawiłem się nią. Wówczas szaleniec ów począł z całej siły walić swoją szpadą w moją gałązkę, z której drzewo kawałami odpadało. Byłem coraz mniej zasłonięty; za parę chwil otrzymam cios w głowę...

Wtem dał się słyszeć głuchy jęk z pod ziemi. Wszystko zaczęło się chwiać. Pomniki rozwalały się i padały z hukiem, krzyże pękały

i przewracały się na ziemię... Niebawem wyrósł z pod ziemi ogromny tłum szkieletów, który po przez mogiły kroczył i szedł prosto ku nam, chrzęszcząc przerażająco kośćmi. A wszystkie pokazywały na nas kościstemi palcami i syczały: „zdusić ich! to burzyciele naszego snu wiecznego...”

Ale zaciekły mój przeciwnik nie baczył na nic; zda się, nic nie słyszał; z coraz tylko rosnącą wściekłością uderzał w resztkę gałązki, która pozostała w mojem ręku; już, już cios padnie na moją bezbronną głowę. Wtem wyraźnie poczułem, że za mną grób się otworzył,.i kiedy sięgało mnie to wojsko szkieletów, nagle ona objęła mnie z tyłu, była w białej sukni, i rzekła: „Pójdź do mnie, ja cię obronię, skryjemy się do tego grobu...” Poczułem jej lodowate palce na twarzy i krzyknąłem!..

— Co panu jest? czemu pan tak krzyczy? — spytał mnie jakiś człowiek, z obrośniętą twarzą, w grubym kaftanie, z latarką w ręku, nachylając się nademną. — Budzę pana od kwadransa i nie mogę się dobudzić.

Był to grabarz, który wyrwał mnie z tego straszliwego snu. Odprowadził mnie do dorożki, a ta odwiozła mnie do domu. Dwa tygodnie przeleżałem w łóżku, gorączkując. Kiedym wyzdrowiał, miłosna zmora pierzchła. Tylko mój przyjaciel śmiał się ze mnie, że do trupów chodzę na rendez-vous i mdleję na schadzkach.

Skończyłem, zadowolony mocno z odtworzonego tak „barwnie" obrazu z przeszłości. Cezaryna milczała. Zauważyłem dopiero teraz, że opowiadanie moje, którem sam się do pewnego stopnia przejąłem, uczyniło na niej silne wrażenie. Oczy jej spoglądały nieruchomo, wargi drżały. Oddychała ciężko.

— Co pani jest?! Panno Cezaryno! przecież to tylko sen, głupi sen...

— Jak pan to strasznie opowiedział... ta umarła .. ta miłość... tak, w umarłych można się kochać... — mówiła stłumionym, przerywanym głosem, przyciskając dłoń do piersi.

— Ależ pani — śmiałem się, udając humor — toć to zabawna historya! śmiej się i ty pani, błagam panią, śmiej się .. uśmiechnij się...

Byłem nie na żarty przestraszony. Zauważyła to i uśmiechnęła się z wysiłkiem, wyciągając do mnie rękę. Pochwyciłem ją i zatrzymałem. Po paru minutach była spokojniejsza.

— Ależ z pana fantasta... Nie wiedziałam o tem. Miałam pana za zupełnie... rozsądnego człowieka!

— A, widzisz pani... nie chciałaś mi wierzyć, kiedym temu zaprzeczał.

— Sądziłam, że pana już znam. Nie wiedziałam, że masz rozdrażnione nerwy i że... lubisz je rozdrażniać...

— Uważam, że to wielka wada w pani oczach.

— W moich? Nie... przeciwnie, to sympatyczne... przecież ja to sama lubię... Ale że też ja pana z tej strony nie znałam... Pan dziś jesteś taki inny...

— Jeszcze mnie pani bardzo mało znasz — rzekłem poważnie — Bodajbyś mnie pani nigdy z tych innych stron nie miała potrzeby poznać.

Uśmiechnęła się.

— Chcesz pan przedstawić się za tajemniczago sfinksa, posiadającego mnóstwo grzechów...

— O nie, pani, wcale nie... chociaż mógłbym wraz z Hamletem powiedzieć, że mam wad więcej, niż czasu na okazanie ich...

— Czy pan w siebie nie wierzysz?

— Bardzo mało... Ale, proszę, nie mówmy o tem... to temat dla mnie wielce niemiły... Postanowiłem o tem nie myśleć...

— Panie Jerzy, a wiesz pan co? — spytała z figlarnym uśmieszkiem, który znowu powrócił na jej wargi.

— Będę wiedział, jak pani powie...

— Ja panu nic a nic nie wierzę!..

— A! to bardzo zaszczytne dla mnie...

— Nie powiedziałam, że zawsze, tylko teraz, kiedy pan mówisz o swoich wadach... Pan należysz... do tych wielkich ludzi, co to lubią o sobie mówić źle...

— Do tych małych ludzi, niestety! panno Cezaryno. Daleko pozostawiłem za sobą ten czas, kiedym nadymał się marą wielkości.

XII.

— A to co?! — zapytałem siebie prawie głośno, wchodząc do mego pokoju po powrocie z parku i ze złością zmiąłem kapelusz w ręku. Z sąsiedniego saloniku słychać było wyraźnie odgłos jakiejś bieganiny. Ktoś gonił Cezarynę, śmiał się i wołał: „Ależ Cedziu, Cedeczko, musisz mi dać jednego całusa; to darmo! nie uciekniesz...” Cezaryna widocznie wydzierała się. Słyszałem szept jej, ale słów rozróżnić nie mogłem. „A czego mam się wstydzić — wołał nieznany mi młody głos — zresztą tam nikogo niema. Patrzyłem w okna. No, daj całusa, daj jednego!” I znowu bieganina, szepty.

— A co mnie ten facet obchodzi?! Medyk jakiś?.. pewnie musi być ograniczony! Medycy płyną wązkim rynsztokiem swojej specyalności — wołał tenże głos — społeczeństwa nie rozumieją!.. Dlaczego nie mam krzyczeć?!.. To niech słyszy! Może się nawróci do nauk społecznych... E, co ty mi tam gadasz?! Powiadam ci: nie wierz ty

jego rozumowi... Zobaczysz, jak ja go schlastam wieczorem przy jakiej dyskusyi...

— Kto to może być? — pytałem sam siebie — Musi być jakiś blizki znajomy, krewny może, skoro tak poufały, — zaczynałem się trochę uspakajać — ale dlaczego nic mi o nim nigdy nie mówiła.

Na moje szszęście weszła Marysia, niosąc zupę.

— Kto to tam taki? — wskazałem na drzwi.

— A no, pan Michał.

— Co za pan Michał?

— No przecie pan Michał, co przyjechał tera.

— Czy to jaki krewny pani?

— A musi krewny.

— Czy często bywa?

— A bywał dawniej często, tera nie. Przyjeżdżał raz na wakacye... ale mały był... A tera mu się tak wąsy alegancko puszczajom...

I pokazując białe zęby, wyszła.

Zjadłem obiad, słuchając, jak za drzwiami dowodzono, że medycyna teraz niepotrzebna, że koniecznem jest skierowanie wszystkich sił na pole społeczne... że głowami medyków, przyrodników i poetów trzeba nabijać armaty i rozwalać stary gmach społeczny ..

Pomimo tej groźby dla mojej głowy, udałem się natychmiast po obiedzie do saloniku pani Olszewskiej. Zastałem matkę i córkę, a pomię-

dzy niemi młodego chłopca, o ładnej rumianej twarzyczce, kręcących się kasztanowatych włosach, który, niedbale siedząc na kanapie i puszczając kłęby dymu z papierosa, opowiadał wesoło o jakimś wuju, któremu „reumatyzm przechadza się z jednej nogi do drugiej".

Pani Olszewska przedstawiła go temi słowy:

— Michał Leszczyński, syn mojej siostry, zamieszkującej w Odessie, obecnie skończony gimnazista.

— Jak najskończeńszy ciociu — rzekł żartobliwie młody człowiek, wyciągając do mnie rękę.

— Cóż, kolega też na medycynę? — zapytałem, udając, że nie słyszałem jego niedawnych wywnętrzeń.

— Michaś nie lubi medycyny — rzekła pani Olszewska.

— Nie wierzy w nią — dodała córka.

— Ja, panie, będę pańskim chorym dopomagał procesować go za przepełnianie organizmu szkodliwemi miksturami.

— O to jestem spokojny — odrzekłem z uśmiechem — moi chorzy nie będą w stanie procesować mnie, zaraz po paru wizytach! Już ja sobie poradzę.

— Och, co za okropny medyk — z udanem przerażeniem zawołała pani Olszewska.

— Będę dopomagał tylko naturze, która wszystkim nam przeznaczyła śmierć.

— Protestuję przeciwko śmierci — wołał Michaś — ale radzę protest ten ogłosić pod gołem niebem: No, dalej państwo, do lasu. Kiedym na wsi, to na wsi. Nie przyjechałem tutaj, aby gnić w mieszkaniu, zwłaszcza gdy taka pogoda!..

Próżne były wymówki. Nawet pani Olszewska, wbrew zwyczajowi swemu pozostawania przy kuchni, lub w ogródku, zmuszona była wyjść z nami. „Szczepanowa załatwi wszystko w ogródku, a Marysia w kuchni — wołał wesoły chłopiec. — Ciocia zaś mnie towarzyszyć musi! No, Cedziu, zbieraj-że manatki! A i pan doktór „in spe" z nami!"

Udaliśmy się we czworo do lasu. Michaś szedł z ciotką naprzód; co chwila odbiegał od niej, zrywał jagody, a po chwili powracał, przynosząc jakąś większą czerwoną ciotce lub kuzynce. Ja z Cezaryną szedłem z tyłu; chwilami również zbieraliśmy jagody, nawzajem wskazując sobie ukryte pod liśćmi.

Rozmowa to była wspólną, to znowu rozdzielała się: Michaś mówił z ciotką, ja — z Cezaryną. Ostatnia zmiana widocznie podobała mi się bardziej, gdyż starałem się o ile możności pozostawać z Cezaryną w tyle. Ale i wówczas — rzecz dziwna — czułem, że tamtych dwoje, idących przed nami, mocno mnie krępuje.

Dlaczego? — zapytywałem siebie w myśli —

przecież jest tylko moją przyjaciółką i niby pacyentką. Dlaczegoż pragnę pozostać z nią sam na sam?

A zadając sobie to pytanie, starałem się ciągle iść najbliżej niej i było mi przyjemnie, kiedy ręka jej otarła się kilkakroć zlekka o moją rękę.

Byłem jednak jak najgłębiej przekonany, że w stosunku moim do Cezaryny miłości niema, po prostu dlatego, że nie uważałem się już za zdolnego do miłości.

Przyzwyczaiłem się widywać ją codzień i rozmawiać z nią po parę godzin. Ostatniemi czasy — czułem to dobrze — wielką rolę w tej przyjemności obcowania z nią odgrywać poczęła moja próżność: wiedziałem, że jestem uważnie słuchany, nieraz podziwiany pocichu — a któż tego nie lubi? Ja lubiłem może więcej, niż inni; to też starałem się zręcznie podtrzymać w niej ten podziw zarówno myślami mojemi, jak i tą formą, w którą je ubierałem... A czyniłem to niby niechcący, niby zupełnie swobodnie. Jest to specyalny rodzaj kokieteryi męzkiej.

Prócz tej drobnej próżności, inną jeszcze rolę grała tu moja miłość własna. Ożywienie Cezaryny, jej uśmiech, lekki ton jej rozmowy, jej niejakie zapomnienie się—o ojcu bowiem mniej wspominała i rzadziej siadywała rozmarzona pod oknem, — wszystko to uważałem za moje dzieło,

za owoc mojego umiejętnego postępowania. Oto czegom dokonał z tą apatyczną i posępną dziewczyną — mówiłem do siebie. Teraz już nie widywałem na jej ustach tego przelotnego skrzywienia, jakiem spotykała mnie dawniej, kiedym przerywał jej sam na sam w salonie. Byłem rad z tej sympatyi, jaką mnie obdarzała, z tego duchowego węzła, który zadzierzgnął się pomiędzy nami!

I właśnie teraz, w tej chwili, poczułem to po raz pierwszy tak mocno. Tak, tych dwoje bezwarunkowo przeszkadzało mi. Wprawdzie z Cezaryną mówiliśmy przeważnie o kwestyach poważnych, filozoficznych, społecznych i artystycznych, ale i o tem niepodobna mi było mówić teraz, kiedy przed nami szła jej matka i obcy mi zupełnie Michaś. Słowa nie przechodziły mi przez usta; byłem zlekka zniecierpliwiony, mówiłem też bardzo niewiele. Cezaryna, nie wiem czemu, naśladowała mój przykład.

Za to Michaś był niewyczerpany. Opowiadał on o „ściąganiu" na egzaminie ostatecznym i co chwila odwracał się ku nam, gdyż szliśmy, jak mówiłem, za nim i za panią Olszewską.

— Cedziu! słyszysz? uważaj, bo to ciekawe: a i pan słuchaj także: tak genialnego ściągania nie byłeś pan chyba nigdy świadkiem. Systemy ściągania postępują także. Ja wynalazłem nowy system... przynajmniej dziesięciu mnie zawdzię-

cza patenta... Co mnie też za bibę urządzili koledzy!..

I opowiadał, jak ustawione były stoliki, jak „telegrafowano" karteczki po całej klasie, to jest rzucano je w pigułkach, jak zostawiano je na oknie w szklance od wody, dokąd koledzy kolejno chodzili pić, jak jeden z uczniów połknął karteczkę, gdy o mało go nauczyciel nie „złapał" i t. p.

Cezarynę raziło to mocno. „Ależ to brzydkie... to bardzo brzydkie — mówiła — przecież to jest nieuczciwość—takie oszukiwanie nauczycieli... Jakżeż tobie nie przykro, Michasiu, wziąć potem ten patent do ręki?"...

Michaś śmiał się na całe gardło.

— Przykro!.. przykro!.. ha! ha! ha!.. Widać, Cezaryno, żeś nigdy w szkole nie była... Patent to ładny papierek! Dlaczegożby mi miało przykrość sprawiać wzięcie go do ręki?! Jaka ty zabawna, kuzynko!...

— I pan także ściągałeś? — zwróciła się do mnie naiwnie.

— Cóż? pani — ideałem nie jestem, nieraz zdarzało mi się ściągać — odrzekłem z uśmiechem.

— Ależ z pewnością! — zawołał Michaś — wyobrażam sobie pana doskonale, jak pan ściąga... Wąsiki się ruszają, oczy biegają, nachyla się pan powoli nad kolegą... pan taki wysoki... cień pada na całą klasę...

Musiałem się śmiać, choć wcale nie byłem w humorze.

Po paru chwilach, kiedy schyleni, we czworo, nad jakąś kępką czarnych jagód obrywaliśmy je i zajadali z zapałem, Michaś rzucił mi znienacka pytanie:

— Czy pan widziałeś już operacyę?

— Naturalnie, cały czwarty kurs byłem w klinice chirurgicznej.

— Jakbym ja chciał zobaczyć kiedy amputacyę! To podobno trwa parę minut... Co to za zręczność! To musi być ciekawe!

— To musi być straszne! — zawołała Cezaryna, zakrywając sobie oczy. — Nie mów, nie mów, bo ja to teraz widzę przed sobą!

Powstała i chwiała się na nogach. Doprowadziłem ją do drzewa, o które się oparła. Matka, niespokojna o nią, obejmowała jej głowę.

— E, tyś dyabelnie wrażliwa, kuzynko — rzekł Michaś, pozostając w leżącej pozycyi i zrywając najspokojniej jagody.

— Zaręczam, że i panu nie byłoby wesoło — ozwałem się doń, podrażniony zlekka tą obojętnością — gdybyś raz zobaczył operacyę.

— To musi być okropne, panie Jerzy — zwróciła się do mnie Cezaryna z bolesnem skrzywieniem ust.

— Pan Rymsza jest przecie medykiem, moje dziecko — tłómaczyła pani Olszewska — już i na trupów patrzył. Na niego to już wrażenia takiego nie sprawia...

— Niestety, myli się szanowna pani... takby już być powinno, ale dzięki głupim moim nerwom, tak nie jest. I to nie prosektoryum tak na mnie oddziaływa. Wstępując na medycynę, obawiałem się najbardziej trupów. Ale, wierzaj mi pani, do nich właśnie przyzwyczaić się najłatwiej. W prosektoryum krajemy umarłych, jako preparaty anatomiczne, umyślnie na ten cel przygotowane, i zapominamy zupełnie, że preparaty te kiedyś oddychały życiem: trup to już nie człowiek. Ale co do operacyi, to rzecz inna. Patrzyłem na nie, przezwyciężałem się, ale skłamałbym, twierdząc, że krajanie żywego ludzkiego ciała nie działa na mnie. Nieraz z tego powodu byłem pośmiewiskiem kolegów. Przy pierwszej operacyi zemdlałem i... i... gdyby nie mus, nie czas zużyty na kształcenie się w danym kierunku, możebym się przerzucił na inny wydział. Ostatniemi czasy oswoiłem się bardziej, ale wątpię, czy kiedy będę mógł być chirurgiem. Widziałem raz, jak młodej jakiejś kobiecie... ah, to było straszne,.. odejmowano nogę... pierwszy raz znajdowałem się przy amputacyi... chora nie krzyczała, gdyż była zachloroformowaną, ale ja... ja... za to zapomniałem się, krzyknąłem i cofnąłem się za tłum moich kolegów...

— Brawo, brawo, panie! będzie z pana wyborny lekarz — śmiał się Michaś — mam gangrenę w nodze, wzywam pana, zaklinam, abyś

amputował, bo jad przesiąka w krew, bo umrę... a pan zaczynasz krzyczeć — i w nogi.

Uwaga ta dotknęła mnie mocno, ale nie odpowiedziałem nic.

— Idźmy — rzekłem do Cezaryny.

Poszliśmy przodem. Za nami Michaś z ciotką.

— Pan jesteś zatem bardzo nerwowy — odezwała się cicho Cezaryna, przerywając milczenie — to źle... to źle... Nie sądziłam, że tak bardzo — dokończyła, jakby mówiąc do siebie.

— Czemu źle?.. Wczoraj nazwałaś pani tę nerwowość sympatyczną.

— Tak... ale pan — doktór... pan – mężczyzna...

Urwała. Może poczuła instynktownie, że poruszyła jeden z najdrażliwszych dla mnie tematów: mój stosunek do medycyny. Postanowiłem bądź cobądź odwrócić rozmowę od tego przedmiotu, bo czułem już, jak rozdrażnienie wzmaga się we mnie z każdą chwilą.

Korzystając z tego, że znacznie wyprzedziliśmy Michasia i panią Olszewską, zwróciłem się do niej w te słowa:

— Opowiedziałem pani wczoraj dwie miłosne historye... I pani winnaś mi coś ze swego życia... Odpowiedz mi pani szczerze, czy serduszko twoje nie znało dotąd mocniejszego bicia...

Zadawałem jej to pytanie pół żartem, pół

seryo. W tym stanie apatyi, w jakim ją poznałem, uważałem ją za niezdolną do uczucia miłości. Może też dlatego starałem się o jej sympatyę, przyjaźń, szacunek — nie zaś o miłość; na co, dlaczegoż miałbym się o nią starać, kiedy serce moje wobec niej pozostawało zupełnie spokojnem, o czem nie pozwalałem sobie wątpić. A jednak po za mojem pustem pytaniem zdawała się ukrywać myśl: „jakie też ja na tobie wrażenie sprawiam? podobam ci się, co?".

Zarumieniła się. Odrzekła:

— Moje „serduszko" nie ma przeszłości.

Słowo „przeszłości" podkreśliła.

— Ale, wie pan, starał się ktoś o mnie.

Ukłuło mnie to jakoś.

— Któż to taki? — spytałem obojętnym tonem.

— Tutejszy aptekarz.

— Aptekarz?.. pozwól pani... ktoś mi o nim mówił? Aha, chłop, który przywiózł mnie z kolei, zachwycał się jego mądrością...

— On, panie, wiele hałasu tutaj robi... Otóż, było to tak... wkrótce potem, jak dom nasz opustoszał... Byłam wówczas... pan wie, jaką byłam... milcząca, smutna, bez chęci do życia... Pan aptekarz, jegomość dobrej tuszy, mocno wierzący w siebie, stanął przedemną pewnego poranku i kręcąc wąsa, oraz gładząc się po łysinie — jest już niemłody — rzekł do mnie prosto z mo-

stu: „Nie trzeba się martwić, mościa panno, trzeba wyjść za mąż... to się zapomni... Mam antidotum. (To jego ulubione wyrażenie). Wyjdź panienka za mnie" — Ależ, panie — rzekłam ździwiona — zkąd znowu, tak mało mnie pan znasz, a zresztą serce moje nic nie mówi. — „Nie mówi? to będzie mówiło — odrzekł zarozumiale — ale moje mówi... a ja jestem desperat, proszę pani". — Żal mi pana serdecznie, ale nie mogę. — „Ha, to trudno, miałem najszczersze chęci!"... Nie śmiałam się wówczas, bo nie umiałam się śmiać. Wiesz pan, co w parę dni potem powiedział mi: „Pani, znalazłem antidotum!" i wkrótce potem przywiózł sobie z Warszawy żonę, arcyniesympatyczną kobietę. Matka winną jest temu człowiekowi paręset rubli, przyjmuje go też czasami... musi... Tak to na tym świecie... Ileż to rąk musimy ściskać, pomimo wstrętu w duszy...

— Pani, tak młoda, znasz już życie i ludzi?

— Panie, nic tak nie udojrzała jak nieszczęście... Pan, zdaje się, uważasz mnie za naiwną, a ja przecie patrzę bardzo poważnie na świat... i lubię tak słuchać ludzi poważnych... Ja pana staram się zrozumieć...

Urwała. Szedłem przy niej, milcząc.

— Panie Rymsza, wstrzymaj pan bieg swój — zawołał nagle Michaś — mam dla pana propozycyjkę. Mówiłem tu właśnie z ciocią, że nie potrafię siedzieć na miejscu. Pojadę ztąd na

jeden dzień do N... miasto gubernialne... ma być ładne... nie znam. Otóż, czy nie zabrałbyś się pan razem ze mną.

— Panie, jedź pan — zwróciła się do mnie Cezaryna błagalnie — tam mój ojciec... w szpitalu... Zobaczysz go!.. Może jest jakaś iskra, jakaś iskierka nadziei, przywieziesz nam ją pan.

— Pojadę — odrzekłem krótko.

— To zechcesz mi pan zrobić grzeczność — wtrąciła pani Olszewska — wręczysz skromny miesięczny datek siostrze Emilii, która pielęgnuje mojego biednego męża.

— A zatem, za parę dni jazda — rzekł Michaś — wyjedziemy, panie, w nocy... pociąg wychodzi ztąd o trzeciej... Cały dzień zabawimy w N..., a wieczorem fajt do cioci z powrotem. Najlepiej pojechać będzie w sobotę...

— Naturalnie, że przed sobotą was nie puszczę. W piątek mamy świętej Anny. To przecież drugie imię mojej Cezarynki. Musimy obchodzić, duszko, twoje imieniny — nie sprzeciwiaj się, proszę, bo ci nie ustąpię.

— Bez ojca — rzekła, spuszczając głowę, smutnie Cezaryna.

Po chwili podniosła ją i, zwracając się do mnie, ozwała się powolnym głosem, którym, zda się, pokrywała wzruszenie:

— Będziesz pan miał sposobność podziwiać aptekarza. Przyjdzie zapewne, bukiet przyniesie,

jak roku zeszłego; będzie z żoną i nieodstępnym buldogiem...

— Będzie zapewne i weterynarz — dodała matka. — A może i pan Rajkowski przyjedzie ze stacyi, gdzie bawi teraz u zawiadowcy. To bardzo rozumny człowiek, panie Rymsza, będziesz pan miał z kim pomówić...

— A czy ta para niemieckich trąb, mieszkających naprzeciwko cioci będzie, czy nie? — zapytał Michaś.

– Nie... my nie przestajemy ze sobą.

— A to dobrze!.. bo jak niemcy są, to ja zawsze skandal robię, a po co cioci w domu skandale?.. Prawdę mówiąc, to grzech, że im ciocia wynajęła mieszkanie... i to takim paskudom. Jakem zajechał przed dom i zobaczyłem ich w sieni, tak chciałem zaraz wsiadać znowu na furmankę i do domu...

— Jakie ty dziecko jeszcze, Michasiu, a z czego byśmy żyli — uśmiechnęła się pani Olszewska. — Nawinęli się ci, to i przyjęłam... A tobie, chłopcze, nie pozwolę tak prędko od nas uciekać... Musisz dopomódz panu Rymszy rozerwać moją Cezarynkę, bo boję się, że sam się chyba zamęczy...

— Ah, pani, gdybyż to tylko tacy męczennicy bywali, chyba każdy błagałby nieba o męczeństwo...

— To dopiero komplemencistę masz tutaj,

kuzynko. Nie ciesz się ze mnie za to, ja tak nie smaruję miodem!...

„Nieznośny" pomyślałem.

Cezaryna milczała.

XIII.

W piątek, wieczorem, w znanym nam saloniku, na stole, pokrytym białym obrusem, kipiał samowar. Pani Olszewska krzątała się koło niego, nalewając herbatę. Około okrągłego stołu siedziało niezwykłe w tym saloniku gronko, złożone aż z ośmiu osób. Ścisnęliśmy się też trochę, gdyż stół nie był zbyt szeroki i długi.

Obok pani Olszewskiej zajął miejsce Michaś, wesoły i gadatliwy, jak zawsze. Przy nim siedziała Cezaryna, spokojna, jakoś smętnie uśmiechnięta. Ja zajmowałem sąsiednie krzesło; obrałem sobie to miejsce, aby być najbliżej Cezaryny, a jednak nie byłem jeszcze zadowolony z mojej pozycyi; nie mogłem jej bowiem spoglądać wprost w oczy, do czego się przyzwyczaiłem i co, jak spostrzegłem w tej chwili, było nawet moją potrzebą. Był to jeszcze jeden więcej powód — może jeden z najważniejszych, — aby utrzymywać mnie tego wieczora w najgorszym humorze.

Cały bowiem ten wieczorek nie podobał mi się mocno, aczkolwiek nie dawałem tego poznać po siebie. Po co mi poznawać te nowe osoby? — pytałem siebie, rozglądając się po pokoju. Gniewał mnie tęgi, nizki, z okrągłym brzuszkiem, rumiany aptekarz, któremu policzki się trzęsły, ilekroć przemówił tubalnym głosem. Drażniła mnie jego żona, przybrana w kraciastą chustkę, o twarzy upstrzonej piegami, przedstawiająca jakiś emblemat spiczastości, dzięki długiemu nosowi, ostremu podbródkowi i kościstym ramionom; jejmość ta, jak okazało się zaraz w początku rozmowy, wiedziała wszystko, o wszystkiem czytała w jakiejś gazecie; chcąc dowieść swego żywego udziału w rozmowie, potakiwała gadatliwemu Michasiowi, nim ten jeszce zdanie kończył. Przytem była niesłychanie słodką, prosiła o wszystko w zdrobniałej formie: o chlebeczek, o przysunięcie buteleczki, o talerzyczki i t. p. Słodycz ta sprawiała tem przykrzejsze wrażenie, że na dnie jej czułeś odrazu fałsz.

Pomiędzy nią a mną siedział pan Rajkowski, jakiś niższy urzędnik sądowy, stary znajomy pani Olszewskiej, który przyjechał był od zawiadowcy, gdzie właśnie bawił w gościnie; miał na sobie surdut niebieski, krawat zielony i białą kamizelkę: twarz chuda, podługowata, o wklęsłych policzkach, potarganych wąsach, rudawej bródce, ze zjadliwym uśmiechem na zwiędłych wargach.

Z drugiej strony stołu, pomiędzy panią Olszewską a aptekarzem, siedział jeszcze, zakryty trochę dla mnie samowarem, znany mi już z widzenia lokator z góry, milczący weterynarz, który ciągle przenosił wędliny z półmiska na talerz, a z talerza do ust. Przyniósł on swoją obrośnietą czarnym i gęstym włosem fizyognomię, wytarty surdut, oraz bukiet dla panny Cezaryny; poczem usiadł i zabrał się do spożywania darów Bożych. Od czasu do czasu tylko odsuwał się z krzesłem od stołu, a wówczas z pod obrusa wyglądała ogromna głowa psa — i wołał przeciągłym głosem:

— Panie aptekarzu! zawołaj pan tego kondla do siebie, bo może być wściekły!.. ja za moje życie nie odpowiadam!..

— Zdrowy kundel — grzmiał pan aptekarz.

— Psinka zdrowiuteńka — podchwyciła żona.

— Co tam zdrowy!.. ja, panie, weterynarz — widziałem psy, wyglądające zdrowo, a ludzi pogryzły na nic i w wściekliznę wprawiły! Co to?.. znowu!.. Panie aptekarzu, zawołaj pan tego psa do siebie...

— Burek do nogi! — wołał aptekarz.

Pan Rajkowski opowiadał mnie i pani aptekarzowej, że już od lat dziecinnych nosi się z zamiarem objechania „tej szelmy Europy“, że braknie mu powietrza w tym kąciku, w którym mieszka, że jednak nie wyjedzie prędzej, póki nie

osiągnie sposobu porozumienia się z ludźmi innych narodowości; a ponieważ żadnego języka, prócz własnego, nie zna, sprowadził więc sobie przed paru miesiącami gramatykę Volapüku i począł ją studyować.

— Ale to, panie, ciężki dziwoląg — mówił. — Język światowy, panie, to powinien być, panie, taki, żeby każdy człowiek spojrzał tylko, panie, i już wiedział, jak mówić... A to, panie, cudactwa takie, wszystko jakieś nowe słowa; gramatyka trudna, panie, jak czort jakiś...

— Tak, śmiano się z tej gramatyczki, czytałam jeden artykulik—wtrąciła wszechwiedząca aptekarzowa.

— Co to za jakieś gramatyki wszechświatowe! to bzdurstwo — zawołał Michaś — teraz istnieje tylko jedna gramatyka, społeczna!

— A tak, to ma być wcale niezła gramatyczka! — pospieszyła aptekarzowa.

— To, pani, nie żadna gramatyczka; to gramatyka! — zbił ją z tropu Michaś.

— Ja też tylko tak, zdrobniale powiedziałam...

— Jakież to reguły tej gramatyki, Michasiu? — spytała Cezaryna,

— O, bardzo proste, bardzo, kuzynko. Słowo „jeść“ i „pracować“ odmienia się przez wszystkie osoby społeczeństwa; słowo „wziąć“ jest posiłkowem słowa „mieć“. Słowo nieprawidłowe „wy-

zyskiwać“ żelazem wykreśla się z wszystkich słowników; spójnikiem jest braterstwo... Oto są główne zasady gramatyki społecznej. Czyż nie piękne?..

Nikt się nie odezwał. Przeważnie obecni nie zrozumieli tych słów dokładnie. Pani Olszewska była najmocniej zaaferowaną; niespokojnie spojrzała na Michasia, poczem nalała pośpiesznie herbaty i podała ją urzędnikowi sądowemu, dopytując się troskliwie, czy nie gorzka, czy nie za słaba.

Rajkowski odśmiechnął się i wycedził: „niczego, pani dobrodziko!” Aptekarz nadął policzki, jak banie. Aptekarzowa otwierała usta, ale tym razem nawet ona nie wiedziała, co powiedzieć! Tylko weterynarz zajadał w milczeniu, nie słysząc, co dokoła mówiono, szczęśliwy, że pies leżał zdaleka od niego przy drzwiach, zajadał w najlepsze, i zda się, nie wiedział wcale o prowadzonej tuż przy nim dyspucie.

A ja?.. Ja, co zazwyczaj szeroko rozgadywałem się w towarzystwie, ilekroć rozmowa wchodziła na kwestyę żywotną, ja, co nie umiałem znieść w milczeniu, gdy obok mnie wygłaszano głupie lub krzywe zdania, ja, co mogłem i może powinienem był wmieszać się do rozmowy — ja siedziałem milczący i bawiłem się układaniem pestek wiśniowych w formie korony na moim talerzu.

Nie chciałem mówić z nimi o niczem. Byłem zły na to całe towarzystwo, gdyż ono... oddzielało mnie od Cezaryny. Teraz właśnie, śród tych krępujących okoliczności, czułem potrzebę spojrzenia jej w oczy, rozmawiania z nią sam na sam, ujęcia jej za rękę. Te dziwne pragnienia powstawały, uświadamiały się i potężniały właśnie dzięki tym krępującym okolicznościom. „Kiedy pójdą nareszcie?“ — szeptałem sobie w duchu niecierpliwie.

Tem nie mniej jednak dyskusya, która po chwilowem milczeniu rozwinęła się na dobre, o czem świadczył zmięszany gwar głosów, nie przepływała obok moich uszu tak bez śladu, jak obok uszu weterynarza. Myśl, napozór obojętna, pracowała mimo mej woli, komentując to, co mówiono.

Spojrzałem: pan Rajkowski i pan Stypułka (aptekarz) nagadali się widać dowoli, czy też zlękli się spustoszenia, sprawionego na talerzach przez weterynarza, dość, że zaatakowali zimną pieczeń i przewracali kawałki jéj w sosie, podczas gdy Michaś w dalszym ciągu mówił o przewrocie społecznym.

Wówczas i ten ostatni spostrzegł się, urwał i zwrócił się do ciotki, z prośbą o nalanie mu jeszcze jednej szklanki herbaty; udawał spokojnego, choć wzburzony był opozycyją aptekarza i cedzącego słowa urzędnika.

Pośród ogólnej ciszy, przerywanej tylko brzękiem talerzy, szklanek, nożów i widelców, nagle zabrzmiał cichy, nieśmiały głos Cezaryny, która jakgdyby przemówiła do siebie:

— Ja się tak boję przewrotów... Ile to skarbów cywilizacyi przepada śród zamętu rewolucyi... ile krwi pobratymczej płynie... jak strasznie grają namiętności!.. Ludzie zmieniają się w dzikich... A potem... czy istotnie lepiej będzie?.. Ja zawsze przypominam sobie tę strofkę:

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten natchnieniom świętym bluźni,
Ten świat w gorszą wpycha noc...

To „psalm miłości" Krasińskiego—dodała, obwodząc spojrzeniem całe towarzystwo. Wzrok jej przydłużej zatrzymał się na mnie.

— To psalm instynktu samozachowawczego — przerwał jej Michaś — to brednie! Marks powiada, że siła jest akuszerką przy porodzie wielkich idej.

Przy słowie: „akuszerka" pani aptekarzowa spuściła oczy i ręce złożyła z przerażenia. Pani Olszewska mitygowała: „Michasiu! Michasiu!"

Odezwanie się Cezaryny, zda się obudziło mnie. Opozycya Michasia względem niej wywołała we mnie chęć wtrącenia się do rozmowy.

Rzuciłem mu też, patrząc nań z boku i bawiąc się widelcem, zapytanie:

— A czy pan sądzisz, że natychmiast potem, bezwarunkowo, ukonstytuje się społeczeństwo wedle norm idealnych?

— Tak jest — odrzekł Michaś — natychmiast, samo, jakąś mocą naturalną...

— Bo jabym sądził, że przeciwnie. Są przecie — zechciej pan zauważyć — niedole wewnętrzne, duchowe, których usunąć niepodobna... Są dalej bóle cielesne, choroby organiczne, przeróżne dolegliwości.

— Ależ, panie — decydował zapalony Michaś — ja panu powiadam, że istnieją tylko niedole społeczne... Niczego, niczego potem nie będzie... Nauka dowiodła, panie, że choroby to wynik złych warunków społecznych, brak hygienicznych rozporządzeń, fałszywy ustrój, zły system wychowania...

— Tak, tak, panie Michale, w znacznej części tak — cedziłem ironicznie — no, ale przecież można sobie popsuć... żołądek.

— Nie można, nie można... zamachnął rękoma zniecierpliwiony Michaś.

— Można, można — przyszedł mi znienacka z pomocą aptekarz — mam senes, mam ricinum olei, mam hunyadę!..

Powściągnąłem uśmiech i zapytałem Michasia w dalszym ciągu:

— Kto jest winą większości nieszczęść: człowiek, czy ludzkość?..

— Ja, panie, szarad nie zgaduję!

Na tę dość szorstką odpowiedź, już miałem równie szorstko odpowiedzieć, gdy Cezaryna powstrzymała mnie spojrzeniem, w którem poczułem prośbę, abym się nie gniewał. Zmilczałem, aczkolwiek już od środy, kiedy Michaś zażartował ze mnie w lesie, miałem zamiar dać mu małą nauczkę.

— O co pan właściwie pytałeś? — rzekła Cezaryna — ja pana także nie zrozumiałam.

Zdaje się, i Michaś poczuł nietaktowność swoję, bo powtórzył za kuzynką:

— Tak, o co pan pytałeś? bo nie zrozumiałem... doprawdy... Ludzkość... człowiek... to jedno!

— Zapytywałem, kto winien, że tak źle na świecie: czy człowiek, jako indywiduum, jako charakter taki lub inny, lecz zawsze niedoskonały; czy też ludzkość, jako jednostka zbiorowa, zmuszona wytwarzać takie a nie inne formy i karby społeczne i żyć w nich. Zapytywałem inaczej, czy człowiek nie nadużywa czasem dobrej formy i na złe jej nie obraca, oraz czy forma najgorsza nie mogłaby się stać bezsilną wobec szlachetnego charakteru. W takim bowiem razie człowiek byłby winowajcą, a nie formy...

— Panie, charakter ludzki jest z gruntu dobry — odrzekł mi Michaś — społeczne formy go psują... To przecież taka prosta rzecz...

— Że pana dziwi, iż nie chcę jej zrozumieć, prawda, panie Michale? Pan, widzę, obwiniasz ludzkość, a nie człowieka...

— Ależ nie, nie... powiedziałem panu, że formy psują człowieka...

— Psują, psują: skutek staje się przyczyną...

— Co za skutek?.. zechciej pan mówić nie tak kabalistycznie...

— Wybacz pan, umyślnie tak mówiłem, chcąc pana podejść. Mojem zdaniem, popełniasz pan bardzo pospolity błąd; odróżniasz właśnie ludzkość od człowieka, chociaż twierdzisz, że uznajesz za jedno oboje. Wierzysz w charakter człowieka, a przecie potępiasz ludzkość, gdyż potępiasz formy, w których ona żyje, które stworzyła... Pytanie, czy nie stworzyła ich, idąc za naturą zbiorowiska ludzi, t. j. ostatecznie za naturą człowieka...

— Fi, fi, fi, toś pan zajechał daleko. Ludzie tworzyli te formy, kiedy byli dzikimi...

— Tak, a w każdym człowieku cywilizowanym jeszcze dziś drzemie dziki — odrzekłem, bawiąc się widelcem.

Michaś śmiał się.

— Piszę się na pańskie zdanie — rzekł Rajkowski.

— Tak... tak... dziki — potwierdził aptekarz, rad, że nie oddaję racyi Michasiowi.

Aptekarzowa kiwała potakująco głową, uśmiechając się do mnie słodziutko.

Uczucie niewypowiedzianego wstrętu, niesmaku, ogarnęło nagle moją duszę:

Rajkowski, aptekarz, aptekarzowa, byli jednego zdania ze mną, podzielali moje zapatrywania, pochwalali je! Obecnie wstyd mi było nawet przed Michasiem: ten niedojrzały, ale szczery chłopak zaliczy mnie do tej samej kategoryi, co i swoich oponentów! Pod wpływem tego niesmaku, wlepiłem oczy w twarz aptekarza i rzekłem:

— Tak... tak... dziki — i to właśnie jest nieszczęściem ludzkości. Sprawiedliwy podział społeczny możnaby z łatwością zaprowadzić, gdyby ludziom, tuczącym się wygodnie, nie wydawało się, że to, co jest przejściowem, będzie wiecznem, że to, co jest dziś koniecznem, jest zarazem najlepszem! To właśnie dziki wrzeszczy ustami cywilizowanego człowieka: „to moje", gdy zgarnia chciwie owoc ciężkiej pracy „roboczego bydła!"...

Milczenie. Aptekarz spoglądał na mnie zdziwionemi oczyma, aptekarzowa niepewnie kiwała głową. Michaś przestał się śmiać. Rajkowski przerwał pierwszy milczenie:

— Hm... hm... to niby pan dobrodziej w nas

troszeńkę dzikich widzi, na których pan dobrodziej patrzy jako naprawdę cywilizowany, już bez tego dzikiego w środku...

— Nie mówiłem o panach, nie mówiłem o sobie... Mówiłem wogóle...

— Panie Jerzy — zwróciła się do mnie Cezaryna—powiedz nam pan całe zdanie swoje w tej kwestyi. Niewątpliwie musiałeś je pan sobie wyrobić...

Te słowa, którym towarzyszył jej wzrok oddziałały na mnie nader przyjemnie. Odemnie oczekiwała więc rozwiązania zagadki. Uważałem, że od pewnego czasu zdania moje nabrały jeszcze większej wartości w jej oczach, że była o wiele mniej krytyczną względem nich, niż dawniej; nie dość tego; była nawet skłonną do zachwycania się mojemi myślami ogólnikowemi, niedokończonemi. Spostrzeżenie tego rodzaju zawsze osłabia w nas wiarę w wartość umysłową tych, co nas chwalą; tem nie mniej jednak, jeżeli tylko jesteśmy rozumiani, nasza miłość własna długo jeszcze znajduje upodobanie w tych pochwałach, tak długo, dopóki sami nie wygadamy się zupełnie. Ma to jeszcze inny wpływ: nadymamy się w naszych sądach, wyrokujemy kategoryczniej i zarazem „filozoficzniej", staramy się wznieść jakoby ponad zdaniami wszystkich. To właśnie zdarzyło się ze mną. Zwróciwszy się ku niej, jak gdybym mówił tylko dla niej,—w isto-

cie bowiem reszta towarzystwa nie obchodziła mnie wcale — począłem rozwijać wysoce ogólnikowe myśli, mało dbając o to, że większość obecnych z pewnością mnie nie zrozumie.

— Dla mnie, panno Cezaryno, każdy fakt jest odzwierciedleniem pewnej idei. Idea, sama przez się, nie może być ani dobrą, ani złą; staje się taką dopiero w dziedzinie rzeczywistości, kiedy przybiera kształty materyalne, kiedy przejdzie w fakt i znajdzie się wobec innych faktów: tutaj bowiem dopiero rozgrywa się walka na ostre, zachodzi prawdziwy opór, wynikają szkody, zjawia się pożytek. Tylko fakt może być dobrym, lub złym, ale i on także, nie sam przez się, jest on dobrym dla drugiego, zgodnego z nim, złym dla wszystkich sprzecznych.

Każda nowa idea pragnie ucieleśnić się w fakcie i już przez to, że powstała, ma do tego prawo! Ucieleśniając się, spotyka inną, żyjącą już, lub również wchodzącą w życie. Na zasadzie ogólnego prawa walki o byt, walczy i nowa idea... walczy wszelkiemi środkami, istniejącemi w naturze, walczy nawet „iskrami z czarta kuźni"... a to nie przeszkadza jednak temu, ażeby... w oczach swoich zwolenników była absolutnem dobrem! Ale i idea przeciwna ma swoje prawa, tembardziej, gdy już istnieje, jako fakt: wówczas bowiem przez inercyę chce żyć dalej, kocha życie, jak kocha je wszystko żyjące. Obie więc sprzeczne idee mają swoje prawa...

Co się zaś tyczy kwestyi, gdzie jest prawda historyczna, na to dam prostą odpowiedź. W każdej epoce jest ona tam, gdzie jest zwycięztwo, gdzie jest wygrana; zwycięża bowiem to, co jest najodpowiedniejszem dla warunków chwili... Zresztą nie zawsze szala zwycięztwa przechyla się stanowczo na jedną, lub na drugą stronę. Po największej części zachodzi pewien wewnętrzny proces asymilacyi, przystosowanie się starego do nowego...

— E, panie, — zawołał Michaś z akcentem silnego zniecierpliwienia — wewnętrzny proces asymilacyi!! Tu trzeba zgangrenowane członki odcinać! Znać, że pan chirurgii się boisz, żeś pan medyk od chorób wewnętrznych...

To zuchwałe przerwanie mojej pseudo filozoficznej gawędy, w której lubowałem się sam w tej chwili, byłoby może wyrwało mi z ust parę cierpkich słów, ale zanim zdołałem je odnaleźć, co nie było tak łatwem wobec tego wzburzenia, które mnie opanowało, zaszła scena nader komiczna, która zmieniła całkowicie tok rozmowy.

— Pan medyk? — zapytał nagle aptekarz.

— A jakże — wyręczyła mnie pani Olszewska.

— Panie, uszanowanie moje medykowi — rzekł z emfazą aptekarz — trąćmy się kieliszka-

mi, ja zawód medyczny szanuję... ja sąsiaduję przecież z medycznym zawodem...

Tu uroczyście powstał i przez stół wyciągnął do mnie rękę. Musiałem mu podać swoją; począł nią trząść serdecznie. W owej chwili Michaś wstał, stanął przy oknie i począł zlekka bębnić palcami po szybie; naówczas aptekarz, nie żenując się wcale, sprowadził rozmowę na temat swojej apteki.

— A może pan dobrodziej praktykować kiedy będzie w tych stronach. Polecam moją aptekę... Panie, jak ona urządzona, gdybyś pan wiedział: przy każdej truciźnie znajdziesz pan zaraz odpowiednie antidotum... Starałem się poumieszczać lekarstwa, o ile możności geograficznie.. na górnych półkach stoi zazwyczaj to, co się w górach zbiera; leki z dolin — na dolnych półkach... Przyjemność patrzeć... Panie, wierzaj mi pan, nie polecałbym mu mojej apteki, gdyby tu szło o mnie, a nie o chorych... Ale mogę z czystem sumieniem, bo jedyna, jedyna w okolicy...

— Była i druga — zasyczał zjadliwie pan Rajkowski, wychylając kieliszeczek wódki.

— A tak, była druga, ale niesumienna — rzekł aptekarz, starając się jakgdyby zatrzeć czemprędzej tę uwagę.

— A tak... tak... — mówił pan Rajkowski, wyjmując nożem ości ze śledzia — raz obstalowa-

no dla psa maść i dla jakiegoś człowieka też... i maści w aptece tego wieczora pomieszano... Maść dla psa dano człowiekowi i naodwrót... Człowiekowi jakieś krosty wystąpiły...

— Właśnie, właśnie — potwierdził aptekarz — było tam jakieś niedbalstwo i to się rozgłosiło.

— Pan aptekarz rozgłosił...

— No, i ja się w to wdałem, na skutek czego niesumienny aptekarz...

— Konkurent—wtrącił Rajkowski.

— Musiał ustąpić...

— Mój Józieczek się w to wdał — objaśniła słodko aptekarzowa. — Mój Józieczek nie znosi niedbalstwa...

— Rzecz dziwna, — rzekł Rajkowski, kładąc z brzękiem nóż na talerzu — że też ten człowiek, mieszkając z panem na jednej ulicy i tak dobrze pana znając, posłał po maść do dalekiej apteki... i że ten pies to był pies jego przyjaciela...

— Tak?.. a, przypominam sobie w istocie — mówił aptekarz, mocno zaambarasowany, nalewając sobie piwa, dla ukrycia zmieszania.

— Tak!.. to jakby jakaś złośliwa ręka pomieszała te maści — znęcał się Rajkowski.

— Panie sędzio! co za przypuszczenie!..

Drobny urzędnik sądowy odrazu zaawansował na sędziego w ustach aptekarza.

— Zawołaj pan tego psa do siebie! On znowu tutaj! — wykrzyknął nagle weterynarz, odsuwając się z krzesłem od stołu i wybawiając towarzystwo z niemiłego położenia, spowodowanego poprzednią rozmową.

— A, co to za ludzie! — szepnęła do mnie Cezaryna.

— Wstrętni — szepnąłem jej do ucha, nachylając się ku niej cokolwiek.

Aptekarzowa, jakby przeczuła tę krytykę, bo usłyszałem, jak odezwała się przyciszonym głosem do Rajkowskiego.

— Patrz pan, jak ci młodzi ślicznie się mają do siebie... Chociaż szeptać w towarzystwie, to już trochę nieprzyzwoicie... Ale zawsze to ładna parka, nieprawdaż?

Rajkowski wzruszył ramionami. Widocznie nie sympatyzował z aptekarzową. Ja zaś... jabym ją rozdarł.

— Kiedyż oni się wyniosą — myślałem wściekły, zniecierpliwiony, znużony tem wszystkiem, com widział i słyszał.

Nakoniec rozeszli się o godzinie jedenastej.

Pani aptekarzowa jeszcze na progu uśmiechnęła się, mówiąc, że „panna Cezaryna prócz chrześciańskiego nosi jeszcze pogańskie imię".

— Ale to się tłómaczy — mówiła, całując się z panią Olszewską w oba policzki — my wiemy, że to nie pani wina.., ale w tem

już znać było, już było znać przyszłe nieszczęście...

I wyniosła się z tysiącem uśmiechów i ukłonów. Ze mną pożegnała się nader serdecznie. wyszła ostatnia.

— I ja musiałam się z nią całować — zawołała Cezaryna, padając po jej wyjściu na krzesło — a, ileż fałszu na świecie! ileż fałszu!..

— Typowe indywidua — mówił Michaś, zapalając sobie świecę, aby się udać na górę do niewynajętego pokoju, gdzie pani Olszewska ulokowała go tymczasem — ten Rajkowski to żmija, aptekarzowa to papuga, weterynarz to bydlę, a aptekarz to rozgadany idyota...

— Jak można tak o ludziach mówić, Michasiu — mówiła pani Olszewska — to brzydko, to brzydko porównywać ludzi do zwierząt...

— To oni się sami porównywają, ciociu. No, dobranoc, mnie się chce dyabelnie spać, a i cioci kleją się powieki oddawna...

Zatrzymał się na progu.

— Dobrej nocy, Cedziu, niech ci się tylko filozofia nie przyśni w nocy, bo potem cały dzień będziesz niewyspana... Panu filozofowi... moje uszanowanie — dodał ironicznie, zwracając się ku mnie.

— Panu nie-filozofowi — moje...

Mówiłem to tonem żartobliwym: nie wypadało mi prowadzić sporu z tym „smarkaczem", ale udany spokój kosztował mnie drogo.

Michaś poszedł na górę.

Pani Olszewska sprzątała ze stołu.

— Panie Jerzy — mówiła do mnie Cezaryna cichym głosem — pan byłeś dzisiaj jakoś nie swój.

— Pani także — odrzekłem rozdrażniony.

— Pan przecie wiesz, ja nigdy nie jestem wesołą... czasem tylko... kiedy od pana humorem się zarażę ..

Serce mi jakoś radośniej zabiło.

— Ale ja... czyż mogłem, pani, być wesołym w tem towarzystwie... ja tak lubię z panią przestawać sam na sam... tak przyjemnie wtedy snuje się rozmowa...

— Jutro możemy znowu pójść na przechadzkę — rzekła cicho, spuszczając oczy.

— A!.. to dobrze!.. ale bez Michasia — rzekłem, akcentując ostatnie słowa przyciszonym głosem.

Nie odpowiedziała nic.

Życzyłem im dobrej nocy i wróciłem do siebie.

XIV.

Ledwiem drzwi zamknął za sobą i znalazł się w swoim pokoju, wnet machinalnie splotłem i załamałem ręce, a z piersi moich wydarło się ciężkie westchnienie. Co to za ból szarpał moją duszę? jaka była jego przyczyna?.. Nie zdawałem sobie jasno z tego sprawy... Byłże to jeden ból, czy dziesiątki oddzielnych bolesnych uczuć? Trująca gorycz, niezadowolenie ze świata i z ludzi, tęsknota, wiekuisty brak... Byłże to wynik jednej określonej przyczyny? Nie, raczej wpływ całego szeregu odległych przyczyn, który objawił się tylko nanowo we mnie skutkiem nieznacznego podniecenia przez mnóstwo drobnych wrażeń owego niemiłego wieczora.

Nie zapaliłem świecy; ciemność była mi ulgą. O śnie nawet marzyć nie mogłem; w stanie takiego rozdrażnienia spać niepodobna.

Poszedłem do okna i bezmyślnie począłem wpatrywać się w księżyc. Był on w fazie pełni; pofałdowane obłoczki przechodziły ciągle przez jego tarczę, skutkiem czego zdawało się, że to księżyc wędruje po niebie. Srebrną smugę swego światła rzucił on do mego pokoju i ubielił częściowo sufit, ściany i podłogę.

Mnóstwo myśli i obrazów snuło się po mojej głowie.

— „Co za ludzie, co za obrzydliwi ludzie! To są członkowie cywilizowanego społeczeństwa, członkowie myślącej ludzkości, której cel niektórzy filozofowie upatrują w wiecznem doskonaleniu się umysłowem i moralnem. To są owe korony i władzcy stworzenia!.. Tak, to oni, to oni! Boć przecie setki i tysiące podobnych spotyka się na każdym kroku... Nie przesadzam! I dla nich to marzyciele walczą o wolność! Kto walczy? Czy czasem nie Michasie? Z pewnością pomiędzy walczącymi Michasiów najwięcej...

I czy dziw, że zetknięcie się z ludźmi za każdym razem oddziaływa na mnie jak najfatalniej!.. przejmuje mnie bólem pogardy!..

Ale ja?.. ja, czy lepszy?.. O wiem, wiem, że nie: tak samo głupi, tak samo podławy, tylko w innej, niby wyższej formie! Odczuwam doskonale, czemu jestem taki zły na nich.

Bom zły na siebie... Zły, żem tak dziwacznie gadał. Ale jakże miałem gadać, kiedy sam nie jestem niczego pewny. Miałżem za Michasiem pleść optymistyczne banialuki? Kto jednak wie, może jego banialuki więcej warte od mojego sceptycyzmu, od mojej filozofii? On ma przynajmniej zapał, wiarę, ideę; wierzy, że warto żyć, aby działać. A ja?.. ja mu podałem jakąś bezbarwną ideową sieczkę, jakiś bigos z Hegla,

Spencera i Darwina! Tak, wymyśliłem jakąś walkę o byt idej, na którą ja spoglądam niby z filozoficznej wyżyny... Jakież to wszystko puste, co dzisiaj tam mówiłem...

A jej — wydaje się to mądrem... Ona najlepsza ze wszystkich, ona inna!.. Jak ona wierzy we mnie, jak mnie słucha! Okłamałem ją.. okłamuję ją od pierwszej chwili przybycia. To i cóż?.. ja nie mam obowiązku powiedzieć jej, jaki jestem... Zresztą, jej z tem dobrze...

Dziwna rzecz, że mi tak potrzebnem jest wpatrywanie się w jej oczy... Lubię ją bardzo.. Nieznośni ludzie nie pozwolili mi rozmawiać z nią dzisiaj swobodnie!.. Przyjemnieby było przejść się teraz we dwoje.. Księżyc tak pięknie świeci... Taki słodki wieczór... Jutro przejdziemy się znowu... Sama zaproponowała... To dobrze, to bardzo dobrze...

Było mi już lżej; gorycz przechodziła... wpadłem w sentymentalizm. Przypomniałem sobie nagle mój pokoik na trzeciem piętrze, w Warszawie; przypomniałem sobie nocną ciszę; widziałem siebie, siedzącego przy stoliku, skrzypiącego nerwowo piórem, piszącego jakiś wiersz pesymistyczny... tak, pamiętam: „O samotności"... Było tam coś o truciźnie, jaką świat mi sączy w serce; o chłodzie, jaki wieje od ludzi, o tej nudzie, co mi wiecznie towarzyszy, o ciemnościach, w których błądzę na drodze życia... nigdzie ręki pomocnej... nigdzie gorącego serca...

Zacząłem zcicha powtarzać:

W szarem morzu szarego żywota
Moja łódka nurza wątły grzbiet,
Wicher głuchy, świszczący, nią miota
I ogarnia mnie ból i tęsknota:
Kędy płynę i do jakich met?

Płynę sam... tak mi ciężko, tak ciężko...
Smutnych przeczuć zastrasza mnie moc,
Co krok trafiam na mieliznę grzęzką,
Płynę... płynę... Dopłynęż zwycięzko?
Brzeg daleko, a wokoło noc...

Gdybyś ty ze mną w łodzi zasiadła,
Wzrósłby ogień i zapas mych sił,
Wnetby pierzchły poczwarne widziadła
I ta burza by scichła zajadła
I cel życia by bliższy mi był!..

Urwałem... Wiersz był pisany do jakiejś wymarzonej osoby... Teraz gwałtem na jej miejsce nasunęła mi się w wyobraźni blada twarz, czarne dyamentowe oczy... Jakaś postać wyciągnęła do mnie rękę.

— Cezaryna! — szepnąłem, przymykając oczy — nie wiem, co to znaczy... Dlaczego obraz jej tak często przesuwa się w mojej wyobraźni?...

Począłem marzyć o niej... starałem się wyobrazić ją sobie w tej chwili... Jak na złość wi-

działem ją ciągle w otoczeniu tłustej twarzy aptekarza i wychudłej, podługowatej fizyognomii Rajkowskiego z jadowitym uśmiechem na zwiędłych wargach. To znowu spiczasta twarz aptekarzowej zasłaniała mi obraz Cezaryny. Wraz z temi twarzami napływały znowu poprzednie uczucia.

Najwidoczniej, byłem mocno zdenerwowany. Nie mogłem sobie poradzić z myślami, które z jednej sprzeczności rzucały mnie w drugą, które uczepiały się mojego mózgu i szarpały go bez litości.

Stan ten był mi dobrze znany. Samotne życie wyrobiło we mnie pewien niebezpieczny dar zagłębiania się w samego siebie. Z zamiłowaniem anatoma badałem własny mózg i serce; analizowałem swoje uczucia i myśli. Była to jakaś samobójcza uciecha. Nagromadziwszy cały stos poglądów pro i contra, nie wiedziałem wreszcie, po której stronie jest słuszność; nie potrafiłem złożyć tego, co tak wybornie rozebrałem. Z uczuciami było jeszcze gorzej: rozmyślaniem nad niemi ochładzałem je, osłabiałem; nie wiedziałem już, co czuję i czy czuję wogóle... A ten stan wiecznej niepewności myśli i uczucia paraliżował moją wolę; byłem chwiejnym, kapryśnym, wiecznie niezadowolonym z siebie...

Tutaj jednak, na świeżem powietrzu, zaskoczony przez nowe wrażenia, zajęty „leczeniem

Cezaryny", z głaskaną przez nią ciągle miłością własną, wymowny i poniekąd lubujący się we własnej wymowie, a dalej, prawie gwałtem wciśnięty w rolę „człowieka wierzącego" i w roli tej tryumfujący, bom przecie nawrócił do życia Cezarynę,—tutaj powróciłem na chwilę do równowagi, przestawałem uczuwać miotające mną wstrząśnienia.

Lecz rola ta nie mogła trwać długo; wyczerpywałem się już. A tu, nadomiar, to niemiłe towarzystwo, odosobnienie od niej, spór z Michasiem poruszenie wreszcie tej kwestyi, która parę lat już mnie dręczyła, domagając się rozwiązania — tej kwestyi, która mogła mnie albo natchnąć wiarą w ludzkość i we własne życie, albo też popchnąć do krańcowego pesymizmu, do wydrwienia wszelkich ideałów; te wszystkie, napozór drobne przyczyny, wystarczyły zupełnie, aby mnie rozdraźnić na nowo i przywrócić mi moje „usposobienie Warszawskie".

— Jaki ze mnie karzeł moralny i umysłowy — myślałem, przyciskając dłoń do czoła — jakie ze mnie nic! O, czemuż człowiek nie może się zrobić większym ani na jeden cal nad tę normę, którą mu zakreśliła natura! A ta Cezaryna... ona mnie ma za kawałeczek wielkiego człowieka, za poetę? Naiwna!.. Dobrze pozowałem przed nią... Jaki ze mnie aktor, wieczny aktor!.. Ona mnie nic a nic nie zna... ona mnie ma za człowieka

wierzącego, pewnego siebie, za człowieka silnej woli... Jakie to zabawne!

— Zabawne. . zabawne — mruczałem cicho, a czułem, że to mnie wcale nie bawi, że jest mi to wysoce przykre: jej sympatyę, jej szacunek zawdzięczałem zatem tej fałszywej roli, którą grałem wobec niej.

„Gdyby mnie była znała... e, nie warto o tem myśleć"!..

Machnąłem ręką i, starając się odpędzić dręczące mnie myśli, począłem świstać dosyć głośno przez zęby jakiegoś walca... Zapomniałem, że to noc, że mogę kogoś obudzić...

Nagle cichy jakiś głos ozwał się tuż blizko:

— Pan jeszcze nie śpi, panie Jerzy?.. dobranoc panu...

Krew tak silnie napłynęła mi do serca, że nie zdążyłem nic odpowiedzieć, a sąsiednie okno w salonie już ktoś zamknął.

— Więc ona tuż, obok, w oknie stała z godzinę, lub dwie, jak ja przy mojem...

Drżałem cały... Teraz dopiero po raz pierwszy zrozumiałem jasno, że ją kocham. Próżno było odżegnywać się od tej myśli. To bicie serca, ta rozkosz, pod której wpływem pierzchły nagle wszystkie czarne myśli — znałem to dobrze... Kiedyś już, raz, doświadczyłem tego samego... bardzo dawno...

— Tak, próżno się oszukiwać... kocham ją,

kocham... na nic sofizmaty, na nic to pozowanie na człowieka, który przeżył wiosnę życia... Lecz ona... ona.. czy czuje dla mnie coś więcej prócz przyjaźni, szacunku, dziecięcego uwielbienia...

— Co mi jej przyjaźń!.. co kadzidła pochwał dla mego rozumu... Uczucia! uczucia pragnę trochę!.. Niech jej serce tak bije, jak moje...

I, rzuciwszy się na łóżko, starałem się przypomnieć sobie każdy słodszy ton jej głosu, każdy bardziej przyjacielski gest... Cieszyłem się, odnajdując we wspomnieniach jakieś bardziej znaczące słowo, jakiś ruch, który mogłem sobie wytłómaczyć jej uczuciem dla mnie...

— Z jakim ona przyciskiem powiedziała wówczas: „moje serduszko nie ma „przeszłości"?.. A dzisiaj te słowa: „Od pana tylko wesołością się zarażam"... I ta jej propozycya: „możemy przejść się jutro razem". Ona pierwsza podała tę myśl... Czyżby?!.. czyżby?!..

— A wówczas, kiedy tak dopytywała się, czy można drugi raz kochać? Ten umyślnie obojętny ton jej głosu, który aż mnie raził. Głupi, głupi byłem! nie zauważyłem nic... ślepy, ślepy byłem!..

— A jak ona mi ten kajet z wierszami oddawała... milczała... potem jakoś dziwnie chwaliła... Spytałem: „czy pozwala mi jaki wierszyk sobie

poświęcić?" Jak to mi ona odpowiedziała na to? Aha! — „Do mnie pan nie masz co pisać... przymuszać się nie wolno". I tak prędko jakoś odeszła... Nie wiedziałem co jej się stało...

— O tak! tak!.. tam jest coś więcej, niż sympatya dla mnie... tam musi być coś więcej!.. Gdyby mnie nie kochała, czyżby mi udało się tak łatwo na nią podziałać?.. Ona mnie kocha i musi kochać!. .

Zasnąłem w ubraniu.. We śnie widziałem ciągle uśmiechniętą bladą twarz i dwoje dyamentowych oczu, utkwionych we mnie miłośnie. .

XV.

— A do licha! spałem w ubraniu! — zawołałem nazajutrz, budząc się ze snu. Spojrzenie moje padło na portret pana Olszewskiego.

Począłem mu się przyglądać i tu uderzyło mnie wielkie podobieństwo rysów ojca i córki. Zarazem, mocą niemiłego skojarzenia tego odkrycia z tysiąckrotnie słyszanemi i czytanemi faktami dziedziczności nasunęła mi się przykra myśl, że Cezaryna może wpaść w obłąkanie.

— Ależ nie, nie —zaprzeczyłem sobie energicznie — to niemożebne! Ten Olszewski zwaryował z nadmiaru pracy umysłowej... Że też mnie takie głupstwa przychodzą do głowy!

Walczyłem z tą natrętną myślą. Chciałem się rozerwać czytaniem; przerzuciłem wszystkie książki, które leżały na moim stoliku: wszystkie były niesłychanie nudne... Zresztą nie mogłem myśli skupić. Byłem jakiś dziwnie niecierpliwy i wzruszony; „zobaczymy się dzisiaj" — o tem jedynie myślałem. — Jednakże trzeba coś robić. Wydało mi się, że jak się przejdę, to wrócę usposobiony do pisania. Wyszedłem na miasto. Wstąpiłem do jakiegoś sklepiku, gdzie kupiłem nowy kajet: będę pisał pamiętnik w dalszym ciągu i wiersze — myślałem sobie. — Wracając, spotkałem aptekarza. Ucieszył się, jakby mnie znał parę lat i był moim najlepszym przyjacielem. Wziął mnie pod rękę i począł konfidencyonalnie mówić przyciszonym głosem:

— Zawody nasze sąsiadują. Dzięki temu udało się nam zbliżyć odrazu. Mam dla pana prawdziwą sympatyę... i moja żona także. Mówiliśmy dziś rano o panu. Chcę dać mu jedną dobrą radę. Nie zbliżaj się pan zanadto do panny Cezaryny, bo ja panu mówię, że ona ma tutaj...

I palcem pokręcił koło czoła.

Wyrwałem mu rękę.

— Nie upoważniałem pana do mieszania się w moje sprawy... i nie życzę sobie nadal... nie życzę... rozumiesz pan?..

Oddech mi się zapierał. Aptekarz przeląkł się.

— Ależ, panie, nie myślałem pana obrażać... Broń mnie, Boże... A to z pana gorączka... Tylko jej ojciec, widzi pan...

— Ja pana nie pytam! — krzyknąłem.

— Ale ja też nic... panie... nic...

Wyjął zegarek, spojrzał nań i dodał:

— A... już późno... żegnam pana, żegnam... muszę odejść.. przepraszam najmocniej... prawdziwie żałuję...

Wziął mnie za jeden palec i pośpiesznie odszedł. Nie mogłem sobie darować, żem go nie zwymyślał. Od chwili, kiedy się oddalił, słowa jego jeszcze bardziej mnie rozdrażniały. Drżałem cały z gniewu: ten człowiek, którego ona odrzuciła, daje mi rady, mięsza się do naszego stosunku! I cóż to on ośmielał się twierdzić?... że ona jest chorą!.. Zbrodniarz jakiś...

Zapomniałem prawie, że aptekarz powtórzyl tylko to, co dzisiaj ja sam pomyślałem. Przypuszczenie moje, wyrażone przez aptekarza, wydawało mi się teraz niedorzeczną myślą, za którą aptekarz zasługiwał na jakąś straszną karę. Sporo czasu chodziłem po ulicach, zanim ochłonąłem, Nareszcie skierowałem się ku domowi.

Kiedym już był na podwórzu, zaczepił mnie wychodzący właśnie weterynarz. Ten dotąd ciągle milczał. Co on mi też może powiedzieć? — myślałem w duchu.

— Panie... nie obrażaj się pan — rozpoczął flegmatycznie — ja to z dobrego serca mówię... jabym inaczej się nie wtrącał... pan mnie znasz. Ta podła aptekarzowa, uważa pan, co jej mąż tyle jadł wczoraj — i ona też... oni są nienasyceni... to uważa pan... ta aptekarzowa rozpuszcza plotki... słyszałem, na własne uszy słyszałem... byłem już dziś na paru wizytach lekarskich... wszystko małe psinki... Mówią w mieście... panie, ja tego nie mówię... ale są tacy, co mówią, że pan z panną Olszewską przechadza się sam po lesie i po parku... tak... tak mówią... i mówią, że to niedobrze... ja tego nie mówię...

Przygryzłem wargi i czekałem, co on mi jeszcze powie.

— Ale pan będzie miał pociechę — ciągnął — oni źle skończą. Uważał pan?.. temu ich kondlowi źle patrzy z oczu... on jest skłonny do wścieklizny. . Pan przecie także doktór, to może pan uważał te jego ślepie, takie błyszczące... i pianę ma... słowo honoru... Jego już pies jakiś musiał pogryźć... To, uważa pan, on pogryzie aptekarza, a aptekarz pogryzie żonę... oni tak skończą... będzie pan miał swoją satysfakcyę... Adieu panu... adieu...

Kiwnąłem mu głową. Ta śmieszna facyata, o zarośniętej twarzy, oddaliła się powoli, nie usłyszawszy odemnie ani jednego wyrazu. Moja chęć pisania przeszła całkowicie; nie miałem nawet już ochoty wejść do swego mieszkania. Do pani Olszewskiej, jak na złość, nie wypadało mi iść; byłem tam wczoraj prawie całe popołudnie. Nie wypada? Myśl ta po raz pierwszy powstała w mej głowie wobec zamiaru pójścia do pani Olszewskiej; dotychczas chodziłem tam, ilekroć mi się tylko podobało. Ale teraz?.. Stosunek mój do panny Cezaryny zarysowywał się w mojej myśli inaczej; z drugiej strony doniesienie weterynarza wywierało swój wpływ.

Zawróciłem, zmierzając do parku. Nowa myśl poczęła mnie niepokoić: czy mogę ją narażać na złe języki? czyż wypada, abyśmy teraz tak chodzili we dwoje, po lesie?

Ale zaraz zaprotestowałem przeciw temu pytaniu z oburzeniem. Miałżebym ugiąć szyję, podać ją w obrożę konwenansów? Nie jest li wolność uczucia najwyższem prawem człowieka? Przejdziemy śmiało pośród tych szkalujących istot, uprawiających plotkarskie rzemiosło... A! już niedługo, niedługo... trzeba być cierpliwym.. zobaczę ją!..

Przechadzka ożywiła mnie; świeży wietrzyk napawał mnie rozkoszą... Niemiłe poranne wrażenia rozwiały się. Z każdą chwilą stawałem się

żywszym, pewniejszym siebie, bardziej podnieconym. Postanowiłem nic sobie nie robić z ludzkiego gadania w myśl Lassala, że jeżeli obmowa biega od domu do domu, szczerząc zęby, to niepodobna za nią biegać od domu do domu, dla zamknięcia jej ust.

Chwilami tylko opanowywał mnie niepokój, kiedym spoglądał na niebo; poczynałem śledzić zjawiające się na zachodzie chmurki, które mogły zatrzymać nas dzisiaj w domu.

— Ale to przejdzie, to przejdzie — uspokajałem sam siebie.

Bałem się również, aby Michaś nie przeszkodził nam i nie zabrał się z nami wraz ze swemi dowcipkami z ławy szkolnej oraz teoryami społecznemi.

— Dziś coś musi zajść... powiem jej coś... powiem — mówiło mi jakieś przeczucie.

Uradowałem się też niezmiernie, kiedy pani Olszewska za wejściem mojem po obiedzie do salonu, oznajmiła mi, że Michaś pojechał na stacyę.

— Ma tam znajomego zawiadowcę — mówiła — zostanie tam i czekać będzie na pana. O trzeciej w nocy wyjeżdżacie przecie do N.

— Tak... tak... to dzisiaj — potwierdziłem, nie dając po sobie poznać, żem o tem zupełnie zapomniał.

— Tutaj proszę pana, broszurka mojego męża, o którą pan prosił.

Schowałem ją do kieszeni.

— Będę miał co czytać w drodze.

— A oto w kopercie to dla siostry Emilii...

— Dobrze... oddam...

Na języku miałem zapytanie: „gdzie córka?“ ale, rzecz dziwna, nie wypowiedziałem go głośno. Dotąd zawsze zadawałem je z taką swobodą.

Pani Olszewska pytała mnie o zdanie co do wczorajszych gości. Zapytywała mnie, czy nie uważam, iż Rajkowski i aptekarz to bardzo rozsądni ludzie...

— Dosyć rozsądni — poprawiła się zaraz, bojąc się, czy nie pochwaliła ich zanadto.

Zapewniłem ją, że weterynarz jest najrozumniejszy ze wszystkich, tylko lekceważy sobie cudze zdania i nie wypowiada tego, co myśli. Wnoszę to z jego inteligentnej fizyognomii.

— Być może — odpowiedziała — pan pewnie lepiej się na tem znasz, niż ja.

Na to weszła Cezaryna w kapeluszu na główce i w mantylce.

— A to co?.. Dokądto? — zapytała matka.

— Przejdziemy się, ja i pan Jerzy, do lasu. Wzięłam koszyczek, nazbieram jagód i grzybów.

— Tak, pani, będziem zbierali... Prosiłem wczoraj pannę Cezarynę.

— Ależ to cud.. to cud — mówiła matka —

Cezaryna, tak, sama, bez długich nalegań, wygląda na świat Boży... To pan jesteś tym cudotwórcą, panie Jerzy.

Szkarłatny rumieniec oblał twarz Cezaryny. Matka nie zauważyła tego — matki często bywają ślepe — stała bowiem przy oknie i wpatrywała się w niebo.

— Ale wiecie co, moje dzieci — rzekła (nazywała i mnie tak czasem, poufalej) — boję się, czy nie wybieracie się na burzę... Tam te obłoki jakoś czernieją i czernieją... Możeby tym razem lepiej zostać w domu.

— Jutro pan Jerzy będzie w N. A jabym się z taką ochotą przeszła — ozwała się córka takim tonem, jakgdyby jej bardzo zależało na tej przechadzce.

Serce mi drżało z radości.

— Zaręczam pani, że burzy nie będzie—dowodziłem gorąco -- patrz pani, jak ten wiatr rozpędza chmury.

— A tak... jakoś niby trochę ..

W rzeczywistości jednak wiatr nie rozpędzał, ale napędzał chmury; olbrzymie ich karawany, mętne, szare, sunęły po niebie, rozrastając się coraz bardziej i dziwaczniej zmieniając kształty.

Kiedyśmy wyszli, już czarna chmura o żółtych brzegach, utworzona z mnóstwa drobnych, poprzednich, oddarta trochę od nieba, zakrywała

pół horyzontu, nadymała się coraz bardziej i rozciągała się ku zenitowi. Parękroć już dały się słyszeć krótkie, urywane odgłosy gromów: była to przygrywka do burzy.

— To na pogodę — zapewniłem panią Olszewską przy pożegnaniu.—Może pani być zupełnie spokojną...

XVI.

— Skropi nas troszeczkę—mówiłem w drodze, spoglądając na niebo.

— Jeżeli troszeczkę, to nic nie szkodzi, byle nie bardzo ..

— Boi się pani burzy?

— Przyznam się, że tak... Ja się sama sobie dziwię; wcale nie jestem przesądna, ale kiedy niebo tak szczernieje, kiedy wiatr huczy, potoki wody szumią, lejąc się bez przerwy na ziemię, kiedy coraz to błyśnie w powietrzu, a potem grzmi tak głucho... wówczas przejmuje mnie obawa prawie religijna i częstokroć dostaję dreszczów. Zdaje mi się, że to nieświadoma natura gniewać się poczyna, że wszystko zniszczy, spali, zaleje, bo nie rozumie, co czyni i nie ma litości...

Pomyśl pan, że każdy piorun to może śmierć człowieka, zniszczenie jego dobytku... O, ja się burzy bardzo boję... ona wstrząsa całą moją istotą... A pan?

— Pani! ja za burzą przepadam... ja kocham się w burzy... Wie pani, znajomi szydzą ze mnie, bo ja na deszcz wychodzę z domu, zdejmuję kapelusz i tak błądzę po ulicach... Ja wiem, że to śmieszne, ale ja to lubię... Skłamałbym jednak, twierdząc, że nie doznaję żadnej obawy... Owszem czuję jakiś strach, ale strach rozkoszy... Błyskawica otwiera niebo, brzmią piorunowe akordy, a serce we mnie drży ze strachu i z rozkoszy! Tak, ja kocham burzę!

— Patrz pan, jakie my mamy rozmaite usposobienia.

— Nie zgodzilibyśmy się nigdy — rzekłem żartobliwie.

— O, to nieprawda! — zaprotestowała naiwnie, a spostrzegłszy się, chciała zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

— Co pan sądzi o Michasiu?

— Wyrobi się, pani, wyrobi... zdolny jest, tylko mało samodzielny i jednostronny.

— Ja go bardzo lubię.

— Miły chłopiec... ale — dodałem ciszej — to lepiej, że go nie ma z nami... to o wiele przyjemniej...

Był to pierwszy wyraźny strzał z mojej strony.

Nie odpowiedziała nic, ale widocznie była zakłopotaną i jakoś niezwykle lękliwą.

— Możebyśmy wrócili — przemówiła po chwili. — Mama ma racyę, zdaje się, będzie burza.

— Ależ panno Cezaryno! Jaka burza?.. Burza nie może nadejść, nie ma prawa! Przecież wyszliśmy na przechadzkę... No, proszę pani, co to są za chmury? To są takie chmury, z których najwyżej może spaść drobny deszczyk, rosa, ale nie burza!.. Zaręczam pani, że mam silną protekcyę w niebie. Aniołowie, urzędujący przy aparatach piorunowych, znają moje życzenia i wypełniają je; a ja teraz nie chcę powracać do domu, i pani, panno Cezaryno, błagam cię, nie chciej!

Tak paplając, szedłem wciąż w stronę lasu, a ona ze mną. Za nic w świecie nie pozwoliłbym jej wówczas na odwrót. Burza mnie nie obchodziła: niech będzie, niech nie będzie, ja muszę iść z tą dziewczyną dalej, nie mogę wracać do domu, gdzie jej matka zakłóci nam to rozkoszne sam na sam. Nie zwracałem już uwagi na niebo, i chciałem koniecznie, aby i ona nie wpatrywała się tak lękliwie w chmury; postanowiłem ją zmusić, aby zapomniała o burzy i o swojej obawie.

Nie było to zbyt trudnem.

Dwoje oczu uparcie zwracało się ku mnie; widziałem w nich niezwykły ogień, widziałem

niezmiernie żywe zajęcie się wszystkiem, cokolwiek mówiłem. Ta dziewica, którą kochałem, znajdowała się tuż, tak blizko mnie; musiała być zadowoloną z mego towarzystwa, skoro na licach jej ukazały się mocne, świeże rumieńce, skoro w spojrzeniach jej widziałem tyle czułości... Czułem, że nas łączą już silne ogniwa, o których nie potrzeba mówić, co do których już jakby porozumiały się dawno nasze dusze. Byłem szczęśliwy i skutkiem tego szalenie wesoły. Gdzież się podział mój wczorajszy zły humor? Znikł, rozwiał się. Popadłem natomiast w ów szał wesołości, który opanowywał mnie czasami. Natura moja, pełna kontrastów, lubowała się w ostatecznościach: z przepaści pognębienia wznosiłem się nagle na szczyt nadziei; przeważnie zgryźliwy, pochmurny, bywałem czasami dziecinnym, pochopnym do śmiechu za lada jakim powodem, rozbawionym i bawiącym innych. To ostatnie usposobienie dominowało nawet we mnie przez krótki czas mojej pierwszej miłości, w jej najszczęśliwszej fazie. Ci, którzy mnie nie znali bliżej, którzy poznawali mnie w jednej z takich chwil szału wesołości, brali mnie za pustaka, dowcipnisia, błazna, za człowieka, nie mogącego o niczem mówić poważnie, zbywającego wszystko dowcipem. I kiedy spotykali mnie wkrótce potem w usposobieniu pochmurnem, wyczerpanego tym nadmiarem wesołości, popadali w osłupienie, sądzili,

że gram komedyę smutku, że za chwilę zrzucę maskę i rozśmieję się radośnie, przypuszczali nawet, że umyślnie gonię za tego rodzaju efektem.

Obecność osoby ukochanej wpływa na nas zawsze podniecająco. Zdarzyła się chwila stosowna. Moje nerwy zadrgały dreszczem radości, a radość moja odbiła się natychmiast w tej, którą kochałem.

Począłem dowcipkować, śmiać się, improwizować wiersze na wszelkie możliwe tematy; dorabiałem rymy do każdego zdania Cezaryny, zapewniając ją, że to się dzieje nieumyślnie, że to objaw nader poważnej, organicznej choroby. Opowiadałem jej z westchnieniem, sentymentalnym tonem, żem się zakochał wczoraj śmiertelnie w aptekarzowej za jej głęboki rozum, który okazała, przyznając wszystkim racyę i tym sposobem jakgdyby wznosząc się po nad zdaniami wszystkich. Zresztą nie ulega najmniejszej wątpliwości, że weterynarz i Rajkowski również w niej zakochani; dlatego to przecież pierwszy zajadał tak wczoraj w milczeniu rozpaczy, z samobójczym planem przejedzenia się na śmierć, a drugi tak zjadliwie pikował jej męża. Co do mnie, tymczasem sprzymierzyłem się z nimi dwoma: mamy do spółki udusić aptekarza, zwabiwszy go do lasu, a potem, oho! ja już wiem, co zrobię, rozprawię się z nimi doskonale: weterynarza zamknę z psem

aptekarza w aptece, a urzędnika powieszę za nogi. na jego zielonym halstuchu, na upatrzonym już przezemnie dębie w parku Niemirowskim. Zresztą, jako człowiek grzeczny dla dam, gotówem zdać się pod tym względem na wybór Cezaryny.

— Pani łaskawa, pokaż, na którem z tych drzew ma się odbyć ten akt mojej zemsty nad wspózawodnikiem.

Cezaryna śmiała się serdecznie... I ona była podniecona na równi ze mną... Za moim przykładem rymowała swoje zdania z mojemi i cieszyła się, gdy był „rym i sens i kadencya". Współczuła ogromnie mojej nowej miłości, przyznawała, że aptekarzowa warta jest tylu ofiar, ale pomimo to, prosiła mnie, abym nie uciekał się do morderstw.

— To się na nic nie przyda, aptekarzowa pana nie kocha, znowu będziesz pan cierpiał, — mówiła — napróżno tylko splamisz swoje sumienie; zresztą, daruję aptekarza, daruję Rajkowskiego, ale weterynarz... weterynarz... pan nie wiesz: ten człowiek, ilekroć tylko nie patrzył na talerz, zawsze spoglądał na mnie!

— Żebyś mu pani coś nowego podsunęła.. Za mało pani znasz ludzi, panno Cezaryno. Nie radzę pani mu dowierzać...

— A komu mam dowierzać? — pytała figlarnie.

— Mnie... mnie jedynemu na całym świecie.

— Oh, co za monopol!

— Dlaczegóżby nie?... pani nie wiesz, ile w tem sercu — wskazałem na pierś — miłości... własnej i ile w tej głowie — wskazałem swe czoło — rozumu... brak!

Bawiły ją moje żarty. Śmiała się z nich. Wołała ciągle: „jaki pan wyborny, panie Jerzy!" W odpowiedzi na to zapewniałem ją, że karaibowie nie byliby jej zdania, gdyż jestem trochę za chudy. Co do niej zaś, to i ona również nie spodobałaby się żadnemu dzikiemu, gdyż ideał piękności u dzikich chodzi zazwyczaj na czterech nogach: tyle ma tłuszczu...

— Lecz pani, nie martw się, klnę się honorem, że mój gust jest zupełnie inny!..

Potrząsała głową przecząco. Nie może się nie martwić, gdyż „od kolebki marzy o naczelniku jakiego afrykańskiego plemienia".

— Chcesz pani wyjechać? Do Afryki?! Zostaw, że mi pani na pamiątkę maleńki splot swoich włosów; one tak piękne. Czyliż nie jestem umiarkowany? Tak mało żądam. Zważ pani, że zwyczaj ten powstał ze skalpowania; ja pragnę tylko kilku włosków, sam zaś gotówem dla ciebie, pani, oskalpować się własnoręcznie...

Pod żartobliwą formą mojej mowy kryło się gorące życzenie otrzymania od niej splotu włosów. Czyżby to czuła? Śmiała się, ale bar-

wa jej rumieńców stawała się coraz mocniejszą.

O grożącej burzy zapomniała zupełnie, tem bardziej, że gęste liście zakryły przed nami chmury; i tak coraz dalej i dalej zapuszczaliśmy się w głąb lasu, lubując się swoim brylantowym humorem, bawiąc się nawzajem swemi żartami, nie czując jeszcze potrzeby jasnego wypowiedzenia się, bo śmiechy nasze świadczyły, żeśmy szczęśliwi, że nam niczego nie brak w tej chwili. Tylko oczy nasze spotykając się, pytały się czasami: rozumiesz, czemu mi tak wesoło? mam pewien sekret w sercu, którego ci teraz nie powiem, ale później... później wygadam go z pewnością.

Wtem pierwsze krople deszczu przedarły się przez liście i spadły na ziemię. W lesie zrobiło się ciemno, mimo wczesnej popołudniowej godziny.. Potem jaskrawe smugi nagle ukazywać się poczęły w rozmaitych stronach lasu... wierzchołki drzew oblewały się czerwonem i fioletowem światłem i znowu czerniały, a zaraz potem odzywał się głuchy huk w przestrzeni. Wicher zerwał się... ląs zaszumiał, zatrzęsły się liście, zatrzeszczały gałęzie.

Uśmiech zbiegł z naszych ust, oczy nasze spotkały się spojrzeniem trwogi; Cezaryna pobladła. Mnie samego zdjęło przerażenie. Byliśmy samotni w całym lesie. Naokoło nas panowała groza. Od szumu deszczu, od trzasku gałęzi

mrowie przechodziło po skórze. Nieba! o dwa kroki od nas olbrzymia gałęź oderwała się od pnia i padła z głuchym odgłosem na ziemię. Burza mocuje się z drzewami, gnie sosny na wszystkie strony; tam w pobliżu, zdaje się, drzewo złamało się i przewróciło na drugie... tak... oparło się o pień, a teraz pada.

Cezaryna schwyciła mnie za rękę:

— Panie!.. ja się boję!.. uciekajmy...

Drżała całem ciałem.

Spostrzegłem się dopiero wówczas, że zaprowadziłem ją trochę za daleko i że drogi krótkiej i prostej do domu nie znam.

Szliśmy bowiem cokolwiek kołowo.

Serce ścisnęło mi się gorzkim wyrzutem. Co ja uczyniłem? Co będzie, jeżeli drzewo padnie na nią?!

Bez ruchu, jakby sparaliżowany tą myślą stałem naprzeciw niej.

A tu deszcz jak na złość lał i lał ciągle; już nie krople, ale strugi całe przedzierały się przez górną warstwę liści, a piorun huczał za piorunem. Czasami zdawało się nawet, że pada gdzieś bardzo blizko.

— A jeżeli tutaj w nią padnie? — myślałem. Oddech tamował się we mnie.

— Panie, idźmy ztąd, idźmy, ja się boję — wołala, drżąc, Cezaryna.

To wołanie ocuciło mnie. Zbliżyłem się do

niej bardziej, ująłem jej mokre ręce i grzałem je w moich dłoniach; błagałem ją, żeby się niczego nie bała: nic jej nie będzie, nie może jej stać się nic złego, to niepodobna!.. Tak, ze splecionemi dłońmi, nie szliśmy, ale raczej biegliśmy. Ona porywała mnie za sobą. Niepokój mnie szarpał; czułem się winnym przed nią; w myśli, jak machina, powtarzałem tylko te trzy słowa: „co ja zrobiłem! co ja zrobiłem!"

Za nami zdawało się gonić zniszczenie; wydawało mi się ciągle, że jakieś drzewo załamuje się za naszemi plecami, że już... już pada nam na głowy. Nielitościwa groźna siła okalała nas również z boku, szła ku nam naprzeciw...

Nakoniec wydostaliśmy się na jakąś polankę. Tu widzieć można było kawał nieba, pokryty poszarpanemi, o dziwacznych kształtach atramentowemi chmurami. Deszcz moczył nas tutaj bardziej, ale Cezaryna wolała to miejsce: tutaj jest jaśniej... tu nie tak straszno"...

Stanęliśmy tak pod gołem niebem, na deszczu, nic nie mówiąc do siebie, oczekując, aż się ta walka żywiołów skończy. Uważałem, że za każdem błyśnięciem wzdrygała się nerwowo.

Nie mogłem się zdobyć ani na brawurę, ani na pocieszanie jej; byłem zmięszany, a co najważniejsza, przygnębiony tą myślą, że to ja winien jestem, iż znajdujemy się w takiem położeniu; nie śmiałem do niej nic mówić. Staliśmy tak obok siebie, jak dwa posągi.

Wtem jaskrawo żółte światło mignęło nam w źrenicach, na mgnienie oka rozjaśniając poczerniony chmurami horyzont, a równocześnie z tą błyskawicą zabrzmiał huk straszliwy, potężny, przeciągły, który wstrząsnął wszystkiemi memi fibrami i odbił się w mojej świadomości niejasnem poczuciem, że jakoby cały las załamuje się i wali z trzaskiem na nas. Wstęga piorunu musiała przesunąć się po korze jakiegoś drzewa o kilkadziesiąt kroków od nas; może rozszczepiła je... może zwęgliła...

Pierwszy raz słyszałem taki huk; nigdy piorun nie padł jeszcze tak blizko odemnie.

Wstrząsnąłem się cały i opuściłem gwałtownie obie ręce... A wtem poczułem, że dwoje smukłych rąk obejmuje mi szyję...

Cezaryna przerażona, drżąca, w zapomnieniu, w szale jakimś, przytuliła się do mojej piersi. Okropne łkanie wstrząsało nią, ale w łkaniu tem rozróżniłem moje imię.

I w mojej piersi nagle jakby rozerwało się coś... Było to uczucie jakiejś nieskończonej radości, złączonej z niewysłowionym bólem... Nie, próżno to analizować; wątpię, czy to złożone uczucie, tę rozkosz, przechodzącą w boleść przez nadmiar natężenia, zrozumie ktokolwiek, co tego sam nie doznał nigdy.

Opisać tego nie potrafię. Pamiętam tylko, że mi się zamknęły ramiona wkoło tej

smukłej postaci, tuliłem ją do łona i pokrywałem jej włosy tysiącami pocałunków, powtarzając ciągle:

— Moja, moja, moja... no, uspokójże się, uspokój!..

Łkanie ustawało. Coraz jaśniej słychać było namiętnie powtarzane słowo: „Jerzy“.

— Czy my żyjemy jeszcze? — zapytało dziewczę, podnosząc ku górze mokrą od łez i od deszczu twarzyczkę; oczy nie wiem, czemu, były zamknięte.

— Żyjemy, moje dziecko, żyjemy — wyszeptałem i na jej bladych wargach wycisnąłem długi pocałunek. Czułem, że tamte wargi poruszają się i wpijają w moje: przelelişmy w siebie dusze nasze przez usta!

Westchnęła: „O, kochany!”

— Moja, moja — odpowiedziałem.

Nagle wyrwała mi się... Była mocno zakłopotanu, zawstydzona... Ale i ja byłem wcale dobrze zmieszany; to blizkie zetknięcie się było dla nas obojga czemś wysoce niespodziewanem. Czułem, że ona wstydzi się swoich słów, swego nagłego ruchu, że to instynkt samozachowawczy, zda się, popchnął ją mimowoli w moje ramiona; zlękła się tego piorunu, zapomniała się i oto przy piersi mojej szukała ratunku. Ale teraz dziewiczy wstyd jej powracał; widziałem to w jej spuszczonych rzęsach, w tem pólodwróceniu się

odemnie; przykro mi było, że tak jest skrępowaną. Chciałem jej mówić o moich uczuciach, chciałem zapytywać jej serca, ale nie mogłem znaleźć wyrazów, nie umiałem spowiadać się w tej chwili.

— Deszcz ustaje — rzekłem — wracajmy, to tędy...

Natrafiłem szczęśliwie na jakąś ścieżkę i poczęliśmy stąpać śpiesznie po rozmiękłej ziemi, trzymając się cokolwiek zdala od siebie, jakgdyby bojąc się siebie nawzajem. Deszcz na szczęście począł się zmniejszać; spadał teraz rzadkiemi kroplami. Oboje byliśmy przemoknięci do nitki. Pytałem, czy jej nie zimno. Drżała, ale kiwnęła przecząco głową. Ośmieliłem się zapytać ją, czy nie mogę jej zarzucić mego letniego paltota na ramiona: odmówiła jakoś pośpiesznie, z oczyma, spuszczonemi w ziemię.

Potem słyszałem, jak szeptała do siebie:

— Co mama powie, co mama powie, musi się bardzo o mnie lękać.

Powoli śmiałość moja wracała. Uczuwałem czar niezmiernej błogości. Przysunąłem się, wziąłem ją za rękę, nie wzbraniała się już. Naówczas począłem jej mówić, że ją gorąco kocham, że od pierwszej chwili wywarła na mnie głębokie wrażenie, że odtąd ciągle myślałem tylko o niej, że dniem i nocą śniłem o jej oczach...

Wiem teraz, że przesadzałem mimowoli

w moich wynurzeniach; w chwili miłosnego wyznania, uniesionej wyobraźni zazwyczaj wszystko wydaje się silniejszem, wyższem, piękniejszem, niźli było w rzeczywistości. To też z najzupełniejszą wiarą we własne słowa mówiłem jej, że ją kocham od pierwszej chwili widzenia, że tę miłość ukrywam już cały miesiąc, że nie miałem tylko śmiałości wyznać jej moich uczuć...

Ona napawała się widocznie mojemi słowami, mówiła mniej, zwyczajniej, ale z jakąś prostotą gwałtowną, wymowniejszą nad cały potok moich kwiecistych słów:

— Ja kocham pana już dawno... Kryłam się z tem... bałam się, że mnie nie pokochasz... Mówiłeś, żeś już kochał raz i że po raz drugi serce twoje pokochać nie jest w stanie. Ileż cierpiałam, słysząc to.. Postanowiłam wiecznie milczeć, chciałam być tylko twoją przyjaciółką, twoją wdzięczną pacyentką, aby tylko słyszeć i podziwiać ciebie... Nie mogłam... nie umiałam... Nie chciałam rzucać się panu przemocą w objęcia... a jednak, teraz to się stało... Powiadasz, żeś mnie dawniej kochał... jak to dobrze!.. Więc to nie litość z twojej strony... Jerzy, mój Jerzy! więc ja nie potrzebuję się wstydzić... a wiesz, że ja jestem dumna... bardzo dumna...

Potem tłómaczyła mi, że zakochała się we mnie dlatego, iż mówiłem tak, jak jej ojciec, że wzbudziłem w niej na nowo wiarę w życie, w pię-

kno, w prawdę, że uspokoiłem burzę, która kołysała jej nerwami, że słowa moje zagłuszyły jęki, które słyszała dniem i nocą, że mój obraz, jasny, otoczoną aureolą prawdy, urokiem siły, zawiesił się na tych ciemnych obrazach, które tak długo dręczyły jej oczy... Przyznała się, że mniej myśli o ojcu, że nawet to wyrzucała sobie; ale nie może już oprzeć się temu dziwnemu wpływowi, jaki na nią wywieram... Czuje coś w sercu, jakąś rozkosz, jakąś radość, kiedy jestem przy niej, kiedy z nią rozmawiam. To coś wydaje się jej jakby „poczuciem nowego życia".

Wówczas mówiłem jej, że wesprze się na mojem ramieniu i tak przejdzie przez życie, że mnie ona także wiary w przyszłość dodaje... że teraz nie będę już tak samotny, że ona wynagrodzi mi wszystkie bóle, które kiedyś przeszedłem. O! jakżeż będziemy szczęśliwi! Za parę dni mieliśmy wszystko wyznać jej matce... tak, za parę dni; po co się śpieszyć. Jak przyjemnie kochać skrycie, nie wystawiać na pokaz swojej miłości, nie afiszować się z nią, nie podzielać jej z nikim, nawet z matką tymczasem. Tak, będziemy mówili do siebie oczami, uśmiechami, będziemy wychodzili razem do parku, do lasu będziemy czytali...

— Ja będę na ciebie patrzył...

— Ja bądę ciebie słuchała...

Takeśmy paplali, nie bacząc, że błoto prys-

ka nam z pod nóg; oddychaliśmy szeroko, wciągając świeże powietrze, oczyszczone przez burzę. Na rozjaśnionem niebie przewalały się ciemnoniebieskie chmur ostatki... Zachód, powleczony podłużnemi chmurami, błyszczał gdzie-niegdzie przetykającemi je czerwonemi i złotemi pasami...

— Zaręczeni jesteśmy, Cezaryno — rzekłem to niebo jest naszym świadkiem.

Wchodziliśmy już w główną ulicę miasteczka. Zdala widniał nasz dom. Urwaliśmy rozmowę i milcząc, weszliśmy do mieszkania. Pani Olszewska przyjęła nas wystraszona. Wysłała była Szczepanowę i Marysię do lasu na nasze spotkanie. Przelękła się, że Cezaryna zmoczona; poczęła zdejmować z niej mantylkę, nalegała, żeby się przebrała. Ze mnie zdawała się być niezadowoloną. Mówiła, że to było nierozsądnie, oddalać się tak bardzo od domu, kiedy burza wisiała na niebie.

Tłómaczyłem się, jak mogłem.

Przedstawiałem jej z komicznej strony nasze zabłąkanie się, przestrach Cezaryny, zataiwszy naturalnie wiele szczegółów. Cezaryna milczała, nie umiała kłamać. Od czasu do czasu tylko mówiła: „Nie mogło być inaczej, mamo, nie mogło! Matka nalegała, aby się położyła wcześnie i wypoczęła. Pożegnałem je, żałując, że przed wyjazdem nie zobaczymy się więcej.

Naówczas pani Olszewska zaczęła mi mówić znowu, o co mam się wywiedzieć w szpitalu co do jej męża, jak dobrą jest siostra Emilia, jak ciężko przychodzi jednak zapłacić tę drobną sumkę za opiekę nad chorym, ale naturalnie gotowa jest o wiele więcej zapłacić, byle mężowi było dobrze.

Nie słuchałem jej; przez jej ramię spoglądałem ciągle na Cezarynę. Siedziała zamyślona i jakby rozmarzona; zda się, także nie słuchała słów matki. Wydawała mi się nawet oszołomioną tem, co zaszło między nami; spojrzenia jej bardzo często kierowały się w moją stronę i znowu poczynały błądzić po pokoju lub nieruchomo tkwiły w jakimś punkcie.

Na odchodnem poczułem, że silniej, niż zwykle ścisnęła mi palce. Zatrzymałem je cokolwiek dłużej w mojej dłoni, pożegnałem ją wymownem spojrzeniem i wyszedłem.

XVII.

Parę minut zaledwie usiedziałem w moim pokoju...

Wyszedłem na miasto i machinalnie skierowałem się ku jego żydowskiej dzielnicy. Zaglądałem bezmyślnie do wnętrza sklepików, słabo oświetlonych małemi lampkami; żydówki siedzące za bufetami, wabiły mnie, abym co kupił. Małe żydzięta kręciły się tuż pod mojemi nogami, tak że cudem tylko nie nadeptałem żadnego... Idąc ciągle prosto, znalazłem się wreszcie nad rzeką, która płynęła tuż pod miasteczkiem. Wezbrała cokolwiek po burzy; szare jej fale wzdęły się i kołysały z głuchym szumem; w tym szumie słyszałem jakgdyby ostatnie pomruki groźnej niepogody. Na przeciwległym brzegu widziałem grupę wierzb, fantastycznie rozwieszających gałęzie w wieczornym mroku... Brzegiem rzeki zaszedłem do parku i długo chodziłem po jego rozmiękłych od deszczu ścieżkach..

A wszędzie, kędym tylko poszedł, niosłem ze sobą uczucie żywej rozkoszy, rozlewającej się po moich żyłach, napełniającej mnie dziwną jakąś siłą, niezwykłą wiarą w życie, w siebie, w świat... Nie zatrzymywałem na niczem wzroku, spojrze-

nia moje ślizgały się po przedmiotach, znajdując wszystko pięknem, wielkiem, pełnem treści; byłem, zda się, jak bohater z bajki, wyrzucony na czarodziejską wyspę, po długiem borykaniu się z falami czarnego odmętu: wielka rozkosz ocalenia przejmowała mnie potężną miłością dla wszystkiego. To też sympatycznemi wydawały mi się i te odrapane i szare sklepy, i te brudne dzieciaki, z szwargotaniem i z krzykiem przewracające się po bruku; nie zwracałem uwagi, że błoto chlapiąc mi z pod nóg, plami moje ubranie, owszem, śmiało i prawie z lubością grzęzłem w rozmiękłej ziemi parku...

Cezaryna mnie kochała. Co za szczczęście! Powtarzałem sobie jej słowa: „Jerzy, mój ukochany", przypominałem wszystko, co mi mówiła, napawałem się wspomnieniem wypadku tego dnia, po raz setny odtwarzałem wszystkie jego szczegóły. Chciałbym się wypłakać z tej rozkoszy.

Potrafię więc jeszcze kochać! Serce moje nie zamarło jeszcze zupełnie! Mogę być kochany! zasługuję na miłość! A już... już wątpiłem o sobie; zdawało mi się, że nigdy już niczyje oczy nie zatrzymają się na mnie z czułością... A tamten raz?... czy był on w istocie?... nie byłże złudzeniem?.. O! teraz to już nie sen, to rzeczywistość; na ustach moich czuję jeszcze smak pocałunku. Usta moje nigdy, przenigdy już, nie wymówią przekleństwa, ona je ubłogosławiła!

Ale, tak, przypominam to sobie dobrze—do mojej rozkoszy zakradał się czasami przelotnie jakiś fałszywy ton; przypomniałem sobie, żem znowu cokolwiek pozował przed nią, że uczucia moje kostyumowałem, stawiałem je na szczudłach pięknych słów. Znałem tę nieszczęsną wadę mego charakteru; i sumienie, drażliwe moje sumienie, wyrzucało mi ją właśnie po raz tysiączny. Ten fałszywy ton drgał we mnie, jako pozostałość dawnych i zarodek dalszych faz trapiącej mnie choroby moralnej, Wybuch miłości nie był w stanie wykorzenić nieuleczalnej choroby. Fałszywy ton drgał we mnie!

Ale on znikał, przepadał, zaledwie odtwarzałem w umyśle jej obraz i wsłuchiwałem się w te słodkie słowa, które, zda się, wiatr przyniósł z lasu do parku i nauczył wszystkie liście ich brzmienia, bo one teraz szumem swoim powtarzały je ciągle: „kocham cię, twój obraz zawiesił się na tych czarnych, przykrych obrazach, które dotąd dręczyły moje oczy".

Tak rozmarzony, późną nocą, brzegiem rzeki wróciłem do miasta, wynająłem bryczkę i pojechałem na stacyę. Księżyc towarzyszył mi przez całą drogę i, zda się, opowiadał, że widzi ją ze szczytu niebios, przez okno jej panieńskiej sypialni, jak śpi, złożywszy piękną główkę na poduszce, a uśmiech igra na rozchylonych jej wargach...

— Może śni o mnie — myślałem. — A, jak słodko być kochanym... jak rozkosznie kochać... Znajdźcie gdzie drugie takie szczęście na ziemi... Niema go... niema... Natura oszczędziła słabych sił ludzkich, bo gdyby kiedy do serca, czującego rozkosz podzielanej miłości, dorzucono pół, ćwierć innego, równie wielkiego szczęścia, serce ludzkie nie wytrzymałoby tego nadmiaru błogości i pękłoby w tejże chwili...

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Dzwonek stacyjny zajęczał po raz trzeci... Wówczas łańcuchy, łączące wagony, głucho szczęknęły i wyciągnęły się jakby po parominutowem drzemaniu. Świst lokomotywy zagłuszył nieliczne zresztą, na tej pustej zazwyczaj stacyi i o tak późnej godzinie, głosy pożegnania, a po chwili już pociąg dudnił po szynach, unosząc mnie i Michasia w stronę N.

Nie wiem, czy to noc była taka marzycielska, czy ja w takiem marzycielskiem usposobieniu. Zapewne jedno i drugie razem. Serce moje było pełne uczuć podczas tej nocy... A w naturze panowała uroczysta cisza: ziemia słała woń kwiatów wypogodzonemu niebu, na którem świecił jasny księżyc, ucięty trochę z brzegu i otoczony aureolą kół żółtych, fioletowych, rudawych,

niby wieńcem tęczy... Pociąg niósł nas z ogromną szybkością; kiedy wychylałem głowę przez okno, wiatr, wywoływany przez ruch pociągu, rozwiewał mi gwałtownie włosy i muskał przyjemnie mą twarz.

— Czy słyszycie, kolego, jak ten pociąg dudni; jak gdyby szeptał modlitwy w jakimś niezrozumiałym języku — rzekłem do Michasia, wciśniętego w głąb wagonu.

— Aha, w niezrozumiałym, bo ja tam nic z tego nie rozumiem... Ale pozwólcie, kolego, że się trochę zdrzemnę... Zawiadowca częstował wódką...

Przytulił się do poduszek wagonu, a w parę chwil potem rozległo się głośne chrapanie. Nie gniewałem się na to; owszem byłem kontent, że mogę oddać się całkowicie podziwianiu tej uroczej nocy, oraz swoim uczuciom. Niedługo jednakże trwało to moje duchowe sam na sam. Drzwiczki od przedziału, w którym znajdowałem się, nagle zaskrzypiały. Obudzony z marzeń, spojrzałem niechętnie: na progu stał jakiś jegomość, który przechyliwszy się połową tułowiu do wnętrza, zapytał:

— Czy można?

— Można.

Wszedł. Nawet przy słabem oświetleniu przedziału, (jedyną lamkę umyślnie przysłoniłem zieloną firanką), poznać było można, że mój nie-

proszony (formalnie proszony) towarzysz, musi być człowiekiem dostatnim. Miał na sobie modne, szlafrokowate palto; w ręku trzymał cienką laseczkę ze srebną gałką; mocno błyszczący krawat wskazywał swoje pochodzenie od jubilera; gdy odchyliły się bardziej poły jego paltota. u dewizki zabrzęczało mnóstwo breloków. Twarzy dobrze rozejrzeć nia mogłem; widziałem tylko, że była młoda i pełna, ozdobiona dość gęstym wąsem i małemi baczkami. Rozwalił się z fantazyą naprzeciwko mnie, ze śmiechem wskazał śpiącego Michasia, wyświstującego przez nos i przez usta dziwaczne melodye, poczem, wyciągnąwszy porte-cigare, poczęstował mnie.

— Nie palę, dziękuję.

— Nie?! Hawanna, przepyszne, nie paliłeś pan takich nigdy, słowo honoru!

— Dziękuję. Nie palę wogóle.

— Ha, trudno! cygara panu do ust nie włożę; hawanna! — tu sam zapalił i puścił kłąb dymu — ale seryo, przysięgam panu, że pozbawiasz się pan najpiękniejszego owocu cywilizacyi. Wiesz pan, ja, kiedy nie palę, to myśleć nie mogę.

— A ja mogę, łaskawy panie.

— To dziwne... A w karty pan nie grasz, co?

— Nie.

— Byłem tego pewny! Jak Boga kocham, pan się umartwiasz, pan marnujesz życie... No, to chyba pan dużo pijesz?

— Prawie nic...

— Ejże, nie kpij pan... Jeżeli pan to seryo mówisz, to ja panu powiadam, że panu życie obrzydnie... bez kart, bez cygar, bez winka...

I zaśpiewał: Weib, Wein und Gezang!

A po tym wolnym przekładzie dodał:

— Pan skończysz samobójstwem!

Nie zaprotestowałem. Pragnąłem, aby mnie już traktował, jak samobójcę. Ale on nie dał za wygraną; po chwili znowu zaczął:

— Na „samotniaka" nieprzyjemnie jechać...

— Hm, jak czasami...

— No, tak .. jak czasami... ale zawsze nieprzyjemnie... Jakiś tam egipski mędrzec, kiedy byłem w czwartej klasie — ja, panie, byłem w szkołach — powiedział... co on powiedział?.. a!.. że człowiek to bydlę towarzyskie.

I z ukontentowaniem począł się śmiać.

Z akcentu jego mowy, z częstego śmiechu, z samej zresztą treści łatwo można było odgadnąć, że mój towarzysz był trochę „ululany."

Mimowoli poprawiłem go, uśmiechając się:

— Chcesz pan powiedzieć: mędrzec grecki...

— Niech będzie grecki... Czy pan myślisz, że egipski nie mógłby tego powiedzieć. Ho, ho, panie, egipcyanie lepsze rzeczy gadali; a piramidy, hę? Co tu, panie, egipcyanom ubliżać?..

Tu znowu począł się śmiać, potem puścił gęsty kłąb dymu i na inny przeskoczył temat:

— Z panem to przynajmniej przyjemnie pogadać, nie jak z tamtym bydlakiem! Ja do niego gadam, a on śpi... jak nie przymierzając ten... to pański znajomy, co, co?.. Puściłem go więc w trąbę i przylazłem tu... Czy ja pies, żebym gadał do poduszek wagonu?

Widziałem już, że z moim interlokutorem sprawa nie łatwa. Nie gniewałem się już jednak na niego; wydawało mi się, że jest w nim coś typowego; zgodziłem się więc w duchu na słuchanie jego bredni jeszcze przez jakiś czas.

— Czy pan do N? — zapytał, nawiązując znowu rozmowę.

— Do N.

— Patrzaj pan! to akurat tak, jak ja! Ja także do N. — ucieszył się. — A czy pan nie jedzie z R?

— Nie, nie z R.

— Nie z R?!.. No, widzisz pan, to szkoda... to nie akurat, jak ja... Ale i tak w naszej podróży dużo podobnego... Ja do N. i pan do N... obydwaj lubimy gadać.. Dziwny zbieg okoliczności!.. Czy pan czasem nie jedziesz na mój ślub? he? Bo tam mieli dużo gości zaprosić... to może pan?..

— Nie, panie! ja jadę, jako medyk, zwiedzić szpital obłąkanych; mam zlecenie od rządu zatrzymywać po drodze wszystkich, włóczących się bez piątej klepki — wyrecytowałem poważnie.

Nie posiadał się z radości, słysząc to.

— Panie kochany! to znowu prawie tak, jak ja... Bo widzisz pan, ten mój teść i ta moja teściowa, to jak Boga kocham, skończeni waryaci; oni myślą, że... że... kiedy jakieś licho mają w herbie, to i Bóg wie, co... to już dla mnie zaszczyt wziąć z ich domu gęś!.. A moje pieniądze? a moja wieś?.. a ja to nie obywatel?.. Hm, hm, wiem ja, na co oni zerkają u mnie... I gdyby nie moja matka, która ubrdała sobie ten związek i gwałtem mnie chce ożenić, toby mnie nie złapali... o nie!.. Ale pan wiesz przecie, matka chora, krucho się trzyma, chce, bym jej przed śmiercią przywiózł synowę... Ja, panie, dobry syn... Przywiozę!

I znowu począł się śmiać napół głupowato, napół po pijanemu.

— Ale zapomniałem... Panie drogi, jakby to było świetnie... pan masz prawo zatrzymywać... jabym pana zaprosił na ślub, a panbyś tak ich ze ślubu capnął do szpitala, co?.. To, panie, byłoby cudowne! Ha... ha... ha... ha..

— Nie, panie, tak ze ślubu nie można...

— Ale powiadam panu, skończeni waryaci! Matka rozpytuje się o moją opinię... ha! ha! opinię młodego człowieka... Czy młody człowiek może mieć opinię?.. A jej ojciec prosi mnie, abym się porządnie prowadził... ha! ha! ha!.. No, pomyśl pan... Ja sam jestem człowiek honorowy... to

panu każdy powie... Jak tylko zaręczyłem się, tak zaraz Zośkę w trąbę... Helenę zostawiłem sobie...

I tu począł z takiemi szczegółami opowiadać o swojej Helenie, o swojem zdrowiu, o swoich potrzebach, że chwilowo poczynająca mnie bawić rozmowa coraz bardzie stawała mi się przykrą, przeprosiłem go, iż jestem senny i udałem, że zasnąłem.

— No, to pan także śpisz, jak tamten bydlak... A ja, panie, przed wyjazdem piłem za zdrowie mojej matki i za mój ślub, bo ja, widzisz pan zaraz jutro w N. o jedenastej biorę ślub, żeby prędko wrócić do matki... A widzisz pan, nie jestem śpiący... ja mam taką mocną głowę... Więc śpij pan zdrów... Bardzo mi było przyjemnie... Jeszcze znajdę kogo... Pociąg nie pusty.

I, poświstując wyszedł.

Odchodząc, zda się, ukradł mi moje marzenia, mój zachwyt nad cudami tej nocy, pozostawił natomiast uczucie niesmaku.

Spać mi się nie chciało. Leżałem z oczyma rozwartemi, z rękoma podłożonemi pod głowę, naprzemian to snując najgłupsze myśli, to prawie popadając w stan bezmyślności. Poważne uczucia, poważne sceny dni ostatnich i ostatnich godzin, przedstawiały się teraz mojej wyobraźni poniekąd w dziwacznem oświetleniu. Przyczyną tej zmiany usposobienia nie była rozmowa z owym

pijanym głupcem; grała ona tylko ułatwiającą rolę: właściwością mego charakteru było, że w uczuciach dosięgałem zawsze najwyższego szczytu natężenia, na którym, rzecz prosta, długo utrzymać się nie mogłem; siła spadku odpowiadała poprzedniej wysokości; spadek ten jednak wcale nie przeszkadzał nowemu, równie silnemu, wzlotowi za lada pobudką, lub nawet pozorem pobudki.

Zresztą tym razem miałem nawet powód dziwić się i bawić własnym kosztem.

— Więc znów się kocham — mówiłem do siebie, uśmiechając się — że też ja się bez tego obejść nie mogę; a z jakąż tragiczną mocą śpiewałem ongi:

Pod uczucia gorącego siłą
Moje serce się w popiół zmieniło!
Z szczęściem ledwie poznało się trocha,
Nigdy w życiu więcej nie pokocha!

Nigdy! nigdy... Jakżeż byłem głupi! Wszystko przechodzi, przechodzi, powraca i znowu... przechodzi... Zaledwie barwy i kształty są inne...

II.

Kiedy o siódmej rano wysiadaliśmy w N., widziałem że mojego nocnego interlokutora po wyjściu z wagonu okrążyła natychmiast spora gromadka osób. Obawiając się, że mnie spostrzeże i zechce przedstawiać swoim znajomym, pociągnąłem szybko Michasia za sobą; udaliśmy się pieszo do najbliższej cukierni w mieście na śniadanie. Michaś był wesół, bo się wyspał wybornie; obudził się zaledwie na parę chwil przed przybyciem do N. Ja zaś, po nieprzespanej nocy, czułem trochę zimna, byłem cokolwiek zdenerwowany, ale bynajmniej nie senny.

Kiedyśmy wypili kawę, Michaś zapytał mnie.

— Pójdziesz pan ze mną obejrzeć miasto? Aj, wybaczcie, ciągle jeszcze tego głupiego „pan“ używam. Pójdziecie, kolego, co?

— Nie, kolego — odrzekłem — mało spałem, to też nie mogę wiele chodzić. Będę was tutaj oczekiwał; pójdziemy razem odwiedzić waszego wuja. Tymczasem będę czytał tę oto broszurkę.

— A to co?.. „Z niewielu pierwiastków“... To jego chemia... Zanudzisz się, kolega, na śmierć. Ja tam wolę iść... Żegnajcie.

I wyszedł, pogwizdując walca z Gasparonne, nie troszcząc się bynajmniej, że jakiś emeryt, na ten jego wybryk, oderwał wzrok od gazety i oburzonem spojrzeniem przeprowadził go do samych drzwi.

Zabierając się do czytania broszurki Olszewskiego, na samym wstępie do obcego mi miasta i do tego w cukierni, poniekąd ulegałem starej mojej manii czytania zawsze i wszędzie: w Warszawie niejednokrotnie wpadałem na ulicach na na ludzi, zagłębiwszy się w jakiejś książce; w kieszeni zawsze miałem coś do czytania. Tym razem jednak powodowała mną inna, poważniejsza przyczyna: dotąd zaledwie zlekka przejrzałem kilka tomów dzieł Olszewskiego; pani Olszewska proponowała mi, abym wziął je i odczytał, ale zwlekałem z tem ciągle.

Z działu chemii dość dawno nie czytałem nic, prócz rzeczy, mających związek z farmakologią; nie byłem zresztą nigdy zbyt wielkim zwolennikiem tej trudnej nauki, przerażającej mnie swoją suchością; tembardziej tu, na wsi, i w wiadomych okolicznościach, zabrać się do studyowania chemii nie było wcele moim zamiarem. Postanowiłem jednak bądź co bądź, przed zobaczeniem Olszewskiego, poznać cośkolwiek z jego pism; liczyłem na to, że zbudzę w nim jakieś wspomnienie, mówiąc o jego dziełach; a jeśli nawet to mi się nie uda, osiągnę tę korzyść, że ży-

wiej potrafię porównać dwa stany umysłu: zdrowie i obłąkanie. Ta mała broszurka nie przestraszała mnie, jak tamte grube dzieła. Swoją drogą również nie obiecywałem sobie z niej wielkiej rozrywki.

Zaledwie jednak przeczytałem kilka stronnic, zapomniałem, że siedzę w cukierni. Znikł mi z przed oczu elegancki, wypomadowany cukiernik, znikli małego i dużego wzrostu chłopcy, z „leniwym pośpiechem" roznoszący filiżanki pomiędzy marmurowemi stolikami, znikł sufit, ściany, bufet, obstawiony gęsto rzędami tac, pokrytych ciastkami, olbrzymie weneckie lustra; nie zauważyłem żadnego ruchu dokoła, nie słyszałem otwierania drzwi, nie widziałem wchodzących gości.

Byłem sam, samiutki, a wobec mnie jakiś wielki mistrz słowa, jakiś tajemniczy czarodziej, rozwijał plany stworzenia wielkiej budowy wszechświata. Olszewski bowiem w broszurze, którą czytałem, wziąwszy na wstępie kilkadziesiąt pierwiastków, następnie na mocy rozlicznych chemicznych i fizycznych kombinacyj powoływał do życia coraz to nowsze kształty, barwy, twory... Jakiś duch wstępował w szeregi jego formuł, rósł, potężniał, piękniał: stopniowo rozwijało się całe bogactwo natury.

Olbrzymia, rozpalona kula gazowa stygła, powlekała się cienką skorupą, na której wciąż

jeszcze odbywała się wściekła walka wody z ogniem; z wnętrza ziemi wydostawały się, parte gwałtowną siłą, masy roztopionych minerałów; powstawały góry, warstwowały skały... To tlen wszedł w nieprzeliczone związki chemiczne. Co było gazowego, zmieniało się w płynne, płynne twardniało i krzepło.

Powstawały morza piasku, wznosiły się porfiry, przetykane kryształkami agatu i chalcedonu; sterczały błyszczące słupy bazaltu. W łonie gór formowały się żyły złota i srebra, grafit i dyament. Ziemia użyźniała się, pokrywała się kwieciem i zielenią.

Po dziesiątkach rewolucyj, grożących jej, zda się, wieczną martwotą, naraz nowe wstrząsały nią kataklizmy.

Przedpotopowe drzewa, zniesione nawałnicami, podruzgotane przez huragany, zasypane piaskiem i mułem, teraz oto w głębinach ziemi gniły i zamieniały się na węgiel, życiodawcze ciepło przyszłych przemyślnych pokoleń ludzkich. Olbrzymie lody pękały na biegunie, staczały się z gór w doliny, po rozhukanych falach pędziły setki i dziesiątki setek mil, niosły wszędzie grozę i zniszczenie. A życie organiczne powstało już było dawno na ziemi; miryady mikroskopijnych stworzeń żyły w morzach, w powietrzu, w ziemi; drobne żyjątka trupami swemi składały się na olbrzymie cmentarze — koralowe wyspy i kredo-

we skały. Fantastyczna rozmaitość kształtów! natura w gorączce tworzenia! miliardy drobnych muszelek, powyginanych, zabarwionych, popręgowanych dziwacznie; a obok nich potwory: olbrzymie jaszczury, machające skrzydłami, posiadające opancerzone pletwy, czy nogi, istoty zarazem ziemne, wodne i powietrzne; ryby o wężowych paszczach i łabędzich szyjach; mamuty z szerścią i z gęstemi grzywami, o kłach, ważących po czterysta funtów, wystających z potwornych pysków, — pomieszanie wszelkich kształtów królestwa zwierzęcego, przygniatający wyobraźnię ogrom i niepojęta dla umysłu małość! Wszystko to, zda się, wizye obłąkanych bogów, rzeczywistość, blado odbita, a wskrzeszająca w późniejszych legendach i baśniach rozgorączkowanej wyobraźni prostego ludu!

Lecz wybujałość ta wreszcie znika; większa łagodność kształtów, większa symetrya, wyższy ład, estetyczniejsze umiarkowanie, stają się prawami dalszego życia.

Nowy układ pierwiastków chemicznych pod innemi fizycznemi wpływami wytwarza nowe łańcuchy, wyższe, organicznego państwa i przez szereg coraz to doskonalszych, lub bogaciej obdarzonych form podnosi się aż do człowieka. A człowiek ten jest tylko innym kształtem tej samej pierwotnej materyi, z tych samych nielicznych składa się pierwiastków, wdycha tlen, ma

w sobie węgiel i fosfor... jest cząstką przedwiecznej kuli gazowej, przetworem zwierząt i roślin dalekich epok...

Dziwna to byłą książeczka: nie żaden zarys chemii, jak sądziłem z początku; był to obraz rozwoju świata, fantastyczna a jednak ściśle naukowa opowieść powstawania życia, narzucona na papier popularnie, treściwie, w paru śmiałych i barwnych rysach; styl porywał siłą i bogactwem, głęboka uczoność zdumiewała: czułeś ją, mimo że autor nie obciążył zbytnio uczonym balastem swej książki, chcąc ją uczynić możliwie przystępną dla ogółu.

„Cel tej mieszaniny kosmogonii, chemii, geologii — powiadał we wstępie — zachęcenie młodzieży do nauki; chcę zapalić ciekawość do tych źródeł, w których tyle pereł wiedzy wyłowić można“...

Była to praca, godna poety, odpoczynek, godny uczonego! Rozumiałem teraz, czemu Cezaryna parę razy poleciła mi prosić panią Olszewską o broszurkę „Z niewielu pierwiastków,“ którą matka jej schowała gdzieś, pomiędzy bieliznę, ażeby ująć córce jeden więcej powód do wylewania łez nad nieszczęściem, które dotknęło jej ojca.

Wartość broszurki Olszewskiego wzrastała jeszcze dzięki jednemu jej przymiotowi: nie było tam nigdzie rozpaczy myśliciela, załamującego

dłonie nad bezsilnością ludzkiego umysłu; ilekroć autor stawał przed potężną zagadką: różności dwóch ciał, złożonych z tych samych pierwiastków, zagadką, którą hypoteza o rozmaitym układzie atomów zaledwie pozornie rozwiązywała, zawsze twierdził, że zagadka ta kiedyś będzie rozjaśnioną.

Czułeś tam umysł niezwyciężonego badacza, który prawie przy każdym znaku zapytania stawiał mniej lub więcej określone przypuszczenie; o niektórych przypuszczeniach widziałem, że je późniejsza nauka potwierdziła. Autor głęboko wierzył, że kiedyś umysłowi ludzkiemu uda się sprowadzić i te „niewiele pierwiastków“ do jedności...

Z tym żalem, jaki budzi się w nas, gdy nam przerwą słodkie marzenia, zamknąłem książkę. Zdziwiłem się: cukiernia była pełna gości, głośno rozmawiających; popielaty dym cygar i papierosów unosił się w powietrzu w pasach i zwojach. Ale, co najdziwniejsza, przy poblizkim stoliku, naprzeciw mnie, siedział Michaś i pił czekoladę. Począł się śmiać:

— To z was, kolego, zapalony czytelnik! Przy takim gwarze czytać! Niezauważyliście, jak wszedłem. Mówię do was, wy — nic. Usiadłem sobie, tutaj, przy tym stoliczku, głośno każę podać sobie czekolady, wy — nic. Myślę sobie, kiedy też wy się przebudzicie... Parę razy

podnieśliście oczy z nad książki, spojrzeliście; myślę sobie: no, już mnie widział. Ale gdzież tam! wy potem dalej nos pomiędzy kartki i czytacie. Ale też mi się śmiać chciało! Jakie wy miny przytem robicie pocieszne... dlaczego wy nie wstąpicie do teatru?..

— Pański wuj był genialnym człowiekiem — odrzekłem takim tonem, jakgdyby mówił mi właśnie o swoim wuju — pójdźmy go zobaczyć...

— Ba! był... ale już nie jest.. Czekolada moja także była, a już jej niema. Zapłacę i możemy iść.

Szliśmy prawie ciągle w milczeniu. Michaś, zauważywszy, że jakoś całkiem jestem bez humoru i że wciąż wpadam w zamyślenie, tylko zrzadka zadawał mi pytania. Zbywałem je też krótko.

— Byłeś pan kiedy w szpitalu obłąkanych? — zapytał po przydłuższem milczeniu.

— Nie, nigdy.

— Jakto, pan przecie medyk?

— Dotąd z obowiązku bywałem tylko w zwyczajnych szpitalach. Do św. Ducha uczęszczaliśmy przez cały kurs czwarty. Dopiero teraz, na piątym kursie, mamy, się zaznajomić z psychiatryą. Będziemy uczęszczali do Jana Bożego.

— To pan... to kolega na chorobach mózgu nie zna się wcale?

— Tyle co nic.

— To niby my jednakowi medycy na tym punkcie.

— Tak, jeżeli to wam przyjemność sprawia. Znałem trochę teoryi, ale i to zapomniałem.

— To wy się tam na niczem nie poznacie?

— Wątpię, czy lekarza odróżnię od waryatów. Bywały takie pomyłki.

Słyszałem, jak Michaś przecedził przez zęby:

— Aha, z wami.

— Co wy mówicie?

— Nic... mruczę sobie... To taka niedźwiedzia arya... bardzo ładna...

I znowu długie milczenie.

Weszliśmy w bezludną ulicę za miastem, wązką, podnoszącą się ku górze, źle wybrukowaną. Po obu jej stronach ciągnęły się parkany, gdzieniegdzie tylko przerwane jakimś nizkim obszarpanym domkiem. Kałuże błota po wczorajszym deszczu, który widać spadł i tutaj, rozwalały się z bezwstydnym spokojem.

W poprzek tej ulicy stał wysoki, murowany dom. Odgadłem, że to dom obłąkanych. Oddech mi się zaparł w piersi. Mimowoli zwolniłem kroku.

— Ej, matko — zaczepił Michaś jakąś kobiecinę, niosącą zakryty płachtą dzbanek — czy tamten dom to dom waryatów.

— A bo ja wiem? Ja nie ztamtąd — odrzekła, mijając nas.

— To tam odrzekłem z głęboką pewnością.

— A pan zkąd wiesz? — zadowcipkował Michaś — czy pan ztamtąd?

— Panie Michale — rzekłem z przyciskiem — jeżeli nie odpowiadam ci tak niegrzecznie, jak na to zasługujesz, to jedynie dlatego, że zbliżamy się teraz do domu nieszczęścia, wobec którego wszelkie drobne urazy i szyderstwa są wysoką nieprzyzwoitością...

— Przebaczcie mi, kolego, ten głupi żart — odrzekł widocznie wzruszony mojemi słowami. — Mam już taką głupią naturę; nie mogę się powstrzymać, kiedy mam dowcip na języku.

— Nie gniewam się... nie potrafię się teraz gniewać. Oto już jesteśmy!

III.

Więc ten szary gmach o zakratowanych oknach, pod którego zieloną furtą stoimy i czekamy, rychło li na trzykrotne nasze dzwonienie, które jękliwym zgrzytem rozeszło się po murach, zjawi się ktokolwiek, aby nam otworzyć, — więc ten gmach to dom obłąkanych?

Czem jest dom obłąkanych w XIX stuleciu?

To jeden z tych olbrzymich smoków, co najchciwiej pochłaniają ofiary! Wre gorączkowe życie, bije przyspieszonem tętnem; tłumy popadają w szał; miliony rąk wyciągniętych po chleb; w zabójczej walce o byt padają jedni, drudzy tratują ich i idą dalej. Byle naprzód! byle wyżej!— oto hasło, wstrząsające nerwami wszystkich. Rozgorączkowana wyobraźnia śledzi marę wielkości, przepychu, rozkoszy, złota. O, jak to złoto nęci! a zawsze go mało! Słychać brzęk liczonych pieniędzy — to zysk; fortuna dzisiaj sprzyja: trzeba dalej więc grać na giełdzie, aby majątek podwoić.

Nazajutrz drżą wszystkie druty telegraficzne: popsuła się sprężynka w polityce, wysoki dygnitarz państwa jest w złym humorze, zniżka na całej linii! Ogromne, świeżo upieczone fortuny padają w błoto; milioner budzi się żebrakiem!

Ów stroskanem okiem pyta, za jaką cenę otrzyma przyjemność, która nigdy nie zblednie, nigdy nie przesyci; tamten łaknie codziennego chleba dla siebie i dla zgłodniałej rodziny. I znowu wyścig szalony, z natężeniem wszystkich nerwów, wszystkich sił umysłowych i fizycznych. A wszystko to, mieniące się tysiącem jaskrawych barw, na tej fatalnej kanwie, którą stanowią: wadliwy ustrój społeczny, grożący ruiną, anormalne wychowanie, dające dzieciństwu zbytek, zostawiające dojrzałości przesyt, niepokoje zawiedzio-

nych serc, męczarnie oszukanych ambicyjek, wstrząsające wypadki, których słodką trucizną upijamy się przy porannej i wieczornej gazecie.

Okropne typy snują się na arenie życia: dojrzali z duszami przejrzałemi, z pracy chorujący na rozmiękczenie mózgu; starzy, dopuszczający się nadużyć, którym siły ich podołać nie mogą, zniszczone podagrą; młodzież, waląca się na łóżko za lada przyostrym powiewem wiatru, z sceptycyzmu czyniąca sobie rzemiosło; dziewczęta, upstrzone świecidełkami, rozbalowane, w kokieteryi przekraczające granice zdrowia zmysłów; dzieci, znudzone życiem, pozbawione instynktu samozachowawczego, podnoszące dłoń na siebie samych, — okropne cherlacze pokolenie hipokondryków i histeryczek; a w przepaściach społecznych podkładająca miny anarchia, nędza w jaskrawych szatach rozpusty, zdobywająca chleb, ciężka praca najemnika, którego przeciętny wiek skraca się do lat trzydziestu, który, jako owoc swoich trudów, zyskuje wreszcie — suchoty!..

Wre powierzchnia fal życia, nurtowanych przez burzę... I czy to dziw, że oddzielają się tam stale i szeroko prądy, które płyną ku domom obłąkanym? Nigdy jeszcze granica między szaleństwem a zdrowiem nie zarysowywała się w kształcie tak cienkiej linijki, nie była tak ruchomą... Obłąkany z celki swojej śle akademii pracę matematyczną i uzyskuje palmę zwycięz-

twa na konkursie. Płody geniuszu przychodzą na świat kaleckie i dziwaczne.

W znakomitym poecie odkrywasz mnóstwo niezdrowych zboczeń, zapowiadających, zda się, groźną psychiczną chorobę. W twórcy zdumiewającego projektu nie wiesz, czy masz witać przyszłego wynalazcę, czy żegnać genjalny umysł!

Nie potrafisz odróżnić marzyciela od szaleńca, zbawczej idei od idei fixe...

W całkowicie z pozoru normalnym człowieku odnajdujesz przerażony chorobę woli, jakiś popęd do kradzieży, „obawę przestrzeni"; powszechnie poważany człowiek, otoczony miłością rodziny, peryodycznie, z całą nieubłaganą świadomością, lecz bez możności oporu, oddaje się w jakimś zaułku miasta wstrętnym lubieżnym orgiom!

Czem jest dom obłąkanych w XIX stuleciu? To może drobne jezioro, w które tysiącem potoków wpada olbrzymi życia ocean. Kto wie, może z czasem murami tego domu będą obłoki horyzontu, a sklepieniem niebo, wiszące nad nami...

Rozmyślania moje przerwał stróż, otworzywszy ciężką furtu od wewnątrz i wpuściwszy nas do szerokiej kamiennej sieni.

— A czego to? — zapytał, pobrzękując pękiem kluczy i przypatrując się nam wzrokiem niedojrzanym dla nas, z powodu ogromnych ciemnych okularów.

Wklęsłe jego policzki, rzadka, potargana, czarna broda, a zwłaszcza brak zębów na przodzie, gdy pozostałe były żółte i nierówne, wszystko to przykre czyniło wrażenie.

— Czy pan Olszewski tutaj?

— A przecie na miasto nie wychodzi...

— A jego opiekunka, siostra Emilia, przy nim?

— Opiekunka zawdy jest przy „opiekiwanych.”

Natrafiliśmy widocznie na dyablo złego cerbera; ugłaskałem go, wsunąwszy mu dyskę w łapę.

— Prowadź nas do siostry Emilii.

— A pokażcie nam waryatów — dorzucił Michaś, również wtykając mu dziesiątkę do ręki.

— Można prowadzić i przez waryatów — mówił, ożywiając się, stróż — a zresztą kręcą się oni i tu i po korytarzach... jak który spokojny, ma się rozumieć. Ino z inszym nie radzę się panu spotkać; policzy panu zęby, jak jaki fizyk, z przeproszeniem pańskiem. A nie przekona go pan, bo i on ma swój rozum. Każdy waryat ma swój rozum, to wiadomo!

Z temi słowy długim kluczem otworzył drzwi obszernej sali i przepuścił nas przed sobą. Wydało mi się, że jestem w obszernej izbie szynkownej. Nie same sprzęty czyniły takie wrażenie; nie było tu bowiem nic prócz długiego drew-

nianego stołu, stojącego w środku pokoju, oraz ustawionych pod gołemi, zabrudzonemi ścianami, ławek.

Porównanie to nasuwało raczej zgromadzone tu towarzystwo. Około czterdziestu mężczyzn, w różnym wieku, o twarzach pospolitych i ordynarnych, w wytartych kaftanach i surdutach, splamionych i podartych, siedziało, stało i przechadzało się po izbie.

Obłąkanych można było odgadnąć w tych ludziach zaledwie po osowiałych bezmyślnych oczach, po charakterystycznej budowie czaszek u niektórych, po zbyt wielkich lub zbyt małych głowach, wreszcie po głupowatych twarzach i żywych, ciągłych ruchach kilkunastu z tych nieszczęśliwych.

— To są najtańsi i darmowi; razem ich tutaj napchano — objaśnił stróż.

— Nie wiedziałem, — rzekłem do Michasia — że tylu jest chorych umysłowo z prostego ludu.

— A co? — odrzekł — czy to arystokracya ma mieć jakiś przywilej chorowania na mózg? Precz z przywilejami!

— A jednakże pan ma racyę — wziął mnie w obronę stróż — zawdy panom bardziej kuso we łbie.

Tu przystąpił do nas jakiś nizki człowieczek, o głowie zwężającej się ku wierzchołkowi, — gło-

wa idyoty — i wyjąkał te słowa: „jak papanowie będziecie w Ggrąb... grąbczówce, to papanowie zobaczcie mego brabrata, to papanowie będziecie w Grąb...grąbczówce, to papanowie...

— Owszem — odrzekłem, chcąc się go pozbyć.

Nie było to jednak tak łatwem. Jak nakręcony, powtarzał ciągle jedne i te same słowa. Stróż musiał biedaka odpędzić, w czem mu przyszedł z nadspodziewaną pomocą jakiś krępy staruszek o czerstwej jeszcze twarzy i rzadkich siwych włosach na pokrytej wstrętnemi krostami głowie. Żywo biegające oczki, ruchliwa fizyognomia, dobroduszny uśmiech, łagodziły przykre wrażenie. Gdyby nie znaczące mrugnięcie stróża, wziąłbym go za jego towarzysza, a nie za jednego z pensyonarzy. Wymowa jego zdradziła nawet pewną żywość wyobraźni, gdyż w bezładnej jego paplaninie bez przerwy snuły się przeróżne wspomnienia; czuć było, że sam sobie z niemi rady dać nie może nie troszczył się jednak o to bynajmniej; porzucał zaczętą myśl i rozwijał drugą, aby i z tą postąpić tak samo.

— Odejdź, odejdź, daj panom spokój — zaczął, odciągając od nas idyotę. — Niech będzie pochwalony... — zwrócił się do nas — dajcie no panowie papierosika.

— Nie mamy, niestety—rzekł Michaś, macając się po kieszeniach.

— No, to nic, daruję panom; na drugi raz dacie...

— A czy spotkamy pana jeszcze tutaj? — zapytał Michaś.

— Oj, jej... ja tu jeszcze długo będę, chyba nie wylizę ztąd nigdy — zaśmiał się stary.

Widocznie wszystko czyniło na nim wesołe wrażenie.

— A czemu pan tutaj siedzisz? — spytałem.

— A to, proszę pana sędziego — rozpoczął żywo—za kapustę i za owies siedzę już tutaj dziesięć lat! Urząd gminny przyszedł do mnie w Piątek, poczekaj pan, o godzinie czwartej... a ja naciąłem kapusty i czekałem tam...

— A powiadają, żeś podpalił zabudowania folwarczne? — ozwał się stróż, kładąc rękę na jego ramieniu i zaglądając mu w oczy.

— Ja?!.. gdzietam? — zaśmiał się wesoło — to urząd gminny. To było tak. Panowie wiecie: w Charczewie ciągnie się łąka, a w końcu łąki jest chata, a za nią obora, a tam dalej jest stodoła, a tam jeszcze dalej leży pole... a dalej jest las... a potem znowu chata...

— I któż to podpalił? — spytałem.

— A kto?.. no, ten, Kozietulski, Wiśniewski, Jasiński, Sikorska, Małpiński i Psiamordowski...

Wysypał te imiona z jowialnym uśmiechem zmyślając jeszcze dwa nazwiska, nie kwalifikujące

się do powtórzenia; czynił na mnie coraz bardziej wrażenie wybornego aktora komika.

— E, a może to pan podpaliłeś? — zapytał stróż.

— A może ja! — zgodził się i na to wesoło.

Okazało się, że podpalał kilka razy, że schwytany na gorącym uczynku, zamknięty został czasowo w więzieniu, zkąd na zasadzie ekspertyzy lekarskiej odesłano go do spitala. Wydawało mu się, że znajduje się obecnie w innem więzieniu; było mu to jednak wszystko jedno; nie uskarżał się wcale na swoje położenie. Natomiast rad był wiele opowiadać o kapuście, o owsie, o urzędzie gminnym, tambardziej, że kółko jego słuchaczy powiększyło się; zbliżyło się bowiem do nas pięciu innych chorych, zwabionych zapewnie krzykliwym głosem opowiadacza. Nasza bowiem obecność wogóle nie zrobiła tu żadnego wrażenia: chodzono, śpiewano, potrącano nas, ale mało oglądano się na nas. Z tych pięciu, którzy stali przy nas, jeden okazał się zupełnym idyotą, pozbawionym możności wypowiadania swoich myśli, a raczej resztek myśli, które w nim pozostały, wymowę bowiem miał bardzo utrudnioną; drugi o twarzy koloru ziemi, był jednym z owych chorych „nienasyconych“, bo z powodu wady organicznej nie mogących doznać nigdy uczucia nasycenia; zagabnięty przez stróża, „czy jadł dziś błoto i kamienie?“, uśmiechnął się głu-

powato, nie przyznając się zresztą do chorobliwego swego zwyczaju pożerania wszystkiego, cokolwiek znalazł, kładzenia do ust wszystkiego, co mu wpadło w rękę.

Z innemi czasu nie było rozmawiać, nalegałem bowiem, abyśmy śpieszyli; zresztą gadatliwy podpalacz nie dawał nikomu przyjść do słowa. Ruszyliśmy więc ku drzwiom sali, przy których jakiś młody chłopiec, podobno syn tancerza, wykonywał dziwaczne podskoki i pantominami swemi zyskiwał śmiech niektórych współtowarzyszy, z których może każdy sądził, że on jeden ma zdrowe zmysły w tym tłumie szaleńców. Kiedyśmy wychodzili już z sali, uczepił się mnie alkoholik (jak poinformował mnie stróż) i wykrzywiając do płaczu zapadniętą swoją twarz, począł uskarżać się na podłą zdradę swojej żony, która nawet tutaj spokoju mu nie daje; co noc przychodzi do niego i wali go miotłą...

Michaś tymczasem starał się wyciągnąć parę objaśnień z młodego człowieka, o szlachetnym wyrazie twarzy, noszącej piętno głębokiej, lecz spokojnej boleści; ale ten odpowiadał niechętnie, głosem lękliwym, nieśmiałym, skarżył się tylko na doktora, że go tutaj „więzi tak długo", że „tutaj mu bardzo przykro", że on chciałby „siedzieć bez ludzi". Mówił tak cicho że udało mi się pochwycić ledwie parę słów.

— Czemu go nie wypuszczają? — spytałem

stróża — to widać melancholik, ale spokojny zu. pełnie.

— Aha! — odrzekł — dobrze tam spokojny, a co będzie, jak sobie znowu poderznie gardło i teraz już nie do połowy! Niech go pan tylko o to nie pyta, bo teraz to się bardzo tego wstydzi, nigdy nie chce o tem mówić. Mówi, że grzech ma wielki na duszy. No, i racya: Pan Bóg dał życie, Panu Bogu tylko wolno je odbierać...

Tu przez sień weszliśmy do drugiej sali. Był to oddział chorych leżących. Panował tu przykry zapach, mnóstwo miazmatów zatruwało powietrze. Szereg wycieńczonych ludzi, pod grubemi kołdrami, na drewnianych łożach; wielu sparaliżowanych; kilku dogorywało.

Najdziwniejsze wrażenie sprawił na mnie chory, znajdujący się jakby w zachwyceniu; patrzył on bez ustanku błyszczącym, acz mętnym, wzrokiem w jeden punkcik; na jego licach zastygł wyraz dziwnej błogości. Nie pomogły nasze powitania, ani zapytania stróża; nie zwrócił na nas najlżejszej uwagi, pozostając z źrenicą, wbitą nieruchomie w jeden punkt przestrzeni.

— Stan ten — objaśnił nas stróż — trwa całe tygodnie.

Natomiast jakiś inżynier, za naszem podejściem, podniósł się na łóżku powitał nas serdecznie; mówił po większej części rozsądnie, ale... od czasu do czasu uskarżał się na maleńkich chi-

rurgów, którzy siedzą pod jego kołdrą i przez zemstę kłują go i szczypią. W tymże oddziale spotkaliśmy księdza, opowiadającego, że widział w Rzymie tańczącego dyabła...

Michaś gwałtem starał się zatrzymać mnie przed jakimś obłąkanym, zdradzającym pewne zdolności lingwistyczne: wywodził on wyraz „studya" od słowa „studnia", gdyż i tamte i ta winny być głębokie; ludzie studyujący czyli studenci, wprawiali go w zachwyt, czego dowód dał tem, iż podniósł się na łóżku i w negliżu swoim oddał nam „należne honory", salutując po wojskowemu.

Po tym zaszczycie wyszliśmy, aby odszukać nakoniec siostrę Emilię. Spotkaliśmy ją na górnem piętrze. Wskazał ją nam stróż i oddalił się. Zbliżyłem się do zakonnicy, która zatrzymała się na pierwsze moje słowa:

— Pani Olszewska przysyła na ręce pani tę kopertę i pyta, jak się miewa jej mąż?

Odebrała kopertę z pieniędzmi, mówiąc:

— Proszę podziękować pani Olszewskiej; co się tyczy jej męża, to biedak ma się bardzo źle.

Mówiła to głosem prostym, pełnym współczucia.

Przyjrzałem się jej bliżej i spostrzegłem, że w tej regularnej, zwyczajnej twarzy, wyzierającej z pod białego kapturka, kryło się jednak coś niezwyczajnego: była to jakaś bezgraniczna dobroć.

Takiej niezmąconej pogody nie widziałem dotąd w obliczu żadnej z mieszkanek tej ziemi, a twarz była młoda, najwyżej 23 letnia. Również głos jej był, zda się, gojącym balsamem; ani cienia niecierpliwości; takiego równego, spokojnego tonu nie usłyszysz ze ściągających się usteczek naszych nerwowych pań.

— Jeżeli, panowie, życzycie sobie zobaczyć pana Olszewskiego, to mogę ich zaprowadzić...

— Gdyby siostra zechciała łaskawie pokazać nam i innych chorych — prosił Michaś.

— I owszem... Panom nie śpieszy się?.. Pozwólcie, że wam najprzód kilku ciekawych chorych pokażę... bo to zaraz tutaj, w tym korytarzu... Olszewski zapewne jest w ogrodzie... trzeba zejść na dół... po co więc dwa razy wchodzić na górę. Panom wszystko jedno?

— O, wszystko jedno — odpowiedział za siebie i za mnie Michaś.

Nie zaprzeczyłem mu. Byłem nawet poniekąd rad z takiego obrotu rzeczy. Olszewskiemu jest gorzej; na co więc tak się śpieszyć z zobaczeniem go —myślałem. — W istocie zaś bałem się tej chwili. Wbrew rozsądkowi, wbrew oświadczeniu zakonnicy, chciałem wierzyć, że Olszewskiemu jest lepiej. Czem bardziej oddalała się chwila widzenia, tem bardziej wmawiałem w siebię wiarę. Chciałem ją zatrzymać w sobie jak najdłużej; drżałem przed możliwością rozczarowania się.

— Rzecz dziwna — mówił Michaś do siostry — nie udaje się nam spotkać tutaj waryatów z jakąś poczciwie rozwiniętą idée fixe. To jakiś podrobiony dom obłąkanych...

— Mylisz się pan, — odrzekła, — sądząc, że idea taka jest najczęstszym objawem obłąkania. I ja tak z początku mniemałam; ale tutejszy doktór objaśnił mi, co potem sprawdziłam sama, że większość obłąkanych nie posiada żadnej wybitnej idei; bywają tacy, co taką ideę nabywają dopiero tutaj; i nie w niej ukrywa się groza choroby...

Wyjaśnienie to zdziwiło nas obydwóch.

— Obecnie wszakże mamy tutaj paru ciekawych chorych, posiadających tego rodzaju ideę; tych właśnie panom pokażę, bo ci, jak widzę, najbardziej panów interesują. Jeden właśnie, bogaty chłopiec, młody hrabia, lubił jak to zwyczajnie młodzież, — (siostra Emilia nie była purystką) — zabawić się dobrze, ale nie potrafił, widać, utrzymać należytej miary, rozchorował się; bo oto dziwna idea padła mu na mózg: wydaje mu się, że jest cesarzem Jerzym I. Pamiętajcie, panowie, nie sprzeciwiać się mu.

To mówiąc, poprowadziła nas ku drzwiom, oznaczonym nr. 1 i zlekka zapukawszy, spytała:

— Czy Wasza Cesarska Mość przyjmuje?

— Tak — ozwał się sympatyczny dźwięczny głos ze środka.

Weszlismy. Jerzy I, otulony tureckim szlafrokiem, siedział na kozetce. Mały jego pokoik umeblowany był ozdobnie: prócz machoniowego stoliczka, oraz takiejże komódki, obstawionej cackami, znajdował się fortepian, własność lokatora. Sam Jerzy I, wyznaję, zbrobił na mnie silne wrażenie. Twarz miał białą, jak panienka, ale za to ciemne oczy błyszczały wyrazem męzkiej dumy. Pod czarnym wąsikiem, na zgrabnie wyciętych ustach, osiadł szyderczy uśmieszek. Z całej postaci tego człowieka czytałeś, że życie wypieściło go i popsuło. Stanęliśmy przed nim wyprostowani.

— Ci panowie przyszli Waszą Cesarską Mość odwiedzić; wysłani są w tym celu — rzekła zakonnica.

— W istocie — objaśniłem, nabierając nagle chęci do zwodzenia szaleńca, (jest to nader częsty i zrozumiały objaw) — jestem posłem francuzkim, a ten pan to mój attaché.

Skłoniliśmy się. Jerzy I spoglądał na nas lekceważąco i pokręcał wąsa. Zdawało mi się, że drwi z nas, że za chwilę rozśmieje się i powie: „czy wy, u licha, macie mnie za błazna?“ On jednak, wbrew memu przewidywaniu, wycedził: „trés bien“ i zapytał o „resztę posłów.“

Uniewinniłem nieistniejących towarzyszy, tłómacząc ich epidemiczną chorobę. Kazał nam wymienić nazwiska; dziwił się nawet, że mówimy po polsku, na co odrzekliśmy, żeśmy polacy.

Siedzieć nas nie prosił i tak stojących przed nim począł rozpytywać, co słychać. Zapewniliśmy go, że wszystko jak najlepiej się dzieje, że poddani bardzo są zadowoleni, że w kraju kwitnie najpiękniejszy pokój zbrojny, etc.

Kiwał głową z ukontentowaniem, wreszcie rzekł.

— Ja właściwie zamierzałem jechać wprost, do Petersburga, ale zatrzymałem się tutaj na parę dni... przypadkiem. Prawdę mówiąc, to ja tutaj siedzę niezupełnie zgodnie z mojemi życzeniami, jest to bardzo nieprzyjemne.

Czuł, że majestat jego narażony jest na szwank; niecierpliwił się zlekka, ściągał brwi przygryzał wargi.

— Cóż robić? mała przykrość—pocieszyłem go — to się zdarza.

— No, tak, zdarza się, ale nie powinno się zdarzać: ja tego wcale nie chciałbym... A jak „to“ panowie uważacie?

Wskazał żelazne kraty w oknach, które widać również napełniały go zwątpieniem.

— A, to bardzo modne—pośpieszył Michaś.

— To broni W. C. M. od spiskujących na jego życie — dodałem.

— Tak uważacie?—rzekł nieco uspokojony.

Potem popatrzył na nas parę sekund i, ni ztąd ni zowąd, zapytał:

— A nie boicie się, że każę was powiesić?

— Wasza C. M. zbyt dobra — odrzekliśmy.

— No, kiedy się nie boicie, to dobrze — uśmiechnął się wspaniałomyślnie.

Audyencya była skończoną. Gdyśmy wyszli, Michaś zapewnił mnie, iż sądzi, że mniemany cesarz tylko udaje. „Chce w nas wmówić, że jest cesarzem—wołał—sam temu nie wierzy, gra komedyę. O mało nie powiedziałem mu, że kłamie“. Ja przeciwnie twierdziłem, że szaleniec tak jest przejęty swoją manią wielkości, iż mimowoli przybiera rozkazujące ruchy monarchy; dostrzegłem w nim coś majestatycznego. Żałowałem go mocno.

Zakonnica w milczeniu ominęła kilkoro drzwi i wprowadziła nas do pokoiku nr. 5, który posiadał dwa łóżka i naturalnie dwóch lokatorów.

Jeden z nich, siedząc w ubraniu na łóżku, na szelest naszych kroków, powoli podniósł głowę i zmierzył nas badawczym, przeszywającym wzrokiem dwojga jasno-zielonych oczu. W zmarszczonych brwiach, w głębokich rysach, wijących się po jego ogorzałej twarzy, od grubego regularnego nosa do wydętych warg, tkwiła jakaś surowa powaga; z całej zaś fizyognomii bił wyraz skupionej zadumy i nawet inteligencyi. Krótko ostrzyżone włosy i wygolony podbródek nadawały tej twarzy charakter oryginalnej brzydoty.

— Ten pan to nauczyciel wiejski — ozwała

się zakonnica. — Dziś w nocy mocno go obito. Nie bronił się jednak. Owszem! „bij, bij—wołał—bij aż się zmęczysz". Nieprawdaż, panie Nieciuński?

Zagadnięty pochylił głowę i rzekł poważnie:

— Jak wszyscy będą bili, to jeszcze gorzej będzie. Powinien być spokój i cisza.

I, oparłszy ręce na kolanach, spoglądał na nas.

— A oto sprawca pobicia — rzekła siostra.

— Ten?

Wskazany przez zakonnicę człowiek, leżący na przeciwległem łóżku, do którego dotąd byliśmy zwróceni tyłem, przedstawiał obraz absolutnej bezwładności.

— Jakie to on siły miewa, gdy zechce — mówiła siostra Emilia. — Dnie całe może tak leżeć, jak go tu panowie widzicie, z zamkniętemi oczyma, nieruchomy; naraz wyskoczy z łóżka i rzuca się.

— Panie Bolesławie! obudźże się pan! — zwróciła się do chorego.

Chory nie poruszył się nawet. Był to młody chłopiec o twarzy mocno bladej, o rysach regularnych; o ile cienka kołdra, pod którą leżał, uwydatniała kształty, należały one do człowieka wcale tęgiego; ale obnażone, przez sfałdowanie się rękawów koszuli, prawie do ramion, ręce wskazywały nader słaby rozwój muskułów. Michaś podnosił mu ręce chory utrzymywał je

w powietrzu; układał mu dziwacznie palce, chory nie zmieniał nadanych im położeń; najwygodniejsze — zachowywał przez długi czas, nie uczuwając znużenia.

Był to stan katalepsyi. Siostra Emilia, pochyliwszy się nad nim, szeptała doń pieszczotliwie: „Mela przyszła, twoja Mela; otwórz oczy panie Bolesławie!” Chory nie zmieniał pozycyi. Stałem jeszcze zadumany i milczący przed tym znakiem zapytania, przed tym nieszczęśliwym, pochodzącym podobno z rodziny psychopatów, kiedy ruchliwy i ciekawy Michaś wszczął już rozmowę z nauczycielem wiejskim.

— W jaki sposób dostałeś się pan tutaj?

— Wiadomo. Miałem jeszcze tyle rozumu, ażeby szukać spokoju i ciszy.

— A prędko wyjdziesz pan ztąd?

— Naturalnie. Nie mam tutaj co robić.

— Czemuż pan szkołę opuścił?

— Skończyłem kurs. Przyjechałem tutaj uczyć. Wy ciemni jesteście... I ja także ciemny.

— A czy pan jesteś zdrów?

— Naturalnie, jak nie nadymają, to jestem zdrów.

— Nadymają?! Kto nadyma?

— A kto? Wiadomo, Cieślicki i Dziekoński...

— Czem pana nadymają?

— ... i Krzywicki także czasem.

— Jakże to pana nadymają? — spytałem i ja, zaciekawiony tem dziwacznem opowiadaniem.

— Zwyczajnie. Chwytają za rogi i nadymają. I pana także mogą nadymać... I krowę także nadymają... A potem mnie biją... Bicie zła rzecz... Nie byłem winien, że nadymali mnie i krowę? A przecie siedziałem w więzieniu, a teraz tutaj...

Chciałem przy tych jego wyrazach przerwać indagacyę i już zwracałem się do zakonnicy ze słowem: „idźmy!" ale Michaś rozpytywał dalej. Obawiałem się, aby nie wywołał jakieś drastycznej odpowiedzi.

— A co pan czujesz, gdy pana nadymają?

— A nic... to samo, co i pan ..

— Zkąd więc pan wiesz, że pana nadymają, jeżeli nic nie czujesz?

Nie zrozumiał pytania.

— Jak nie biją, to nie boli.

Odpowiadał z głęboką pewnością siebie, poważnie, tak rozumnie spoglądając na nas, że prawie chciało mi się uwierzyć, iż w istocie „nadymają" go, i że nas tak „nadymać" mogą.

— A wy tutaj przyjechaliście, aby się leczyć? — spytał nas z kolei. — Wy jesteście chorzy. Rozwalcie mury, a spokój i cisza zejdą w dusze.

W ostatniem zdaniu, zda się, tkwiła głębsza myśl.

— A gdzież będą ludzie mieszkali potem? — zapytała siostra Emilia.

— Będzie cisza i spokój — odrzekł, nie zda-

jąc sobie sprawy z pytania. — Duszy niema; tak, to prawda...

Myśli jego nie kleiły się, ulegały dziwacznym, niedostępnym dla nas skojarzeniom.

— Człowiek powinien żyć tylko 25 lat — wygłosił naraz.

— Czemu tak krótko? — spytała siostra.

— A czemu dłużej? — zapytał z kolei.

— Cóż robić, kiedy nie chcą umierać tak wcześnie — ozwał się Michaś.

— Jeden drugiemu niech dopomoże. Każdy powinien nauczyć innego zabić się... wziąć topór i tak, po głowie uderzyć...

Nie mogłem znosił dłużej tego spokojnego wzroku, którym szaleniec zdawał się potwierdzać słuszność swoich idej. „Pójdźmy już" rzekłem i pierwszy wyszedłem na korytarz. Za mną podążyli Michaś i zakonnica.

— Spójrzcie panowie na tego człowieka, co niesie ten kocioł — ozwała się siostra, wskazując nam znikającą już na zakręcie korytarza wysoką i chudą postać, którą wzięliśmy za jednego ze ştróżów. — To były student prawa; cztery razy wypuszczano go ztąd i cztery razy zabierano go napowrót; dziewięć lat już siedzi tutaj biedak. Spróbujcie, panowie, z nim mówić; zrobi na was wrażenie zdrowego człowieka; godzinę, dwie godziny, będzie odpowiadał rozsądnie, ze wszelkiemi szczegółami, o swojem poprzedniem życiu ale

pomówcie z nim jeszcze parę minut i najniespodziewaniej w świecie usłyszycie, że widział on raz na księżycu swoich znajomych i nawet kogoś podobnego do siebie; jemu samemu wydawało się to dziwnem. Następnie wyliczy wam, jakie korony otrzyma po wyjściu ze szpitala: czeską, polską, szwedzką, austryacką, francuską, saską i inne. Wszystko to ma u niego swoje historyczne racye. Przekonany jest, że jakiś głos zawołał raz na niego: a gdybyś ty był królem?!... Tymczasem zaś oczekuje spokojnie tej chwili, kiedy go wypuszczą ze szpitala dla objęcia tylu godności, i nie razi go wcale, że używają go tutaj do różnych posług. Owszem, rad jest z tego.

— Czemuż to pozwalają mu chodzić bez stróża? — spytał Michaś.

— O, ten jest zupełnie bezpieczny.. Ale w ogrodzie pokażę panom epileptyka, który po atakach wpada we wściekłość, rzuca się, chce kąsać, mordować, palić; a nic nie wie o swoim stanie. Ten...

Tu otworzyły się drzwi w korytarzu i ukazała się w nich tłusta twarz, okolona rudawym zarostem.

— Czy są jakie nowiny z giełdy? Czekam na gazety?

— Siostra Marya przyniesie je panu — rzekła zakonnica.

— Dziękuję pani... niech pani przyśpieszy...

bardzo polegam na papierach londyńskich. Zarabiam dzisiaj sto milionów rubli. Niema czasu. Liczę dalej. Adieu.

Ostry, urywkowy głos umilkł i drzwi się zamknęły.

— O, ten ciągle liczy i liczy... Ma manię bogactwa... Stróżom tutejszym rozdaje czeki na wszelkie banki po sto tysięcy rubli. Jednemu podarował milion.

— Ciekawym, kto jest większym waryatem, ten, co rozdaje wymarzone pieniądze, czy ten co rozdaje prawdziwe? — zadowcipkował Michaś.

— Olszewski, w ogrodzie jeszcze, nie w łóżku? — spytała zakonnica przechodzącego właśnie stróża, a otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, zwróciła się do mnie:

— Czas nam już iść do niego. Uważam, że panu pilno... pańskiego towarzysza wszystko tutaj zajmuje, a pan milczy ciągle.

Istotnie był już czas. Byłem przygnębiony tą wystawą szaleństwa ludzkiego, znużony tym przeglądem nieszczęścia, pomieszany sam od tych idej waryackich, które napełniły w przeciągu półgodziny moje uszy.

Widziałem już idyotyzm, bełkocący kawałki słów, i ponurą melancholię, dla której promień słońca miał barwę czarną, a łagodny zefir posiadał pazury; widziałem bezustanny wesoły humor, bawiący się serdecznie zbrodnią, i wstrętną anó-

malię płciową, spowitą w dziwaczne rozumowania; widziałem maniaków nędzarzy, posiadających w wyobraźni swojej ogromne królestwa i milionowe fortuny; widziałem otchłań niedołęztwa i niepowstrzymany szał ruchów; widziałem paraliż, wyżerający mózg i wlokący do grobu.

Co jeszcze mogę zobaczyć?!

I ojciec Cezaryny miałby znajdować się tutaj, w tem gronie szaleńców?! Ha, jeżeli ten człowiek, który takie dzieła pisał, który takie skarby uczuć i myśli zasiał w duszy swej córki, jeżeli ten człowiek utracił rozum, to... nikt nie może być pewnym swojej głowy, to... to... moje dawne dzikie obawy o siebie... mają swoją racyę bytu!...

A może jest mu lepiej, niż innym? Zakonnica musi się mylić. Może nie cała nadzieja stracona? Jak wygląda, czy podobny do swego portretu? Czy przypomni sobie rodzinę? Czy zapłacze, gdy zapytam go o córkę?... On, co ją tak kochał, mógłże o niej zapomnieć?!

Pytania te dręczyły mnie również, jak otaczający mnie dokoła jakiś specyficzny zapach szpitalny, od którego zawracało mi się w głowie...

VII.

Tak szliśmy przez szereg kamiennych schodów, skręcaliśmy w długie korytarze, przechodziliśmy pod wysokiemi sklepieniami, przypominającemi jakiś klasztor starożytny. Przodem poważnym krokiem postępowała zakonnica, za nią szedł Michaś, swawolnie naśladując podrygi obłąkanych; ja zamykałem pochód: stąpałem ciężko, zwolna, czując, że zstępuję w bezdeń rozpaczy. W jednym z korytarzy napotkaliśmy obłąkanego, który z mocno zainteresowaną miną patrzył na wskazujący swój palec, wyprostowany do góry. Za nic w świecie nie możnaby go zmusić, aby zgiął go; trzymał go w tej pozycyi całe miesiące, jadł tak i nieledwie spał tak. Skutkiem tego stróże musieli ubierać tego szaleńca. Wyjaśnień tych udzieliła nam siostra Emilia.

— Ostrożnie — wołał na nas — na Boga, ostrożnie, bo zrzucicie świat z czubka tego palca, na którym on już 6,000 lat spoczywa.

I przeszedł koło nas, przekonany, że gdybyśmy mu zgięli palec, świat by się zawalił.

Przypomniałem sobie dziwaczną kosmogonię indusów, którzy ziemię naszą opierają na słoniach, a słoniów na olbrzymim żółwiu, i pomyślałem:

— Dlaczegożby ten twórca nowej kosmogonii nie miał mieć racyi? Kto wie, może w istocie palec jakiś podtrzymuje cały wszechświat?

Atmosfera działała.

Weszliśmy do ogrodu. Był to raczej plac, z dwóch sąsiednich stron przylegający do zimnych murów gmachu, z dwóch drugich odgrodzony od zamiejskich ulic parkanem. Ledwie gdzieniegdzie rosły tu karłowate drzewa o dziwacznie, jak gdyby w bólach, powyginanych konarach, skąpo obsypane liśćmi. Przeklęte miejsce: ziemia nie chciała tu rodzić!

. Już na pierwszy rzut oka, pomiędzy ludźmi, snującymi się bezładnie po placu, rozróżniłem dwa rodzaje. Większość, przybrana w białe, długie szlafroki płócienne, o ogolonych głowach, o oczach błędnych lub dziko błyszczących, o twarzach wychudłych, — to pensyonarze. Inni, nieliczni, o wydatnych barkach, o muskularnych ciałach, o gminnych twarzach, z paskami w ręku, przybrani w kurtki, — to służba.

Poruczony im został nadzór nad choremi, osobliwie nad furyatami, którym też od czasu do czasu wygrażali paskami.

Kiedyśmy weszli, zaczęto cisnąć się wkoło nas; niektórzy patrzyli na nas ciekawie, inni niechętnie, jeszcze inni bezmyślnie. Wielu starało się ucałować rękę i wiszący na niej krzyżyk siostry Emilii. Szczególnie objawiał chęć tę jakiś żyd; zakonnica opędzała się od niego delikatnie.

Nieopodal od nas zauważyłem siedzącego pod drzewem z głową pochyloną niezwykle pięknego młodzieńca o nader szlachetnym wyrazie twarzy. Jemu jednemu z wszystkich pozostawiono włosy, które też w jasnych kędziorach rozwiewały się nad jego czołem.

— To Lucyan, melancholik, poeta, który rokował wielkie nadzieje — objaśniła mnie siostra Emilia, widząc, że się przypatruję nieznajomemu. — Panie Lucyanie, ci panowie przyszli cię odwiedzić — zwróciła się pieszczotliwym głosem do nieszczęśliwego.

Powstał lekko i z pewną wytwornością w ruchach zbliżył się ku nam, a stanąwszy przed nami, skrzyżował ręce na piersiach i utkwiwszy w nas myślące niebieskie oczy, ozwał melodyjnym głosem:

— Poemat mój będzie miał tysiąc ksiąg, każda księga dwanaście rozdziałów, każdy rozdział miliard wierszy. Jeden Matuzal przeczyta go za życia. Inni będą go czytali za życia i po śmierci... Jestem sławny. Przedemną nie było poetów. Nie pojmowali praw harmonii. Słuchajcie moich pieśni, w których każde słowo ma rym!...

I począł skandować z patosem:

Szalona światów wirujących moc,
Natchniona kwiatów woniejących noc,
Różowych ranków brylantowy wschód,
Perłowych wianków salonowy cud.

Szemrzące piany oceanów fal,
Grożące tany huraganów w dal,
Z daleka w uszy brzękiem tchnący ul,
To w człeka duszy jękiem drżący ból!

Nagle od wierszy przerzucił się do prozy:

Błyszcząca purpura Apollina nie licuje z nędzą naszej ziemi; promień słońca naigrawa się ze łzy, jak bogaty starszy brat z żebraczki siostry; różana jutrzenka kłamie zachodowi; złote południe kłamie północy... Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo! Ja muszę zmusić bożka słońca do abdykacyi! Człowiek potrzebuje nocy, wiecznej, cienistej, chłodnej nocy, marzącej tysiącem tęsknych oczu — gwiazd... Noc — opiekunka strapionych, przyjaciółka cierpiących... Idziecie z kraju słońca, cni przybysze?... wybaczcie, że wam nóg nie myję... wiatr pustyni, rozpalony i suchy przewiał nad wami; żarłoczne słońce wessało wszelką wilgoć.. Kiedyż nadejdzie owa wieczysta noc?!... Czterdzieści cztery dni tylko znosić jeszcze będą tronowe urąganie Apollina, a potem gromami mej pieśni i własną stopą strącę go w otchłań.. Wówczas nadejdzie owa wieczysta noc... równość wszystkich w obliczu śmierci... skończyłem!

Majestatycznym krokiem oddalił się.

— Ta noc to jego idea stała, która psuje wiele z jego wcale niezłych wierszy — szepnęła zakonnica.—Ale patrzcie, panowie, oto Olszewski.

— Gdzie? — spytaliśmy obaj jednocześnie. Serce me mocno zabiło.

— A oto tam, pod ścianą. Nieraz całe godziny tak stoi i nie chce ruszyć się z miejsca. Jakóbie, sprowadź no tutaj pana Olszewskiego.

Spojrzałem. Były profesor chemii i fizyki, jakby jaki cień podłużny, przyodziany w biały szlafrok, stał kędyś na skraju ogrodu, tyłem zwrócony ku nam, a przodem ku wielkiej, szarej, bez okien, ścianie. Stał sam nieruchomy, jak mur. Czy myślał nad czem? Może nie. Może wobec tego kamienia był sam, jak bezmyślna materya, a może przeciwnie, może jakimś szczątkiem dawnej swej wiedzy — starał się zahaczyć o chemiczny skład tego muru lub jego barwnika. Lecz oto zbliżył się doń dozorca. Olszewski opierał się, dozorca począł go ciągnąć; biedny szaleniec wyrywał się, ale w tej nierównej walce ramię dozorcy niewątpliwie musiało zatryumfować.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Oparłem się o drzewo i przymknąłem oczy. I oto wydało mi się, że widzę jeden z kręgów Dantejskiego piekła, do którego złośliwy jakiś duch wtrąca tych, którzy mają odwagę myśleć i czuć. Krążą tłumy poetów, uczonych, artystów, a zgraja ciemnych pachołków ugania sią za niemi, smaga ich, tnie, bez litości chłoszcze, aby zdławić w nich wolną myśl i uczucie, ogłupić dusze, a ciała zmienić w nędzarzy.

— Oto i on — odezwał się przy mnie głos zakonnicy.

Otworzyłem oczy. Nieba! przedemną stał najostatniejszy z nędzarzy, Hiob nad Hiobami. Przerażająco chudy: wązki szlafrok, przestronnie opadał na nim. Twarz—nie, to nie była twarz!— ta głowa była raczej glinianą nierówną bryłką, zawalaną błotem ogrodu; żółte, głęboko wpadnięte policzki, uwydatniające grube twarzowe kości, jak w czaszce szkieletu: maleńkie zaropiałe oczy, szarej, mętnej barwy, bez żadnego blasku, bez śladu iskry, coś od czego promień słońca odbijał się chyba bez wrażenia światła; miasto ust, rodzaj czarnej jamy, w której sterczały dwa przerywane rzędy długich żółtych zębów; śpiczasty nos i podbródek, oraz resztka rzadkich włosów na opalonej głowie, dopełniały całości tej fizyognomii, na której, zda się, nie było już żadnego rysu człowieczeństwa.

Obie ręce miał ubrane w skórzane rękawice, skrępowane mocno ze sobą, tak, że nie mógł niemi swobodnie poruszać; była to niezbędna ostrożność szpitalna ze względu na nałóg, nader częsty u obłąkanych. Szlafrok jego rozpiął się u szyi, ukazując brudne ciało; nieład ten pochodził ztąd, że tu właśnie ujął go dozorca i szarpiąc się z nim, pociągnął go, jak dzikie zwierzę. Pod wpływem niedawnej walki na brzegach czarnej ustnej jamy nieszczęśliwego ukazała się piana śliny.

I to był pan Olszewski, uczony autor i profesor, twórca głębokich i świetnych pomysłów, szlachetny człowiek, prawy obywatel, najzacniejszy mąż, rozumny i tkliwy ojciec mojej ukochanej! To był ten sam człowiek, którego portret podziwiałem, badając jego szlachetne i wyraziste rysy, podobne do rysów córki!

Smierć jest mniej nielitościwą: zabiera życie i nie pozostawia nic; obłąkanie zabiera człowieka, pozostawia zwierzę! Śmierć zmienia strasznie, ale pozwala zakryć twarz całunem; obłąkanie wystawia swoją ohydę na widok publiczny!

Biedny szaleniec stał, jak pień, przed nami, w tem miejscu, gdzie go ustawił dozorca. Michaś próbował do niego przemówić: „Czy mnie wuj poznaje?" Zadnej odpowiedzi. „Cedzia kazała wuja uściskać". Ani śladu wrażenia. Zaledwie bezmyślne, szare oczki, ociekłe zielonawą ropą, zabłądziły w stronę mówiącego.

Zbliżyłem się doń i ciężkim głosem zacząłem:

— Panie Olszewski...

Tu najniespodziewaniej w świecie waryat przemówił:

— A czy pan widziałeś moje obrazy?

Głos, który to wyrzekł, był jakgdyby stęchły; dźwięków raczej domyślać się można było, niż się je słyszało.

— Czytałem pańskie dzieła chemiczne...

To samo bezmyślne spojrzenie. Chory

chwieje się na nogach, jakby nie mogąc się utrzymać. Z ust jego wydostaje się nagle jakgdyby jakieś rżenie, w którym słyszysz, zda się, jęk strachu...

Oto i wszystko.

— Cóż z nim będzie? — spytałem siostry zakonnej, kiedyśmy wyszli z ogrodu na podwórze.

— Ha, jemu się już nie wiele należy. Pochodzi, poleży, aż ducha wyzionie. Myśmy tu już mieli kilku takich: umarli bez szmeru, nagle, nie wiedzieć jak i kiedy. On, zdaje się, za jakich dwa lub trzy tygodnie, może za jaki miesiąc, pójdzie za nimi... No, i będzie biedakowi lepiej...

— Lepiej, jak lepiej, nie będzie mu źle — wyrwało się Michasiowi.

Siostra Emilja szeptała modlitwy. Słyszałem, jak mówiła: „Bądź wola Twoja, Panie"... Podziękowaliśmy jej za grzeczność i rozstaliśmy się.

Stróż przez podwórze wyprowadził nas najkrótszą drogą za furtkę.

Ledwie zamknęła się za nami ciężka furta szpitalna, kiedy wesoły Michaś, z jakąś umyślną brawurą, pozując, widać, na człowieka, który nie ulega wrażeniom, począł błaznować, porównywając wątłą konstytucyę wuja do papierowych konstytucyj Niemiec i Austryi.

Nie słuchałem go, nie mówiłem nic... Nie byłem sobą. W piersiach czułem ostry, świdru-

jący ból. Krew silnie napływała mi do serca. W głowie mi się zawracało. Sufit domu obłąkanych, zda się, zawalił mi się na głowę; przywalony tym ciężarem, szedłem jak pijany, jakby powłócząc za sobą galernicze kule. W duchu pytałem siebie, czym nie waryat, czy idący obok i żartujący Michaś nie jest idyotą, jako i wszyscy ci ludzie naokoło... ci niby zdrowi!

Różnojęzyczny gwar, który szumiał naokół mnie, żywy ruch przechodniów, zmieszana masa odgłosów, barw i kształtów, wszystko to boleśnie targało mojemi nerwami. Ale najbardziej drażnił mnie w tej chwili świetny blask słońca, które z wyżyn lazuru akurat naprzeciw mnie posyłało swoje południowe złote promienie i bezczelnie rozkosznem światłem zalewało całą okolicę.

— Kiedyż nadejdzie owa wieczysta noc? — zapytałem mimowoli i zrozumiałem Lucyana poetę z domu obłąkanych.

V.

Rozdrażnienie moje rosło z każdą chwilą. Burzliwy potok czarnych myśli opanował moją duszę. Rad byłbym pozostać z niemi sam na sam i truć się niemi w milczeniu. Obecność

Michasia przeszkadzała mi; swoją pustą paplaniną, niemożliwością zrozumienia mnie, a nawet zdrowiem swoich nerwów irytował mnie.

— Czy istotnie ten okropny obraz nie zrobił na was żadnego wrażenia? — spytałem go.

— Żadnego, nie powiem... ale małe. Mnie w tem jedna rzecz tylko boli... Wuj mój zwaryował, zdaje się, dlatego, że stracił posadę. Ten cios wstrząsnął nim do głębi. Otóż gniewa mnie społeczna niesprawiedliwość... Ale to był chemik... on dla sprawy nicby nie zrobił. Inutilis est. To mnie pociesza.

Nie odrzekłem nic. Starałem się ukryć rozdrażnienie moje przed Michasiem, ale z drugiej strony nie taiłem się z tem, że wcale nie jestem usposobiony do rozmowy. Musiał to odczuć nareszcie, bo zamilkł także i tylko rzadko czynił głośne uwagi. Widocznie poczynał nawet już nudzić się w mojem towarzystwie, bo od czasu do czasu poziewał.

Tak włóczyliśmy się po ulicach, stawaliśmy przed gmachami, wchodziliśmy do otwartych kościołów. Miało to być „oglądanie nieznanego miasta". Być może, Michaś z oględzin tych wyniósł jakąś korzyść. Co się tyczy mnie, patrzyłem na wszystko oczymą automatu. Kiedy w parę miesięcy później, zapytywano mnie, co jest godnego widzenia w N., nie umiałem dać odpowiedzi: ciekawe gmachy zostawiły we mnie

wrażenie nagromadzonej masy kamienia; ulic nie pamiętałem zupełnie; plafony al fresco w kościołach, wychwalane przez znawców, odbiły się w mej wyobraźni, jako ściany, oblane gęsto czerwoną i niebieską farbą.

I nie dziw. Mózg mój, podczas tej wędrówki, obracał sią ciągle koło jednej osi: był nią tamten człowiek — nie człowiek, Olszewski. Zawalana błotem, wstrętna, maleńka twarz, o zaropiałych oczach, zajęła przemocą pole mojej siatkówki i nie dopuszczała innych wrażeń świata zewnętrznego. A w ustach moich drgały jeszcze urywki dziwacznych rozmów, które prowadziłem dzisiaj rano.

Jest pewien rodzaj ludzi, których myśl nie pozostaje nigdy w spokoju. Każdą rzeczywistą sytuacyę przerabia ona na tysiąc sposobów, rozwija do najfatalniejszych ostateczności. Na mocy kojarzenia kontrastów w komicznem dopatruje się tragedyi, w tragicznem dostrzega śmieszność; szlachetnemu nadaje pozór nikczemności, brudne podnosi na jasne wyżyny. Do tego rodzaju męczenników wyobraźni należałem właśnie ja. Myśl moja, wytrącona na nowo z równowagi, wznosiła się i opadała po stopniach przeróżnych udręczeń.

Szaleniec Olszewski wywołał w moim umyśle obraz waryatki Cezaryny. Widziałem już w wyobraźni wyraz obłąkania w przecudnych

czarnych oczach, widziałem bladą twarz, kurczącą się i chudnącą...

Podobieństwo Cezaryny do portretu ojca ułatwiało mi przedstawienie sobie takiej zmiany. A zmiany tej byłem już prawie pewny: prawa dziedziczności są nieubłagane! Zaczynałem już nawet dostrzegać początkowe symptomaty: melancholia Cezaryny, trwająca długie miesiące, i nagłe jej pozorne wyzdrowienie; jej wczorajszy podniecony, wesoły humor, przesadny strach w lesie podczas burzy, dziwaczne miłosne oświadczenie, rzucenie się w moje ramiona, naprzekór wstydowi dziewiczemu... Aptekarz miał słuszność... Widać już ludzie zaczynają mówić o tem, czego ja, ślepy, nie widziałem tak długo... Nieszczęśliwa! jest obłąkana... Niedostrzegalny proces choroby rozwijać się będzie dalej...

A ja... ja zakochałem się w waryatce...

Ale ja także zwaryuję!.. Niezadowolona miłość własna doprowadzi mnie do szaleństwa; nieustanna analiza własnych myśli i uczuć wyżre mój mózg... Dlaczego to ma być niemożebnem? Czyż granica między zdrowiem a chorobą daje się wyznaczyć?.. Czy trzeba jakiegoś wysiłku, jakiegoś wstrząsającego momentu, aby ją przekroczyć?.. A moje ciągłe zmiany humoru, a nerwowość moja, a brak równowagi charakteru, a prześladujące mnie dziwaczne obrazy, czyż to nie wystarcza?.. czyż to nie może rozwinąć się

w obłąkaniew.. Tę okropną ideę mam nie od dzisiaj... Pamiętam, jeszcze wówczas, kiedym był na cmentarzu na grobie tamtej.. sądziłem, że zwaryuję... Obawa taka powinna być dostateczną zasadą do zamknięcia człowieka w szpitalu...

Więc i ja tam dostanę się między tych ludzi? I ona także?

Kogo to ciągnie dozorca?.. Olszewskiego?.. Nie, to mnie on tak ciągnie. Głowa mnie boli... proszę go... on mnie wlecze, rwie tu, przy szyi... chce ciekawym ludziom pokazać... A Cezaryna wskazuje mnie palcem... śmieje się... czemu ona się śmieje!.? woła, że jestem „wyborny“...

— Waryatka! — wyrzekłem na głos.

— Kto taki? — zapytał mnie Michaś.

— Nie... nikt... przypomniał mi się ktoś... Ale mniejsza o to... panie Michale... kolego...

— Cóż takiego?

— Wybaczcie mi.. pójdę... zdaje mi się, że mam gorączkę... nie mogę tak chodzić i oglądać... niezdrów jestem... chciałbym gdzie usiąść...

— Wiecie co?.. Wejdźmy sobie do ogrodu... Ot, tutaj, przez tę bramę... tam usiądziemy, chociaż co do mnie, to wolałbym obejrzeć jeszcze trochę tych cudactw średniowiecznych, skazanych na zagładę. Ładne kościołki! Gdyby to wszystko pozmieniać na uniwersytety!

— Wiecie co, kolego?.. Ja nawet tak wolę... zostawcie mnie samego... Ten ból głowy prędzej przejdzie.

— Dobrze... dobrze... Za pół godziny zejdziemy się w restauracyi... Pan uważałeś, na końcu tej ulicy... naprzeciw tego ogromnego kościoła... Pokazywałem wam obok wystawę fotograficzną... Taki żółty dom z werendą,.. Obiad zjemy pod werendą...

— Dobrze, trafię... żegnajcie.

Nie wiem, jak przecisnąłem się przez tłumy publiczności, używającej niedzielnego spaceru po ogrodzie; wiem tylko, że znalazłem się wreszcie gdzieś, na jego krańcach, pod samym parkanem, w alei odwiedzanej bardzo mało, widocznie z powodu braku ławek w tem miejscu. Znajdowało się tutaj jedyne kamienne siedzenie, — gładko ociosana, podłużna bryła, wkopana w ziękmię. Nad nią nizko zwieszały się gałęzie dwóch kasztanów, rzucając łagodny cień, tem pożądańszy, że na całej długości alei piasek aż czerwienił się od mocno przygrzewającego słońca. W tem miejscu usiadłem.

Dopiero teraz, po bolesnem zgięciu kolan, poczułem, że prócz targających mnie moralnych wzruszeń, dolegało mi porządnie zmęczenie fizyczne. Wczorajszy dzień zeszedł mi na przechadzce po parku, po lesie, nad rzeką. W nocy nie spałem wcale. Dzisiaj od samego rana bez przerwy byłem na nogach.

Powieki ciążyły mi. Oparłem głowę o pień kasztanu i zamknąłem oczy. Po przez rzęsy mo-

je przedostawał się jeszcze blask słoneczny i widziałem przed sobą niby czerwoną łunę pożaru.

To zewnętrzne wrażenie, zdaje mi się, popchnęło rozpędową siłę moich marzeń na trop szalonej idei Lucyana.

— Kiedy zagaśnie słońce?.. Kiedyż ziemia, pokryta na nowo skorupą lodu, pusta, zimna, pozbawiona życia, obracać się będzie w dalszym ciągu naokoło czarnej kuli słońca?.. Trup naokoło trupa... Całe to życie igrające, śmiejące się, marzące o wiecznym rozwoju, z nieświadomością dziecięcia, dąży do tego kresu... Błogosławiony kres!... kres cierpień i kres złudzeń ludzkości... Rozpętałbym rozkładowe siły natury, przyspieszyłbym bieg ich działań...

— Ha!.. ha!.. ha!... ja przyspieszyłbym... Co mnie obchodzi ludzkość?.. Jak jaki filozof pragnąłbym z Nirwany zrobić prezent wszystkim, bo nie mam odwagi przyjąć tego prezentu w cząsteczce dla siebie.

Ba!.. raz chciałem się zabić... byłem gotów... zwlekałem jednak; a kiedy przeszła chwila napięcia boleści, nie miałem już odwagi .. Chwili takiej należy pilnować; „zschoppenhauryzowanie się“ do ostatniej kropelki krwi nie wystarcza. Człowiek jest takiem bydlęciem, że nie zabija się nigdy pod wpływem filozoficznego rachunku, dającego w sumie życiowej wartości zero. Nie pesymistyczny pogląd, ale fakt na tle jego, lub na-

wet bez tego tła, popycha człowieka do samobójstwa... Cegła, wypadająca z gmachu naszego szczęścia, trafia zabójczym ciosem w nasz instynkt samozachowawczy... Mnie wtedy, pamiętam, popychała ta nieszczęśliwa miłość, bez której, zdało się mi się, żyć nie będę mógł...

— O, jak bezwstydnie silnie przywiązani jesteśmy do życia! Jeszcze w ostatniej chwili stylizujemy list pożegnalny! Myślimy o tem, co o nas pomyślą żyjący. Przyjmujemy interesującą pozę na łożu śmierci...

— O, jak mi ciężko... jak mi ciężko teraz — wzdychałem, obejmując oburącz rozpaloną głowę. — Czuję, że nie jestem zdolny do szczęścia. Cezaryna dać mi go nie może. Cezaryna jest na progu tego okropnego domu... A ja może także... Teraz bardziej, niż kiedykolwiek... Doprawdy, wolałbym już raz siedzieć za temi murami, niż tak się męczyć.

— Co będzie, jak ja teraz do niej przyjadę?... Ja nie chcę szczęścia, nie chcę miłości, nie chcę nic!... Ona mi się rzuci w ramiona, ona mnie kocha... A ja, taki, jak teraz, mogęż odpowiedzieć jej uśmiechem?.. Z żałobą na twarzy stanę przed nią, słaby i marny, odarty z ostatnich listków wiary w życie... Stanę, jak nędzarz... Czy ona mnie pozna?.. Łudziłem ją wiarą, nawracałem do życia, olśniewałem widmami szczęścia. Ona pokochała we mnie człowieka silnego

i zdrowego, który ją uleczyć potrafił! Ona kocha nie mnie, ale innego... kocha tego, którego rolę wziąłem na siebie. Teraz do komedyi nie jestem już zdolny, teraz będę już sobą! Teraz ona mnie kochać nie będzie, odepchnie mnie, zlęknie się trucizny moich uczuć, fałszu mojego charakteru!

— Ale to nic... to nic... to mi wszystko jedno! Ja nie potrzebuję jej, ja jej także nie kocham. Oszukałem ją i oszukałem siebie. Okrutnie mści się na mnie komedya, którą odgrywałem tak długo... Deklamowałem przed nią, pozowałem; chwaliła mnie, słuchała i oto zakochała się w mojej deklamacyi i pozie. Podrażnienie próżności wziąłem za miłość... Czegom ja jej nie nagadał w lesie? Ale nie wyrzucam sobie tego wcale. Kiedy dziewczyna rzuca się w nasze ramiona, to zawsze gada się jej głupstwa. „Najdroższa moja! od pierwszej chwili zakochałem się w tobie! Kryłem tylko tę miłość przed tobą i przed sobą! O niczem innem nie myślałem dniem i nocą, tylko o tobie! Tyś była powietrzem mego życia!“ Ha! ha! ha! co za banialuki!... Wprawdzie podobała mi się od pierwszej chwili; no, bo jest ładna; gapiłem się w jej oczy... Bo są przecudne! Czułem nawet jakieś sercowe drżenie, kiedy powiedziała mi przedwczoraj „dobranoc“, ale daleko od tego do miłości! Nie myliłem się, wierząc, że nigdy już nie pokocham...

— Ale ona... ha! jeżeli ona mi wierzy, to znaczy, że ja ją nikczemnie oszukałem. Jeżeli

mnie kocha, to narażam ją na te cierpienia, jakie sam, będąc zawiedziony, czułem... Po cóż ją uleczyłem z melancholii?... aby ją wtrącić w nią na nowo, i może głębiej?!

— Lecz nie... ona mnie tak silnie nie kocha.. To natura egzaltowana, przesadzająca w słowach, jak ja... Jeżeli ja ją zwodziłem, czemużby ona nie miała mnie zwodzić... nienaumyślnie!. Znam się ja na wartości tego słowa „kocham", wychodzącego z ust młodej dziewczyny... Podobałem się jej i zaraz jej się zdawało, że żyć bezemnie nie może, że chwile, które ze mną spędza, są najszczęśliwszemi w jej życiu... I tamta tak samo mówiła... Z pewnością do żadnych oświadczeń nigdyby nie doszło, gdyby nie ta burza. Zlękła się piorunu, instynkt samozachowawczy przez nią przemówił, szukała ratunku w moich ramionach. I tutaj zaraz nastąpił ten wylew mniemanych uczuć: „mój kochany! mój najdroższy!"

— Wyborna komedya! Oszukujemy siebie nawzajem. „Mój obraz zawiesił się na tych przykrych obrazach, które dręczyły jej oczy!" To wyborne!.. Oboje mamy talent do deklamacyi. Moglibyśmy z powodzeniem grać rolę pierwszych kochanków... Ha! ha! ha...

— Ale w tem jest trochę płochości... Nie kochając, rzucać się ze strachu w moje ramiona!.. A ja nie zauważyłem u niej dotąd tej wady... Tak, to już właściwość mojego charakteru, że

zawsze idealizuję kobiety. Podobał mi się jej podniosły umysł! Nie wielki musi być, skoro ja potrafiłem jej zaimponować, Na seryo, uważa mnie za wielkiego człowieka, wierzy w moją przyszłość! Ha! ha! ha! kilkunastoma frazesami oszołomiłem ją...

— Lecz i głębokości uczuć w niej niema. Napróżno dopatrywałem się jej zawsze. Gdyby uczucia jej były głębsze, nie udałoby mi się z taką łatwością wyrwać jej z melancholii. Bo i cóż ja jej takiego powiedziałem? Wtedy, za pierwszym razem, w lesie, mówiła: „czarno!“ a ja odrzekłem: „nie, panienko, biało!“ i uwierzyła mi natychmiast!... „Biało! biało!“ — a jej ojciec znajdował się w szpitalu!.. Ha! ha! ha!..

Zawalana błotem, maleńka, gliniasta fizyognomia, o zaropiałych oczach i nierównych zębach, natarczywie nasunęła się mojej wyobraźni, przerzucając mnie ze śmiechu w przerażenie.

— Ja nie chcę widzieć tej twarzy"!... Ja chcę myśleć o czemś innem... Precz! precz!... Ta twarz mnie woła do szpitala!.. Widzę ją tak jasno... Co to jest?.. zaczynam miewać hullucynacye...

— Ja tego Olszewskiego chyba nigdy nie zapomnę... A ona, córka, zapomniała już... Kiedym wyjeżdżał do N., nie wspomniała o ojcu ani słowa, nie kazała mu rzec ani wyrazu, nie pomyślała o nim... A co? czy to nie jest płochość?

O takim ojcu zapomnieć! Jabym go opłakiwał całe życie!.. W jakim ona wczoraj była świetnym humorze!.. Jeżeli ona mnie nawet kocha, to kocha nerwami, a nie sercem. To istota chora, nie zdolna do zdrowych uczuć, tak samo, jak ja... Ona mnie zapomni... ona mnie gotowa pierwsza porzucić!.. O małobym drugi raz nie został wystrychnięty na błazna; ale nie! teraz ja nie dam się, ja teraz wszystko dobrze rozumiem! Ludzie to komedyanci!..

Zerwałem się z siedzenia i pełny jakiegoś gorzkiego zadowolenia skręciłem do głównej alei, gdzie począłem przechadzać się między tłumem. Ażeby oderwać się od swoich myśli, począłem studyować fizyognomie przechodniów. Wszystkie wydawały mi się niezmiernie głupiemi. Starzy zamiast fizyognomij mieli pomarszczone maski; matrony nadymały się idyotyczną powagą; dziewczęta wyciągały gąskowate twarzyczki, osadzone na gęsich szyjach; ograniczoność, zadowolenie ze siebie, wyglądały z liców mnóstwa spacerujących panów. A wszystko to przybrane było według ostatniej mody: obcisłe spodnie, żakietki, szlafrokowate palta, aksamitne zarzutki, śmieszne turniury, damskie kamizelki, strzelające piórami kapelusze... Toż samo wstrętne, utuczone mieszczaństwo co i w Warszawie.

I w tym tłumie, rzecz niepojęta, wydawało mi się co chwila, że dostrzegam słomkowy kape-

lusz i bladą twarz Cezaryny. Wiedziałem, że to głubie złudzenie, a jednak zawsze zmierzałem w kierunku tego kapelusza, jak gdyby pragnąc się namacalnie przekonać, że to nie Cezaryna. Byłem zły na siebie! Wyglądało to, jakgdybym jej szukał! Napróżno więc wbijałem sobie do głowy, że ona mnie nic nie obchodzi? Napróżno przekonywałem siebie, że jej nie kocham?..

— Moja głupia natura bierze górę—powiedziałem do siebie ze złością.

Nowa fala myśli przepłynęła mi przez głowę:

— Po co ta dziewczyna stanęła na mojej drodze?.. To ona, to ona winna jest wszystkiemu!.. Bywałem wprawdzie bardzo często rozdrażniony, ale nigdy w takim stopniu!.. Przyjechałem na wieś odpocząć, odetchnąć świeżem powietrzem, poprawić się na zdrowiu. Ja jestem chory człowiek.. A, ja tak liczyłem na te wakacye!.. Chciałem trochę czytać, trochę się uczyć; sądziłem, że dzięki książkom zbuduję sobie jaki jasny pogląd na świat. Potrzebowałem spokoju i ciszy. Byłbym chociaż na krótki czas szczęśliwy...

— A tutaj, zaprzągnięto mnie do leczenia tej dziewczyny z melancholii. Co mnie ona obchodziła?! Mało nieszczęśliwych na świecie?. Zresztą, egzaltowana, przesadzona... Przeszłoby to u niej naturalnym porządkiem...

— Zmuszono mnie grać komedyą!.. Już

to jedno wytrąciło mnie z równowagi... Potem to głupie ich towarzystwo: ci aptekarze, weterynarze... Ten Michaś — też miły egzemplarzyk!.. I nareszcie ten głupi romans, te oświadczyny ze strachu!.. Przez chwilę może durzyłem się i ja także...

— Nie, tego nie było jej dosyć... Po co mi było widzieć tego Olszewskiego?!.. Przez nią, przez nią, bo to jej ojciec, przyjechałem tutaj... Ta głupia kobieta, jej matka, także mnie tutaj posłała!.. Na co? po co?!.. żebym sobie nabił głowę tą szaloną ideą, że ja także zwaryuję. To ona, ta dziewczyna, zatruła mi życie... odebrała mi spokój, sen i apetyt.. Jeżeli zwaryuję — to jej będę mógł podziękować za to!..

Tak snułem w myśli łańcuch poczwarnych oskarżeń; spotwarzałem najszlachetniejszą istotę pod słońcem, istotę o najczulszem sercu. Dziwaczne moje rozumowania powstały na tle ogólnego zdenerwowania. Ostatnie wrażenia otworzyły tylko przez pewien czas kryjówki mego mózgu, z których natychmiast wydostał się szereg mar i napełnił moją głowę. A jeżeli tym razem taniec ich był bardziej szalony i dziki, dziwić się temu niepodobna. Sądzę, że i o wiele zdrowsze nerwy nie potrafiłyby wytrzymać spokojnie tego nawału wrażeń i wstrząśnień, jakie w ostatnich dniach stały się moim udziałem.

Nowa, niespodziewana miłość; fałszywa

z konieczności, acz w szlachetnym celu podjęta, lecz nie mniej przeto uciążliwa rola przed ukochaną; kontrast pomiędzy niewiarą we własne siły a wiarą w nas osoby nam drogiej; oględziny domu obłąkanych, po nieprzespanej nocy, po raz pierwszy w życiu, i spotkanie w tym domu zbydlęconego geniusza, zepchniętego w otchłań nędzy, który przytem jest ojcem umiłowanej przez nas istoty, to zbyt przygniatający balast i dla zdrowszej duszy.

Cóż dopiero dla mnie?! Wprawdzie w Niemirówce początkowo byłem spokojny i stosunkowo normalny. Bywałem nawet w wybornym humorze. Świeże powietrze, czary wsi, towarzystwo Cezaryny, tryumf mojej metody psychicznej, zaradzające się uczucie, wszystko to oddziaływało na mnie doskonale. Ale w tem rzecz właśnie, że z chwilą, gdy to dobre usposobienie dosięgało u mnie kulminacyjnego punktu, natychmiast poczynałem się wyczerpywać. Moje nerwy nie znosiły zarówno nadmiernej radości, jak i nadmiernego bólu, a ja tymczasem ciągle wpadałem z jednej z tych ostateczności w drugą. Był to rodzaj peryodycznej febry ducha.

Teraz właśnie znajdowałem się pod wpływem nadmiernego bólu: odpychałem szczęście, odtrącałem miłość, deptałem przyszłość. A że skutkiem tego doszedłem do oskarżania Cezaryny, to już było wynikiem mojego egoizmu, egoizmu

natury słabej i zdenerwowanej. Był to egoizm naturalny w człowieku, który od ludzi z umysłu stronił, potępiając ich ryczałtowo i bezwzględnie, który, raz natrafiwszy na fałszywego przyjaciela, strzegł się wszelkich węzłów sympatyi, raz zraniony przez młodą, płochą dziewczynę, zesceptyczniał, zwątpił o kobietach wogóle; który w ogromnem mieście żył sam, zapomniany przez krewnych i nie troszczący się o nich, nie tęskniąc bynajmniej za starą matką, która jedyna kochała go prawdziwie; a człowiek ten utrzymywał się z twardego i gorzkiego chleba korepetycyj, zawsze męczących, po największej części tanich, a częstokroć nawet nie dających szacunku należnego pracy; dławił się tym niesycącym chlebem, podczas gdy widział kolegów, opływających w dostatki; zajęty bieganiem po mieście, z jednego krańca na drugi, z lekcyi na lekcyę, śród błota i chłodu, okradał się ze snu, ażeby uczyć się medycyny, w którą, niestety! nie nauczył się wierzyć; sposobił się do zawodu medycznego, do którego nie czuł najmniejszego zamiłowania; którego nawet obawiał się z powodu swojej nerwowości, mogącej uniemożliwić surową praktykę tego zawodu. Położenie takie wobec drobnych zadatków innego talentu, talentu poetyckiego, budzi zazwyczaj myśl, że się jest istotą wyższą, wykolejoną przez życie... A zatem łatwo już rozwija się egoistyczne zasklepienie się ślimaka w skorupie swojego „ja”..

Tyle na moją obronę...

Moje serce nie mogło znieść okropnego bólu, który opanowywał mnie od owego dnia, i egoizm mój zwalał winę na innych, na Cezarynę!

Ale oto wyczerpał się cały zapas zarzutów przeciwko niej; Cezaryna poczęła mi się znowu zjawiać w dawnej swojej postaci.

Już i przedtem czułem, że się okłamuję; już i przedtem bolałem nad sobą, że ją tak czernię i oskarżam. Nie! ona taką nie jest, taką być nie może! To ja, nikczemny egoista, gwałtem staram się taką ją sobie wyobrazić!

Myśl moja znała teraz dwie Cezaryny; jednę, uleczoną mocą miłości, dyszącą zdrowiem; drugą, zdenerwowaną, kapryśną, przez strach histeryczny padającą w moje ramiona; pierwszą, umiejącą kochać tak głęboko, że nowe uczucie potrafiło w niej zagłuszyć najgłębszy ból jej życia rozpacz po stracie opiekuna—ojca; drugą, płochą, zmienną, zapominającą o ojcu w takiej chwili, gdy go pamiętać była powinna, sklonną zapomnieć jednakowo wszystkich...

A i ja dwoiłem się we własnej świadomości: byłem szlachetnym „lekarzem" nieszczęśliwej dziewczyny i deklamatorem-komedyantem; byłem ambitnym głupcem, na wyznanie miłości biernie odpowiadającym fałszywem oświadczeniem, i głęboko zakochanym, głęboko nieszczęśliwym człowiekiem...

Teraz już żadną miarą nie umiałem rozeznać, gdzie jest fałsz, a gdzie prawda; nie potrafiłem rozróżnić obojętności od miłości. Anatomiczna analiza własnych uczuć i myśli zrobiła swoje! Czułem w sobie rozłamanie duszy, która pękła na dwoje i której połówki walczyły teraz ze sobą.

Machinalnie wyszedłem z ogrodu, znalazłszy się, nie wiem jakim sposobem, przed jedną z furtek i zacząłem śpiesznie iść ulicą, jakgdyby mnie ktoś gonił. Pamiętam, że chwilami zapominałem się, że naokoło mnie snują się tłumy, i chwytałem się za włosy...

Przypomniałem sobie wreszcie, że miałem zejść się z Michasiem w restauracyi i udałem się za wskazanym mi przez niego adresem.

Michaś spotkał mnie zdziwionym wzrokiem. Od półgodziny już czekał na mnie, przeglądając gazety. Jeszcze bardziej zadziwił się, gdy na zapytanie kelnera, czem może służyć, odrzekłem, aby drugiego obiadu nie podawał. Na mojej twarzy odbić się musiała walka wewnętrzna.

— Panu coś jest?—rzekł.

— Nic... tylko apetytu nie mam.

— Pan taki blady.

— Jestem niewyspany... to wszystko...

— Panie... Że też ja jeszcze nie mogę przyzwyczaić się mówić wam: „kolego"... Uważacie, kolego... co to ja chciałem powiedzieć?.. Aha!.. o siódmej wracamy...

— Wiem o tem... Jeszcze dwie godziny czasu mamy...

— Cóż będziecie robili do tego czasu? Ja bo zrobiłem tutaj znajomość... z bardzo porządną facetką. Zaznajomię was...

— Poczekam na was tutaj... Będę czytał gazety — odrzekłem sucho.

VI.

Zaledwie umieściliśmy się w wagonie, kiedy drzwiczki naszego przedziału ktoś mocnem szarpnięciem odsunął i jakiś jegomość o znajomej mi, pełnej twarzy, młody, łysy, z rudemi baczkami, w angielskim długim paltocie, stanął przedemną, wyciągając do mnie serdecznie rękę. Nie przypominałem sobie jednak, gdziem go widział i z kim miałem do czynienia. Podałem mu dwa palce.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się, rozsiadając się naprzeciw mnie, po uprzedniem umieszczeniu swej torby podróżnej — nie poznaje mnie pan? No, nie dziw, było wtedy ciemno. A jednak ja pana poznałem. Byłem wtedy troszeczkę pijany,

ale to nic... miłe towarzystwo zapamiętuje się zawsze. Szukam miejsca, wtem patrzę w okno tego wagonu, a tu widzę pana! Pysznie się zdarzyło! Znowu jesteśmy razem ..

Łatwo odgadnąć, jak bardzo byłem nierad z tego spotkania. W obecnem mojem usposobieniu sama obecność czyjakolwiek, nawet Michasia, drażniła mnie niewymownie. A tu jakgdyby złośliwy los narzucał mi znowu wczorajszego towarzysza podróży, który przystąpił natychmiast do torturowania mnie swoją paplaniną. A przecie byłem tak bierny, że słuchałem go i nie kazałem mu milczeć.

— No, widzisz pan — zaczął, klepiąc mnie po kolanach — nie powiedziałem panu, że waryaci... Mówię o moim niedoszłym teściu i teściowej — objaśnił Michasiowi, którego także wziął za swego powiernika — wracam... bez ślubu... Gęsi nie mam... nie dali... Nie uwierzysz pan, żeby w XIX wieku mogło się coś podobnego zdarzyć. A, jak Boga kocham, nie łżę... przecie wracam. Zajechałem do hotelu, żeby się ubrać na ślub... U teścia niema porządnego miejsca, zresztą wszystko druchny zajęły... Hotel francuzki... znasz pan?.. pierwszorzędny... ja w innych nie staję... Prawda, że na ślub mogłem się troszeczkę spóźnić... no, ale mogli poczekać... A tu panie, ten idyota, teść mój, z jakimś drużbą przyjeżdżają po mnie... Pojmujecie to, panowie,

wybornie, że po paru kieliszeczkach wódki, wylanych w bufecie, chciało mi się spać. Budzą, budzą, nie mogą się dobudzić... a tam jeszcze jakiś fartuszek leżał... I ten bałwan lokaj także ma język. Dałem mu potem w pysk, a później trzy ruble... słowo honoru... Ale panowie rozumiecie, że z tym teściem to był skandal i że mnie o mało nie zrzucono ze schodów, kiedy tam później przyszedłem... Jeszcze mnie coś w ramieniu świerzbi... No, co panowie do tego?

Słuchałem go, patrząc nań surowem okiem; Michaś śmiał się na całe gardło.

— Chcą mnie opisać w kuryerku... Owszem, ja bym sam posłał artykuł, bo oni to, panie, spaskudzą .. a wypadeczek ciekawy... Oni myślą, że ja sobie coś z tego robię...

I śmiał się na cały głos ze swego dowcipu, klepiąc mnie i Michasia po kolanach. Mówił prawie ciągle sam; ja mu nie przerywałem; Michaś rzadko wtrącił jakieś słówko.

— Jednakże to przykra rzecz... Matka nudzi, abym jej przywiózł synowę... Sparaliżowana stara, chce widać opieki... Ja, panie, jestem świnia, ale jestem dobry syn. Zkąd ja jej synowę wygrzebię?.. Nie mogę przywieźć tej herbowej gęsi, której tak jej się chciało; radbym przywieźć inną.., Pan z Niemirówki?.. co? Nie masz pan tam czego dla mnie, jakiej znajomej?

Na to słowo „znajomej" drgnąłem. Mimowoli zestawiłem tego samca z czystą, idealną Ce-

zaryną. Skrzywiłem się i starałem się tę myśl odpędzić...

— Czego pan się krzywisz?.. He, he, he, masz pan kogoś... nie chcesz mi dać... Sam pan chcesz?... Mój panie, po co to panu się żenić?.. Do tego trzeba być zdrowym. A pan?.. Ja, broń Boże, nie mam nic przeciwko pańskiej fizyognomii... Owszem, owszem, w takich kobiety gustują: twarz trochę blada, oczy błyszczą, zarost ładny... wcale ładny... szczególnie te wąsiki... Ale cóż z tego, kiedy pan wcale nie masz ciała? No, patrz pan, jaki pan jesteś chudy... No, co to jest?! ciało?!.. To pierze, a nie muskuły...

— Zostaw pan moje ręce w spokoju!—krzyknąłem gniewnie...

— Ha, ha, ha, czy pan nie jesteś przebraną kobietą?

— Ten pan trochę nerwowy — rzekł Michaś, pół drwiąco broniąc mnie. — Ale przyjrzyj się pan moim muskułom... Co? czy nie tęgie? Trzeci rok gimnastykuję się... Widzisz pan, jeszcze lepsze, niż pańskie.

I poczęli porównywać swoje muskuły, zestawiając ręce, obnażone przez zawinięcie rękawów.

Ta scena drażniła mnie... Słowa tego „idyoty” że nie powinienem się żenić, działały na mnie z wielką siłą. Wobec tych dwóch zdrowych ludzi, wstydziłem się mojej słabej kompleksyi. Mi-

chasiowe „trochę nerwowy" przypomniało mi, jak Cezaryna przed paru dniami rzekła do mnie: „pan—nerwowy, to źle; pan - doktór... pan—mężczyzna"... Związek pomiędzy dwojgiem nerwowych ludzi, pomiędzy mną a Cezaryną, zarysował się w mojej wyobraźni w formie dwóch chorób, skutych jednym łańcuchem nieszczęścia.

Ażeby nie myśleć o tem, począłem się przysłuchiwać rozmowie Michasia z naszym towarzyszem podróży. Zeszli się doskonale na jednym punkcie. Byli gorącymi zwolennikami „związków wolnej miłości".

Niedoszły nowożeniec, słabszy w teoryi od Michasia, w praktyce okazał się nierównie silniejszym. Na tle poruszonego tematu począł rozwijać cały szereg anegdot pornograficznych, za których bohatera w większości przypadków przedstawiał siebie samego. Okazał przytem bogatą fantazyę i niezwykłą umiejętność zajmującego opowiadania drastycznych szczegółów.

Jakkolwiek ze wstrętem słuchałem tych anegdot, jednakże... podrażniały mnie one zmysłowo! Czułem to po burzeniu się krwi, po pracy mojej fantazyi, rozwijającej jaskrawe szczegóły opowiadania. Zepsucie, o które nieraz, i to nader blizko, otarłem się w wielkiem mieście, pozostawiło we mnie liczne ślady. I oto teraz, świadomość tego zepsucia w rozgorączkowanej mojej wyobraźni przybrała przesadne rozmiary.

Brzydziłem się sobą. Ja, który nieraz tarzałem się w błocie, zatracając w sobie instynkt moralny i estetyczne poczucie, miałżem prawo sięgać po tę niewinną, nieświadomą zepsucia lilię?! Rozdrażnienie moje dochodziło kulminacyjnego punktu.

Słuchać wstrętnych anegdot i równocześnie myśleć o Cezarynie, rozpalać się opowiadaniem i jednocześnie brzydzić się sobą — było to taką męką, której znieść długo niepodobna. Wstałem w milczeniu, aby wyjść na platformę pociągu i odświeżyć się; czułem, że samo powietrze wagonu, gęsto przesycone dymem papierosów, (obadwaj palili), potęguje moje rozdrażnienie; głowa mi ciążyła.

— Dokąd to pan? — spytał natrętny gaduła— siedźże no pan jeszcze; opowiem panu znakomitą anegdotę... tłustą... tłustą... Jeszcze pan jej nie znasz...

— Znam wszystkie — odrzekłem sucho.

— Tej pan nie możesz znać... najnowsza...

— A idźże pan do dyabła ze swemi anegdotami — zawołałem, nie mogąc pohamować rozdrażnienia i śpiesznie wyszedłem.

Wybuch wesołego śmiechu, któremu zawtórował Michaś, pogonił za mną.

Na platformie stałem jakie trzy godziny. Bezmyślnym wzrokiem powłóczyłem po polach i lasach, któte uciekały z przed moich oczu

w stronę przeciwną biegowi pociągu. Po południu pogoda zmieniła się, pruszył drobny kapuśniaczek. Niebo było szare i posępne. Mrok wieczorny szerzył się wcześniej, niż zwykle. Wkrótce poczęły widnieć zygzakowate linie, utworzone przez iskry, wydobywające się z komina lokomotywy; krzyżowały się one, formowały deszcz złotych kłosów, padający ukośnie, z szaloną szybkością uciekający z przed moich oczu.

Oparłszy głowę o zewnętrzną ścianę wagonu, trzymając się łańcuszka, założonego dla bezpieczeństwa, zmęczonym wzrokiem śledziłem bieg tych ognistych linij. Byłem niesłychanie znużony; około trzydziestu sześciu godzin nie spałem; tego dnia nic prawie nie wziąłem do ust.

A jednak głowa moja pracowała. Wszystkie myśli które wysnułem dzisiaj, w ciągu całego dnia, powracały teraz. Ale nie było tam już tego gorączkowego chaosu; przeciwnie następowały one w jakimś straszliwym porządku. Zda się osadzone były na walcu, który obracał się w moim mózgu, i na przesuwającem się polu mej świadomości na nowo odciskał ślady. Ale był to obrót leniwy, powolny; przyśpieszyć go, ani zatrzymać nie mogłem.

Lecz stosunek mój do tych myśli był teraz wcale inny.

Pomiędzy mną a Cezaryną jest przepaść, to

dobrze. Cezaryna nie może mnie kochać takiego, jakim jestem w rzeczywistości, niech mnie nie kocha. Zostanę znowu samotny — owszem, nie potrzebuję nikogo. Zwodziłem ją, grałem przed nią komedyę — czemuż się na niej nie poznała? Jestem zerem, jestem niczem, jestem słabym i marnym człowiekiem — będę takim i nadal; nie warto być „czemś"; chciałbym być podobny do tego idyoty-samca, który jedzie z nami; to rozumny człowiek, który wie, jak żyć należy: z niczego sobie nic nie robi; przejmę od niego poglądy i sposoby postępowania!

Przechodziłem przez proces twardnienia, tężenia serca. Głuchy ból mój zapadał na dno duszy; przywalałem je kamienną płytą obojętności i nawet okrucieństwa.

— Będę szydził z ludzi... Nie zasługują oni na nic więcej, prócz drwinek... Nie otworzę im nigdy swego serca, odwrócę się, gdy mi zechcą otworzyć swoje. Tak, bo to nic innego nie jest, jak wzajemne okłamywanie siebie!.. Będę milczał; za wiele gadałem z ludźmi... Ostatniemi czasy obrzydliwie rozpalałem się przed tą dziewczyną. Tak mi potrzebna była rozmowa z nią. Ha! ha! ha!.. Teraz już wszystko mi jedno, kiedy zobaczę tę „psychopatkę!"

Z zadowoleniem począłem powtarzać te wyrazy: „Wszystko mi jedno! wszystko mi jedno".

Ha, jakżeż głupi byłem, wierząc sobie. Mnie

było wszystko jedno?! A czemu tak drażniła mnie myśl, że do Niemirówki jeszcze tak daleko? Czemu liczyłem stacye? Dlaczego wydawało mi się, że pociąg wlecze się żółwim krokiem, kiedy dłuższe zygzaki iskier, szybciej uciekające, ogromy obłok dymu, unoszący się nad nami, oraz urywane stękanie kół, wskazywały, że pędzimy całą siły pary.

Pragnąłem ją zobaczyć już... już... jak najprędzej, a czułem, że przy tem spotkaniu rozdrażnienie moje wybuchnie.

VII.

Szliśmy przez podwórze cicho, ażeby nikogo nie obudzić. Było już bowiem blizko do północy. Pani Olszewska jednak nie spała jeszcze. Na turkot bryczki wyszła przed sień domu i zawołała nas. Weszliśmy do saloniku, w którym paliła się świeca. Zarzuciła nas mnóstwem pytań. Powiedziałem jej krótko, że mąż jej ma się gorzej, że pewnie wkrótce skończy, ale że to i lepiej dla niego. Pokiwała smutnie głową, spodziewała się tego; tak, to będzie lepiej, gdy go Bóg powoła do siebie. Prosiła mnie, abym poszedł do ogrodu.

— Cezarynka przechadza się tam, czeka na pana. Może jest w tej drugiej altanie na końcu ogrodu... Biedne dziecko! nie przestrasz jej pan... powiedz jej straszną nowinę delikatnie, jak to pan potrafisz... A ty, Michasiu, zostań przy mnie... powiedz mi, więc on tak źle wygląda?.. Mój Boże! on był taki piękny...

Poszedłem. Mam jej mówić delikatnie? — myślałem — nie mam zamiaru nic obwijać w bawełnę. Prawdzie trzeba zajrzeć w oczy...

Jakiś cień podłużny odznaczał się w altanie na ławce; pochmurna noc nie pozwalała dobrze dojrzeć Cezaryny; twarz tylko zlekka bieliła się w mroku. Kiedym wszedł do altany, cień powstał i drżący głos przemówił:

— Byłeś pan tam?.. Przynosisz dobrą wiadomość o ojcu?.. Mów pan, zaklinam...

Wydało mi się, że jak na kobietę, która kocha, przywitała mnie zbyt zimno. Mówiła mi „pan". Powinna była wyciągnąć do mnie obie ręce, uścisnąć mnie, przemknęło mi przez głowę. Zatracałem zdolność logicznego rozumowania. Jak nie pojmowałem poprzednio, że pochłonięta nowem uczuciem, w parę chwil po wyznaniu miłości, zapomniała pozornie o ojcu, zajęta jedynie myślą o mnie, tak obecnie nie byłem zdolny zrozumieć, że znajdowała się teraz pod wpływem całodziennego oczekiwania, że jakkolwiek gorąco mogła mnie kochać, pierwsza myśl jej powinna

była należeć teraz do ojca, o którym miałem jej przywieźć tak dawno pożądaną wiadomość. Zresztą inicyatywa serdecznego powitania, wobec tak świeżo zawiązanego stosunku, powinna była wyjść w każdym razie odemnie, jako od mężczyzny. Ona nie umiała jeszcze mówić do mnie „Jerzy"; przyzwyczajoną była mówić „pan".

A jednak, gdyby odgadnąwszy, co się we mnie dzieje, rzuciła się w moje ramiona, być może, cała twardość uczuć moich stopniałaby we łzach; padłbym przed nią na kolana i powiedziałbym jej, jak nieszczęśliwym się czuję.

Zresztą, nie wiem. Nie stało się tak; nie mogę więc twierdzić napewno, cobym wówczas uczynił. Dusza ludzka to dziwaczny samogrający instrument o najnielogiczniej dobranych tonach; śród ciszy cmentarnej brzmi on nagle dźwiękami kankana, ponurym marszem żałobnym rozdźwięka śród uciech biesiadnych. Niema dlań niemożliwych akordów; najniezgodniejsze tony najczęściej łączy i stwarza z nich dzikie melodye. Uczonym zdaje się, że poznają prawa, rządzące duszą, kiedy chwytają jedynie krótsze lub dłuższe cienie tych praw... Być może tedy, że gdyby przywitała się ze mną serdecznie, wziąłbym to za egzaltacyę, obwiniałbym ją, że zapomina o ojcu, o którym ja jakoby lepiej pamiętam.

Dość, że byłem niekontent z jej powitania i odrzekłem głucho, dziwacznie:

— Tak jest, przynoszę dobrą wiadomość...

— Co?!... A, więc jemu jest lepiej?...

— Będzie mu lepiej... umrze...

Powaliła się na ławkę.

Dodałem surowo:

— Niema co załamywać ręce... Sama pani mówiłaś, że lepiej jest, gdy waryat nie żyje...

— Tak, ja to mówiłam — szeptała — ale zawsze... pan... nie powinieneś był tego nazywać dobrą wiadomością... Przecież ja go kocham!...

— Nazywam rzeczy po imieniu...

— Ah, tak okrutnie... A ja dzisiaj cały dzień marzyłam, że pan mi przywieziesz iskierkę nadziei...

— Iskierek nadziei nie krzesze się z kamieni przydrożnych...

Widziałem, jak białe ręce odjęła od twarzy. Widocznie utkwiła we mnie oczy w ciemności, chcąc coś wyczytać z moich rysów. Lecz mrok był zbyt gęsty.

— Jak pan dziś dziwnie mówisz, panie Jerzy...

— Dziwnie?.. Tak się pani wydaje... Kiedy świat jest pełen szaleńców i komedyantów, kiedy nikt nie wie, czego chce, kiedy rozmaite głupstwa rwą nasze nerwy... to... to... to nie jest dziwne!

— Jerzy!.. Jerzy!.. jakim ty suchym głosem

to powiadasz... Czy ty wiesz, co ty mówisz? Ty tak nigdy nie mówiłeś!..

— Nigdy?.. To teraz mówię tak... Dawniej kłamałem wszystko... wszystko...

— Nie, to nieprawda! — zawołała chwytając mnie za rękę — to tylko teraz tak dziwacznie żartujesz...

— Ha, ha, ha, żartuję... To cały świat żartuje z nas... Życie żartuje ze śmierci, a śmierć z życia...

— Jerzy, ty tak nie powinieneś mówić — rzekła, wstrząsając gwałtownie moją ręką — ty zawsze mówiłeś z wiarą w życie, w przyszłość... Ja miałam od ciebie tę wiarę ..

— No, to zachowaj ją sobie pani... daruję ci całą... Ja bo jej nie mam...

— Nie powinieneś, nie powinieneś tak mówić...

— Nie powinienem?!.. A kto mi zabroni?.. Czy ja z panią zrobiłem kontrakt, że będę mówił zawsze z wiarą, z miłością i z nadzieją... Co?...

Mnie samego bolały te słowa, ale jakaś złośliwa moc wypychała mi je z gardła.

Drażniąc ją i siebie, doznawałem jakiejś gorzkiej ulgi. Puściła moją rękę. Po chwili przemówiła głucho:

— Ty mnie nie kochasz, Jerzy... Jak się kocha, to się tak nie mówi... Po co mi było

opowiadać o miłości, której pan nie czułeś... A ja panu wierzyłam...

— Nie trzeba bylo rzucać mi się na szyję!..

Ledwie powiedziałem te straszne słowa, chciałem je cofnąć, ale ona przeszkodziła temu.

Odstąpiła odemnie i głosem ochrypłym, zmienionym, tonem stanowczym, jakiego nigdy dotąd u niej nie słyszałem, rzekła do mnie:

— Panie Jerzy, proszę stąd wyjść i zostawić mnie samą!

Krew uderzyła mi do twarzy, poczułem żar rumieńców. Wyrzucała mnie!

Nie odpowiedziałem nic. Odwróciłem się chłodno i siląc się na szyderczy śmiech, wyszedłem... Sądziłem teraz, że słuszność jest za mną. Dobrze, żem raz zakończył ten głupi romans z tą „psychopatką". Nie potrzeba mi jej. Ja sam wystarczę sobie...

Ale noc, ta noc, pokazała mi wcale coś innego.

Długie bezsenne godziny leżałem na mojem łożu, w odzieniu, z okiem suchem, wlepionem w sufit, lub w fosforyczne oczy portretu. Kułakami biłem się po czole, nazywałem się nikczemnikiem, pozbawionym ludzkich uczuć.

Całą winę zwalałem teraz na siebie. To była istota wzniosła, szlachetna. Obraziłem ją śmiertelnie. Jak do niej teraz przystąpię?.. czy ona

18

da się przebłagać?.. Jeżeli mnie odepchnie, to ja tego nie przeżyję, zabiję się, zabiję z pewnością!...

Gorączkowo czekałem świtu.

VIII.

Była to już tedy druga noc bezsenna. Utrzymywałem się na nogach cudem jakimś, dzięki wewnętrznej gorączce...

Wczesnym rankiem pobiegłem do parku i obchodziłem po setki razy jego aleje; czasem, jak wilk, kręciłem się na jednem miejscu, parę kroków robiąc w jedną, potem parę kroków w drugą stronę; ręce skrzyżowałem na piersiach.

Myślałem ciągle o tem, jak ja tam pójdę, jak ją przeproszę, i czy mi ona przebaczy. Przygotowywałem już całą mowę przepraszającą i gęsto szpikowałem ją frazesami. Wstydziłem się tego, złościłem się na siebie, nazywałem się komedyantem, ale mózg mój snuł dalej frazesy. Miałem jej powiedzieć, że oddałbym na spalenie te cząsteczki mózgu, w których zrodziły się wczo-

rajsze myśli, że moje nerwy pokłóciły się z sercem, że w głowie mojej był szpital obłąkanych...

Tak snując te frazesy i wydrwiwając ich napuszoność, łaziłem po jakiejś górnej ścieżce parku, gdy wtem około godziny dziewiątej...

Tak, to była ona. Nie wierzyłem swoim oczom, ale one nie omyliły mnie... Ona szła tam dolną ścieżką, z opuszczoną głową, w czarnej sukience, parasolką machinalnie zlekka wywijając w powietrzu. W jej chodzie było jakieś opuszczenie się, rozpacz. Kibić wydawała się złamaną, postać — zgiętą ku ziemi...

Opanował mnie niezmierny żal. Wtem przystanęła, oparła rękę o pień drzewa, stojącego przy ścieżce, na ręce złożyła głowę i opuściła ją ku ziemi. Zdawało mi się, że tłumione łkanie wstrząsa nią...

Na ten widok, z górnej ścieżki po spadzistem zielonem wzgórzu zbiegłem na dół. Stanąłem przed nią i, złożywszy ręce, jak do modlitwy, rzekłem błagalnie:

— Pani, wysłuchaj mnie...

— Zostaw mnie pan samą — odpowiedziała słabym głosem, połykając łzy; powieki jej były różowe; snać w nocy nie spała, musiała wiele płakać.

— Nie, ja cię nie puszczę, ty wysłuchasz mnie, Cezaryno, ty mi przebaczysz, ty mi nie możesz nie przebaczyć...

Tu począłem jej opowiadać, jakie męczarnie przechodziłem wczorajszego dnia, jak straszną walkę toczyły moje myśli, pod jak fatalnemi pozostawałem wrażeniami, jak ból znużył mnie okrutnie...

Mówiłem naturalnie inaczej, niż to ułożyłem sobie. Czasem tylko mimowoli jakiś z przygotowanych frazesów, który bardziej uczepił się mego mózgu, wypływał na me usta...

— Nie wiem, czy ty mnie rozumiesz, Cezaryno. Ty masz charakter prosty, acz wielki. Mój jest niesłychanie złożony. Charaktery proste nigdy nie potrafią zrozumieć w całej rozciągłości charakterów złożonych; zawsze widzą w nich tylko jednę stronę. Zresztą bywają między niemi trudniejsze i łatwiejsze do pojęcia. Dawniej bywały także charaktery złożone, ale składały się one najwyżej z dwóch rozmaitych istot. Dzisiaj... nie wiem; to chyba nastała taka fatalna epoka... dzisiejsi zagadkowi ludzie składają się nie z dwóch, lecz z całego dziesiątka innych... Masz mnie, spójrz: jam człowiek, ulepiony z błota i z tęczy, najpodlejszy filister o najwznioślejszych uczuciach, istota wyższa, nizka i mierna zarazem, okrutnik, który boleje nad każdem cierpieniem, zadanem przez się innym, egoista i mizantrop, pragnący nieba ludziom przychylić, najpoważniejszy pustak, melancholijnie usposobiony błazen, człowiek rozsądny, podlegający wpływowi najmi-

zerniejszych głupców, i głupiec, wydrwiwający dowcipnie ludzi rozumnych...

Zresztą, alboż ja wiem, czem jà jestem? Chorągiewką obracającą się za najlżejszym podmuchem wiatru, lusterkiem, odbijającem w sobie wszystko! Nikt mnie nie zna lepiej nademnie, a jednak dla siebie samego jestem zawsze zagadką. W tym chaosie najsprzeczniejszych popędów, miotających moją istotą, nie potrafię uchwycić i odróżnić podstawowego tonu, i to jest moją męczarnią. Jestem wielkiem niczem!..

Tak broniłem się przed nią i obwiniałem się zarazem. Nazywałem się nędznym, małym, godnym kopnięcia nogą. Oskarżałem się, żem śmiał zapomnieć o tem uczuciu dziwnej błogości, jakie jej zawdzięczałem, że przypisywałem jej fatalne moje rozdrażnienie dni ostatnich. Ale nie powinno ją to dziwić... Ta komedya wiary w życie, którą jednak grałem z całą szczerością, nie rozumiem sam jakim sposobem, wstrząsnęła mną. Obawiałem się, że teraz utracę jej miłość, i w zaślepieniu rozpaczy nad tą stratą, posądziłem i ją o komedyę.

Wmówiłem w siebie, że nie czuję nic; analiza uczuć własnych wywiodła mnie w pole; miłość, którą poddajemy sekcyi, wydaje się trupem. Ale teraz wiem, widzę, czuję, jak ją kocham! Jeżeli mam jeszcze żyć, to tylko dla niej i przez nią. Przebaczenie jej, najwyższa łaska odrodzi mnie,

ułaskawienie odradza skazanego na śmierć zbrodniarza. Uwierzę w życie, w świat, we wszystko, co dobre i piękne, bo ona mi będzie ideałem!..

Mówiłem to prędko, namiętnie, w końcu mowy błagalnie przykląkłszy przed nią. Po kurczeniu się rysów jej twarzy, po jej stopniowem blednięciu, poznawałem, że wewnątrz, w jej duszy, zachodziły silne przewroty. Nie wiedziałem jednak jakie.

Stała z głową spuszczoną, to znowu podnosiła ją i osłupiałym wzrokiem spoglądała w dal. Na mnie nie spojrzała ani razu.

Nagle rzekła z wielkim przestrachem:

— Wstań pan... idą...

Zerwałem się z kolan i obejrzałem się za siebie. Na zakręcie ścieżki ukazał się aptekarz, idący z żoną pod rękę. Nie ruszaliśmy się z miejsca, jakby umyślnie oczekując. Przeszli koło nas, uśmiechając się złośliwie; na lekkie skinienie głów odpowiadając nam nizkiemi ukłonami, pełnemi ironicznego szacunku. Aptekarzowa w przejściu rzuciła nam parę słów:

— Państwo tak wcześnie w parczku?.. To zdrowiuteńko... nieprawdaż?.. Ja z moim Józieczkiem także sam na sam... Nie przeszkadzamy... nie przeszkadzamy...

— Nie przeszkadzamy — zawtórował tubalnie aptekarz i pociągnął za sobą połowicę.

— Masz tobie!—rzekłem—teraz przezemnie wezmą panią na swe czarne języki...

— To i cóż — rzekła poważnie — przecież będziemy należeli do siebie!

— Pani!.. Cezaryno!.. Więc ty mi przebaczasz?!..

I z uniesieniem podniosłem jej rękę do ust.

— Jerzy — odpowiedziała — ty myślisz, że jabym ci mogła nie przebaczyć... Dla mnie także bez ciebie życia nie ma... Był ojciec... teraz ciebie mam... Tyś mi był drugim ojcem, dałeś mi nowe życie... Stracić i ciebie także?! Teraz pozostałoby mi tylko umrzeć... Uschłabym moralnie i fizycznie... Okropna apatya, której teraz, kiedy poznałam uczucie miłości, boję się stokroć więcej, wróciłaby; i jużby mnie z niej nie wyrwało nic!.. Ja o tem myślałam właśnie, chodząc po parku... przyszłam tutaj po to, aby o tem myśleć... Chciałam tu tylko trochę pochodzić w te alei; pamiętasz, tutaj mówiłeś mi o Fauście...

— Najdroższa, więc ty mnie tak kochasz, tak pamiętasz o mnie!... O, pozwól, pozwól całować mi tę drogą rękę...

Tysiącem pocałunków obsypywałem jej ręce, nie bacząc, że w parku mógł ktoś być mimo wczesnej porannej godziny.

— Czy ja cię kocham?.. Ty nie wiesz, co się wczoraj działo we mnie, kiedyś mnie smagał swojemi strasznemi słowami. Kazałam ci odejść, boś policzek dał mojej miłości; nie zawołałam cię, nie uczyniłabym tego nigdy, bom sądziła, że

mnie nie kochasz... Ale czułam, kiedyś odchodził, że zabierasz mi ziemię z pod stóp i niebiosa z ponad głowy... Omdlałam... zgarbiona dowlokłam się do domu... Mama już spała... Łkałam cicho całą noc, chwilami z bólu zapominając, dlaczego płaczę... Wypłakałam wszystkie łzy... Rano przybyłam tu, zahartowana bólem... Postanowiłam cię nigdy więcej nie widzieć... Chciałam abyś już wyjechał... Tyś dał, tyś wziął, to nowe życie... nie skarżyłam się na ciebie... chciałem tylko jeszcze raz ujrzeć ławkę, na której siedzieliśmy, gdyś tak pięknie mówił o Fauście; a potem miałam znowu zasiąść w naszym salonie i uschnąć, myśląc o mojem podwójnem życiu i o podwójnej śmierci...

Burza łez wstrząsała mną.

— Cezaryno, nie mów tak, bo mi się serce kraje! Widzisz teraz, jaki ja nikczemnik... tak szarpać twoje serce! Jakże ty mnie będziesz teraz kochała?.. takiego?..

— Jerzy, czy ja wiem, jaki ty jesteś? . Mówisz o sobie tyle złych rzeczy... Ja ciebie nie rozumiem... Ale na co mi to?.. Wiem jedno, że cię kocham i że ty mnie kochasz... To mi wystarcza!.. To, co było wczoraj, było tylko brzydkim snem...

— A to rzeczywistość!—rzekłem, całując ją w usta.

IX.

Pogodziliśmy się. Myliłem się jednak, sądząc, że przebaczenie i powrót miłości przywrócą mi zdrowie. Napróżno liczyłem tym razem na peryodyczną zmianę mego usposobienia, przypominającą przypływ i odpływ morza. Dobry humor nie powracał. Nadrabiałem go, starałem się poddać wesołości, przyswoić sobie na nowo żywy ton rozmowy, który tak łatwo przychodził mi w pierwszym miesiącu mego pobytu w Niemirówce; nadaremnie! wykolejałem się na każdym kroku.

Ulegałem teraz potrzebie wygadania się. Wydawało mi się koniecznem dać się poznać Cezarynie „takim, jakim jestem". Obnażałem się ze swoich wad, przyczem czerniłem się z rozkoszą. Uważałem to za wielką skromność z mojej strony: nie chcę odgrywać przed nią roli „wyższego człowieka". Wmawiałem w siebie teraz, że „komedya optymizmu" kosztowała mnie dużo niesłychanych wysiłków, że nie było tam nic szczerości, że okłamywałem Cezarynę z wyrafinowaną sztucznością, że fałsz swój zdołam okupić tylko nagą prawdą.

— Czas już zmyć z twarzy róż i bielidło,

czas odrzucić koturny aktorskie! — mówiłem do niej — spójrz na mnie teraz, jak jestem mały, jak brzydko wyglądam bez tych scenicznych upiększeń.

Otwierałem przed nią przepaście mej istoty, opowiadałem jej o moich zwątpieniach i wzruszeniach, obnażałem przed nią mą duszę, wskazując wszystkie jej rany, i umyślnie przesadzając w kreśleniu ich niebezpieczeństwa.

— Rozumiesz, czemu to czynię?.. Ten aktorski strój, w którym występowałem przed tobą, krępował mnie. Wyszedłem wcześnie za kulisy i oddaję się szałowi swobody. Nie chcę już grać komedyi!

Ta dziewczyna kochała mnie zawsze. Serce jej było z rodzaju tych, które przywiązują się na całą wieczność. Nie rozumiała jeszcze dwoistości mojego charakteru. Czuła, że się czernię, i upatrywała w tem jedynie moją niesprawiedliwość względem siebie. Przerażała ją zagadkowość mego usposobienia; ale wierzyła ciągle, że to tylko krótki przejściowy moment. Przypisywała mój smutek wstrząśnieniu, którego doznałem w N , kochała mnie jeszcze mocniej za to, że umiałem tak współczuć jej boleści z powodu wkrótce mającej nastąpić śmierci jej ojca. Uzbroiła się w męztwo, godziła się z tym ciosem; „posiadając mnie, czyż może uczuwać teraz brak ojca?"

— Wierzaj mi, Jerzy, ja jestem spokojna; nie popadnę na nowo w melancholię; rozsądnie przyjmę tę smutną wieść, którą już czuję w powietrzu. Uleczyłeś mnie w zupełności. Widzisz, to najlepszy dowód, żeś nie grał przedemną komedyi. Gdybyś nie odczuwał ani odrobiny z tego, coś mówił, czyż mógłbyś na mnie oddziałać? O, ja czułam szczerość w twoim głosie! Ty nie jesteś fałszywy, Jerzy. Jak uspokoisz się, to znowu będziesz taki sam, jak dawniej, mój prawdziwy Jerzy...

Odgadywała mnie tylko w części. Nie rozumiała ani natury, ani głębokości tego wstrząśnienia, którego doznałem w N.

Dziwiło ją także, że wciąż powracam do wspomnienia tego wieczora, kiedy ją obraziłem tak mocno. Przecież przebaczyła mi tak dawno, nie ma do mnie najmniejszej urazy!

Nie pojmowała, że pomimo jej przebaczenia, ja sam sobie przebaczyć nie mogłem. Czułem się zawsze winnym przed nią, a jej dobroć tylko upokarzała mnie. W drażliwem mojem sumieniu pozostała plama. Nie chciała jej widzieć, to było łaską! Łaska ta drażniła mnie jeszcze bardziej. Nie czuła, że w jej wyrazach „przebaczyłam ci!“, upatrywałem jeszcze bardziej kolący wyrzut: przebaczyła, więc zawiniłem wobec niej; przebaczyła, więc potrzebowałem jej przebaczenia!

Jej uporczywe obstawanie za tem, że jestem

dawnym Jerzym, jej niezmienne pragnienie otaczania mnie aureolą wyższości, mające źródło swoje w miłości, popychało mnie do najdzikszych wybryków. Im słabszym i marniejszym czułem się w duszy, tem większem szyderstwem wydawało mi się jej przesadne wyobrażenie o mojej wartości. Niemoc dorównania temu, za co mnie miała i czem być pragnąłem, nakazywała mi zburzyć mego idealnego sobotwóra, żyjącego w jej wyobraźni, który zabierał mi jej miłość i o którego byłem zazdrosny!

— Musi mnie poznać! Przynajmniej raz będę wiedział napewno, czy mnie kocha. Musi mnie poznać, chociażby miała się we mnie odkochać. Jeżeli mnie kocha, niech kocha mnie ze wszystkiemi memi wadami...

Odmawiałem jej „psychologicznego zmysłu“; mówiłem jej, że mnie wcale nie rozumie, a miłość bez zrozumienia niema wartości.

Nie uważałem jeszcze, że szalona moja chęć zmalenia w jej wyobraźni powoli urzeczywistniała się. Cezaryna posiadała zbyt wiele intuicyi, ażeby nie zrozumieć mnie nareszcie.

Idealizm miłości tracił już swoją siłę obronną. Mój fatalny stan trwał zresztą nazbyt długo, ażeby się jeszcze łudzić mogła. Ale oszczędzała mnie, udawała ciągle jeszcze, że wierzy w mój charakter. Moją chorobę moralną nazywała zawsze „chwilowym złym humorem“. Obawiała

się, że niewiarą swoją gorzej jeszcze oddziała na mnie. A ja nie domyślałem się tej zmiany i, ślepy, szydziłem z jej mniemanej ślepoty.

X.

Sierpień tego roku był nader niepogodny. Drobny deszcz mżył bez ustanku. Niebo, przywalone czarnemi chmurami, zda się, zniżyło się ku ziemi. Słońce nie wyglądało z po za opony mgły całemi dniami. W powietrzu czuć było wilgoć; ziemia rozmiękła od deszczu; kałuże błota, zaledwie wysychające, zasilały się na nowo. Łąki stały pod wodą; po nad nią wznosiły się potargane stogi zgniłego siana.

Przyroda przyłączała się do spisku przeciw naszemu szczęściu. Jako nerwowy charakter, ulegałem przygnębiającemu wrażeniu ciągłej niepogody. W mojej duszy było równie szaro, dżysto i błotno, jak na świecie. Z drugiej strony musieliśmy zaniechać naszych dawnych wspólnych przechadzek. Wydawało mi się często, że gdybyśmy znowu znaleźli się w parku, albo w lesie, sam na sam, z książką w ręku, w uzdrawiających blaskach słońca, odzyskałbym mój uśmiech

i żywe usposobienie, oddałbym się zachwytom i rozkoszom miłości. Z ciężkiem sercem stawałem przed oknem mego pokoju i po przez zroszone wilgocią szyby śledziłem leniwe przesuwanie się mętnych chmur po szarem niebie.

U Olszewskich byłem obecnie jeszcze częstszym gościem, przesiadywałem tutaj przed południem, w południowych godzinach i wieczorami. Tem niemniej jednak z Cezaryną rzadko pozostawałem sam na sam. Po największej części asystował nam Michaś, leżąc na kanapie i puszczając kłęby dymu; czasami siadał obok kuzynki przy stole i rysował karykatury Niemirowskich letników, zachwycając się „portretową wiernością" swoich rysunków. Pani Olszewska, zajęta przed południem, po południu za to i wieczorami towarzyła nam nieodstępnie. Siadywała z robótką w ręku i przysłuchiwała się memu głośnemu czytaniu tak długo, aż znudzona nie zadrzemała w fotelu.

Te dwie osoby, Michaś i matka, przeszkadzające naszemu sam na sam, drażniące mnie początkowo swoją obecnością, z czasem stały mi się obojętnemi. Rad byłem pozornemu mojemu spokojowi, rad temu chwilowemu zawieszeniu rozwoju naszych stosunków. Zresztą „wygadałem się" już w znacznej części; czasowo nie miałem co powiedzieć Cezarynie; wystarczało mi, gdym od czasu do czasu rzucił jakieś gorzkie sło-

wo. Zbliżenia się nie wymagałem; wyrodziło się we mnie nawet pewnego rodzaju stępienie.

A i ona również nie rada była pozostawać ze mną sam na sam. Zachęcała Michasia do rysowania karykatur, chwalila je, przymuszała się do uśmiechu, gdy jej pokazywał portret aptekarza w postaci świni, lub jego żony, stworzonej ze samych szpiców. Jeżeli odchodził, zachęcała go, żeby pozostał i słuchał mego czytania. Dla matki przygotowywała robótkę na stoliku przed fotelem. Obawiała się widocznie tych chwil, gdy pozostawałem z nią sam na sam w pokoju. Naówczas bowiem odkładałem książkę i uparcie, bez słowa, bez ruchu, wytężonym wzrokiem patrzyłem na nią. Spoglądała wówczas na mnie z wyrazem niepokoju, ale i bezgranicznej miłości zarazem.

Po długiej chwili milczenia zapytywała mnie:

— Czemu nie czytasz, Jerzy?.. Czemu tak patrzysz na mnie?...

— Gram moją komedyę — odpowiedziałem. Cóż? wzniosły mam charakter?... Pięknego człowieka pokochałaś. Wierzysz we mnie dalej?

— Wierzę i zawsze wierzyć będę — odpowiedziała.

Śmiałem się szyderczo. Następowała chwila męczącego milczenia. Później wchodził Michaś

lub pani Olszewska i czytanie rozpoczynało się na nowo.

Wybrałem nadomiar rozpaczliwy rodzaj lektury. Czytywałem jej Manfreda i Werthera, podkreślając i tłómacząc krótko niektóre ustępy. Dzieła te udojrzalały ją, ale zarazem wlewały w nią jad. Umysł jej stawał się niemal w moich oczach głębszym.

Pani Olszewska, jakem mówił, zasypiała przy słuchaniu tych utworów, których nie rozumiała; pomimo to, budząc się, powtarzała zazwyczaj: „Czytaj pan, czytaj; ja wszystko słyszę!“ Na Michasiu poezya w ogóle nie czyniła wrażenia; nie lubił jej.

— Dlaczego to, powiedzcie mi — mawiał do mnie — obstrugiwać dobre myśli na wiersze i obrzydzać je przez dobieranie sylab i rymów. Mojem zdaniem, to bardzo rozumnie, że poeci chodzą bez butów: palce od nóg także przydatne są dla poezyi.

Ale i z treści Manfred nie podobał mu się. Była to „rymowana czarna farba“, z której „wyłaziły zabawne duchy“. Werthera znajdował tak „obrzydliwie płaczliwym,“ że od mojego czytania rad był uciekać na deszcz, nie dokończywszy nawet ulubionej karykatury jakiejś letniczki, nad którą pracował już parę dni.

Czasami podczas czytania dawało się słyszeć bębnienie po szybie i długi cień przesuwał się za oknem.

Michaś wstawał.

— Słyszycie, to duch Manfreda, w postaci weterynarza, wzywa mnie do Niemirowskiej cukierni na partyjkę. A pan nie zagrasz w bilard?— zapytał mnie.

— Nie umiem, mówiłem już wam.

— To ja was nauczę... Potrzebniejsze to w życiu, niż Manfred i Werther... Gdyby ci dwaj zrobili ze sobą pulkę, zarazby ich pesymizm wywietrzał...

Odtąd „duch Manfreda" wzywał go bardzo często. Napróżno Cezaryna zachęcała go do słuchania poezyi, obiecywała tłómaczyć mu jej piękności; ofiarowywał się wytłómaczyć jej piękności „piramidki", jeżeli pofatyguje się do cukierni.

— Martwi mnie to — mówiła do mnie — że Michaś nie pojmuje piękna poezyi, że nie chce jej słuchać...

— Ma słuszność — odrzekłem — gdybym ja grał tam z nimi w bilard, pewnie byłbym zdrowszy, niż jestem... Moją chorobę wożę w kuferku. Zresztą to jest przeklęcie nudne!... Obrzydły mi wszystkie te piękności!... Werther i Manfred przeżyli się: jeden zbyt czułostkowy, drugi osadzony w aparacie romantycznym...

— Dlaczego więc to czytasz?

— Czytam dla ciebie... chcę cię zrobić tak chorą, jak ja jestem...

— Jerzy, to nieprawda... Po co ty tak mówisz?

— Kiedyż ty przestaniesz mnie mieć za lepszego, niż jestem?! — zawołałem w rozdrażnieniu.

Nie odgadywałem jeszcze, że dawno już przestała łudzić się wiarą w zdrowie mojej natury. Rozumiała mnie teraz coraz lepiej, lepiej już może, niż ja sam siebie rozumiałem. Byłem ślepy na oczywistość. Wzrastająca jej powolność dla mnie wprowadziła mnie w śmieszny błąd. „Gdyby mnie znała, nie mogłaby mnie kochać!“ mówiłem sobie. Z czasem musiałem poznać ten błąd.

XI.

Deszcze padały rzadziej. Korzystaliśmy z każdego dnia pogodniejszego i wychodziliśmy do parku na przechadzkę. Bywaliśmy znowu sam na sam. Michaś nigdy nie wybierał się z nami.

Jeżeli nie znajdował się przy grze, lub przy gazetach w cukierni, wyjeżdżał zazwyczaj do zawiadowcy, gdzie, jak mawiał, bywa „pyszne towarzystwo“ i „genialne wino”. Zresztą ciągnęła go tam i „poważniejsza przyczyna”; zyskał, jak

twierdził, dla sprawy dwie córki zawiadowcy. „Widzisz, filisterko — powiedział do Cezaryny — ja i tutaj, na wakacyach, nie próżnuję, nie tak jak inni"... Gniewał się na nią, że „puściła w trąbę" uczenie dzieci, „jedyną rozsądną rzecz, jaką widział w jej życiu, dziwna, że podszepniętą przez tego rozwerteryzowanego i rozmanfredyzowanego medyka, który pewnie nawet na felczera się nie zda".

Słyszałem przez drzwi salonu, jak to mówił, i w duchu przyznałem mu racyę co do siebie, Cezarynie niesłusznie robił wyrzuty; nie miała sił, zmuszona była porzucić lekcye.

Pani Olszewska towarzyszyła nam nader rzadko, chociaż mniej miała teraz do roboty, z powodu wyjazdu wielu letników, spłoszonych przez deszcze.

Trapiły ją finansowe kłopoty; zbliżał się termin wypłaty niektórych większych długów; zostawała więc w domu z długą rachunkową książką i liczyła wciąż jedno i to samo. Stosunek mój z Cezaryną uważała zawsze jeszcze za czysto przyjacielski. Z zupełnym spokojem powierzała córkę temu „poczciwemu doktorowi, który tak dobrze wpływał na usposobienie Cezarynki." Zajęta swojemi kłopotami, nie zauważyła zmiany zaszłej w nas; domyślała się po różowych powiekach córki i po mojej bladości, że oboje spędza-

my noce bezsenne, Poważniejszy nasz nastrój przypisywała wyczekiwaniu smutnej wiadomości ze szpitala; ją także wyczekiwanie to denerwowało. Przyznała mi się, że radaby była, aby się to już raz skończyło.

Zwodziliśmy ją zresztą oboje. Ja udawałem przed nią swobodny humor, dowcipkowałem czasami; popisywałem się wobec Cezaryny moim talentem aktorskim. Cezaryna, złapana przez matkę na płaczu, połykała łzy i udawała, że czyta książkę. Jeżeli nie zdołała ukryć płaczu, matka mówiła do niej: „Nie kryj się moje dziecko, płacz, płacz, będzie ci lżej. Cóż robić? potrzeba się pogodzić z tym ciosem, twojemu ojcu tam będzie lepiej". Innej przyczyny łez nie domyślała się.

Tak więc nasze przechadzki sam na sam zaczęły się na nowo. Ale nie prowadziliśmy już dawnych pogodnych rozmów, jak i niebo nad nami nie wypogodzało się nigdy zupełnie, pomimo że deszcz przestawał padać.

Rozmowy nasze były posępne, składały się z krótkich zdań, przerywane były długiemi chwilami milczenia. W tych wędrówkach naszych po parku lub po lesie, odkryłem, że w stosunku jej do mnie zaszła pewna zmiana. Potakiwała najdziwaczniejszym moim zdaniom, obawiała się mnie rozdrażnić; wybierała chwile, gdy byłem mniej kapryśny, i wówczas starała się na mnie

oddziaływać; mówiła do mnie zawsze głosem słodkim, łagodnym, traktowała mnie poniekąd jak dziecko.

— Dlaczego ty ciągle milczysz? — pytałem ją, chociaż więcej jeszcze milczałem, niż ona. — Nudzisz się pewnie ze mną?

— Jerzy, ja się z tobą nie nudzę. Przyjemnie mi, gdy mam cię obok siebie.

— Jednak wolałabyś, aby Michaś był z nami. Zatrzymywałaś go dawniej często, gdy bazgrał te głupie karykatury. Bałaś się pozostawać ze mną sam na sam.

— Dawniej... troszeczkę... Teraz się nie boję. Widziałeś przecie, sama namawiałam dziś Michasia, aby jechał do zawiadowcy. Jemu z nami nudno.

— Wolałaś, aby matka z nami poszła. Pozostawać ze mną sam na sam także przyjemność! Ładny, oryginalny łączy nas stosunek...

— Ja wolę, jak mama pozostaje w domu. Ty przy niej wysilasz się, udając dobry humor, który ciebie musi męczyć, bo wiem, że nie jesteś wesoły.

— Dlaczego matce wszystkiego nie powiesz? Kochamy się przecie... tak mi się zdaje. Niechaj więc nas raz zaręczą.

— Czekam, aż ty, Jerzy, będziesz mógł sam powiedzieć.

— Mógł?! A zkąd wiesz, że ja nie mogę?

— Nie gniewaj się Jerzy... Sądziłam tylko, że ty tego nie chcesz; teraz nie jesteś usposobiony do tego obrzędu, który nazywasz głupim. Czekam cierpliwie...

— No, dobrze, czekaj — mruczałem.

Miała słuszność; nie mogłem teraz nic powiedzieć pani Olszewskiej; wstydziłem się prosić o rękę jej córki w stanie obecnego rozdrażnienia nerwów i „nikczemnego humoru". Rad byłem, że i Cezaryna nie zdradziła się przed matką.

— Jednak nie musi ci być przyjemnem to włóczenie się ze mną po parku i po lesie? Uważasz, jak dziwnie ludzie patrzą na ciebie. Aptekarzowa nie próżnowała, rozpuściła plotki...

Istotnie letnicy, a szczególniej letniczki mierzyły Cezarynę takiem spojrzeniem, jakiem mierzy się kobiety, podejrzane o wcale nieidealny stosunek miłosny.

— Nie uważam nic... Mylisz się Jerzy... To tylko przez rozdrażnienie widzisz to, czego niema... Zresztą mamy przecie czyste sumienia... a ja o nic więcej nie dbam...

Rumieniec, który oblał jej bladą twarzyczkę, zdradził ją; natrętne spojrzenia przechodniów kłuły ją boleśnie. Nie opierała się przecie, kiedym wprowadzał ją wgłąb lasu, zkąd wracających spotykały nas uśmiechy wesołych gromadek letników, rozrzuconych tu i owdzie pod

drzewami. Mnie nie obawiała się, w samotności trzymaliśmy się jeszcze bardziej zdala od siebie. Moje zmysły wobec ogólnego przygnębienia spały. Zresztą wiotka, delikatna Cezaryna, nie czyniła na mnie nigdy zmysłowego wrażenia. Czasem zdawało mi się nawet, że jeżeli miłość ta nie może mnie uleczyć, to właśnie dla tego, że krwi jej braknie.

Rumieniec Cezaryny odkrył mi, że własnym kosztem oszczędza moje nerwy. Z całego obecnego postępowania jej, z wszystkich słów, które słyszałem od niej w ostatnich czasach, wniosłem teraz, że zna już całą słabość mojego charakteru, poznałem że ma dla mnie rodzaj miłosnej litości. Znała mnie teraz doskonale!

Odkrycie to wywołało we mnie nowy przewrót. Ja sam zniszczyłem jej wiarę w siebie, a teraz miałem żal do niej. Trawiłem się tą myślą, że ona nie ma już dla mnie szacunku, że mnie poniża w swojej wyobraźni. „Jeżeli mnie kocha jeszcze teraz, to już tylko z litości — mówiłem do siebie — traktuje mnie, jak chorego! Ja tego nie zniosę, nie zniosę!"

Wybuch wreszcie nastąpił.

Mówiła mi raz o pewności zdań swego ojca, o jego konsekwentnym poglądzie na świat, o wielkiej równowadze jego umysłu.

Nie spostrzegła się, że rani mnie temi słowami głęboko. Zapomniała się, chwaląc ojca

— Przestań, przestań! — zawołałem — dlaczego ty mnie umyślnie drażnisz? Robisz do mnie aluzyę. Myślisz, że ja nie wiem, iż mną pogardzasz? Z litości tylko nie chcesz mi tego powiedzieć.

Chciałem się zerwać z ławki i uciec z parku. Przytrzymała mnie za ręce.

— Jerzy! ja tobą miałabym pogardzać? Widzę to dobrze, że jesteś chory, ale kocham cię teraz tembardziej. Nie jest to żadną litością, żadną zasługą mego serca... Kocham cię, bo nie mogę nie kochać!

— Chory?!.. ja chory?!.. Twój ojciec był chory z całą konsekwencyą swoich poględów; ja jestem zdrów. To ty nie wiesz, że każda kwestya ma dwie strony, czarną i białą? Ludzie pewni siebie, uporczywie powtarzający całe życie jedno i to samo, to są ograniczeni, którym nigdy nie przychodzi na myśl odwrócić kwestyę podszewką do góry...

„Oś ziemi się chwieje, a my żądamy stałości w poglądach. Natura złożona z samych kontrastów. Nie można nigdy napewno powiedzieć „tak" lub „nie", wszyscy mają racyę i nikt jej nie ma!.. Systematy filozoficzne to widzimisię każdego mózgu, przykrajane do jego miary. Taki lub inny pogląd na naturę jest tylko takim lub innym układem zwojów mózgowych.

„Czy ty już nie pamiętasz, jakem ja ci dowodził wartości życia? Oszukiwałem ciebie...

No, i siebie także — ale to jeszcze podlejsze, niż gdybym tylko ciebie oszukał. Nam, czującym najbardziej, nerwowym, odmawiałem prawa sądzenia życia; powoływałem się na jakieś błogie uczucie żywotności, które przytrafia się nam czasami... rzadko... bogdaj czy nie raz na dziesięć lat!.. A dlaczego do godności sędziego nie podnieść tego bólu życiowego, tej tęsknoty, co nam pierś rozpiera i tłucze nami o kraty tej klatki, w której nas mus zamyka?.. Strzelałem błyskotliwemi paradoksami: ból nazywałem uciechą, mierność umysłu ludzkiego wielkością. Nie uwierzyłaś-że mi? Czyż nie dowodziłem logicznie? Nie wydawałoż się to nam obojgu prawdą?!.. Powoływałem się na pragnienie bytu, rozlane w naturze, na nasz instynkt samozachowawczy... Ha, ha, ha!.. i to jest dowód, że życie jest dobre. Ślepy instynkt ma tutaj decydować?! Ależ to właśnie nasz wróg najgorszy, który przykuwa nas do skały życia, na której sęp szarpie nasze wnętrzności; nasz wróg, który spętał nam ręce, ażebyśmy ich nie mogli podnieść na siebie i nie uwolnili się zbyt szybko od męczarni... Czasem hańba wypieka nam piętno na czole, kirem pokrywa się dla nas świat cały, przepaść nędzy otacza nas dokoła — a nie mamy odwagi wydrzeć z piersi tego życia, które darzy nas puszką Pandory... Ale liczba tych, co godzą we własne serce i zagłuszają jego monotonny

rytm, wzrasta teraz i coraz to wzrastać będzie, bo nędzę życia odczuwamy lepiej, bo nie chcemy ulegać nieświadomym instynktom natury!..

Słuchała mnie przerażona, z oczyma otwartemi szeroko. Kiedym zamilkł, ozwała się cicho.

— Jerzy, ja tak dawniej myślałam i czułam, tylko nie potrafiłam tego wyrazić tak, jak ty... Ale potem ty przyszedłeś, mówiłeś zupełnie inaczej, a mówiłeś tak szczerze i pięknie, że to, coś mówił, wydało mi się prawdą.

— Myślisz, że sam wiedziałem, gdzie prawda? Chciałem cię leczyć. Podobałaś mi się. Gdy młoda i piękna dziewczyna — boć jesteś piękna — nie masz się czego rumienić; to głupio! — znajduje się blizko młodego człowieka, to mu serce wnet podryguje radośnie; zdaje mu się, że chodzi po niebie i ociera się o aniołów...

— Ale teraz masz mnie przecie przy sobie, kochasz mnie... powiedz!.. Czemuś nie taki, jak dawniej?...

— Tak, pewnie, że cię kocham; dostaję palpitacyi, gdy cię ujrzę zdaleka; nudzi mi się bez ciebie... Ale ja jestem ulepiony z innej gliny, niż zwykli rozmazani, rozkochani panicze... Tamci przy kochance zapominają o myślach poważnych, pełnych posępnej prawdy... Ja jestem zawsze świadomy... Miłość traktuję, jak potrzebę moich nerwów... ot i wszystko!

— Jerzy! Jerzy!

— Po co moje imię powtarzasz?.. Mówię prawdę. Jestem człowiekiem myśli!.. Powinnaś szanować mnie za to... A ty... ty jesteś zabawna... Zdawało ci się, że twój stosunek do świata jest stosunkiem myśli... Cały twój pogląd pesymistyczny był tylko rozdrażnieniem nerwów po tem nieszczęściu, co cię spotkalo... Zjawił się młody człowiek, począł pleść piękne słówka, rzucać spowite we frazesy paradoksy, zaraz w głowie zrobiło ci się jasno, jakbym tam iluminacyę urządził... Czy ty sądzisz, że ja temi myślami zmieniłem twoje poglądy... hę?.. przerobiłem cię z pesymistki na optymistkę?.. Fałsz! fałsz! nie oszukuj siebie samej... To młoda krew zagrała... Jestem młodym człowiekiem... podobałem ci się... mam ładne wąsy... Nie myśl, że się chwalę... nie jestem próżny z mojej fizyognomii... ale dziewczyny mówiły mi to tysiąc razy...

— Jakie dziewczyny?

— Et, co tam i gadać... Wy, wy, kobiety, jesteście białe gęsi... My, my, mężczyzni... Wy nas nie znacie wcale... To także tak przez tę mądrą społeczność urządzone.... Czasem dostajecie resztki... Ja tam nie jestem gorszy od innych, ale i nie lepszy...

Nie rozumiała mnie dobrze, ale po bolesnem skrzywieniu jej twarzy, czułem, że coś niejasno chwytała... Prosiła, abym ją pozostawił samą, abym jej nie dręczył...

XII.

Wchodziłem teras w nową fazę. Zaczynałem uczuwać rozkosz w szarpaniu tego biednego serca. Byłem jak ten, co tonie, co chwyta drugiego, trzyma go konwulsyjnie i za sobą pociąga na dno rzeki. Normalny stosunek miłosny nie zadowolniłby mojej natury. Ta miłość, przesiąknięta naszemi łzami, składająca się z szeregu moich upadków moralnych i jej przebaczeń, była tą mieszaną atmosferą rozkoszy i goryczy, która, dostarczając mi potężnych wzruszeń, dawała zadowolenie moim nerwom.

Nie potrzebowałem nareszcie wstydzić się przed Cezaryną słabości mojej natury; uczyniłem ją również słabą, jak ja. Nie było w niej więcej ani śladu tej dumy, którą okazała, wyrzucając mnie ongi z altany.

Nauczyła się znosić upokorzenia odemnie; dręcząc ją, przywiązałem ją do siebie jeszcze mocniej; potrzebowała prawie moich wyrzutów; zaraziłem ją mojem zdenerwowaniem. Lubowałem się w tem łamaniu jej woli, jak gdyby ona była dzielącą nas zaporą. Teraz dopiero byłem pewny, że mnie kocha, że przywiązała się do mnie na całe życie, gdyż podzielała ze mną truciznę rozczarowania.

I coraz to nowsze wymyślałem tortury.

— Wiesz, śniła mi się dzisiaj „tamta...“ Ach! jaka szkoda, że jej nie znasz... Co to za zdrowie, policzki — krew z mlekiem!... Gdyby ona mnie tak kochała, jak ty, byłbym już dawno uleczony... Ty jesteś chora, ty oddziaływasz na mnie źle... W mojem uczuciu dla ciebie niema ani trochę ognia. Ty nie możesz go zbudzić.

Opuściła głowę, jak gdyby była winowajczynią.

— Twoja wiecznie smutna, blada twarz drażni mnie. Ja wprawdzie także nie jestem wesół, ale gdybyś ty była wesołą... A, gdybyś wiedziała, jaki humor miała „tamta“... Była wprawdzie płochą, ale to „motylkowate“ usposobienie nadaje dziewczętom tyle powabu... Byłem prawdziwie wesoły przy niej... Co to, ty znowu płaczesz?

Połykała łzy i siliła się na uśmiech.

— Wyszła za innego — ciągnąłem. — To nic, chciałbym ją teraz zobaczyć. Ciekawym, czy zawsze taka ładna. Wiesz co, pojadę do Warszawy na parę dni.

— Jedź — odrzekła krótko.

Myślałem, że się rozpłacze.

— Jakto?! pozwalasz mi wyjechać?!.. I to się nazywa, że ty mnie kochasz?!.. Powiadam ci, że wyjadę, a ty to przyjmujesz z uśmiechem...

Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło.

— Ah, jaki ze mnie nikczemnik! — zawołałem — dlaczego ty mnie nie odepchniesz?!

Zacząłem płakać; położyła mą głowę na swoich kolanach i głaskała mnie po włosach.

Innym razem opowiedziałem jej ze wszystkiemi szczegółami, jak wygląda jej ojciec... Patrzyła na mnie szeroko rozwartemi oczami, bez oddechu... Napawałem się jej wrażeniem... Zemdlała... Działo się to w domu. Szczęściem, pani Olszewska wyszła na miasto porobić zakupy. Przy pomocy Marysi, która na krzyk mój wbiegła do salonu, przeniosłem zemdloną z podłogi na kanapę i docuciłem się jej.

Klękałem przed nią, targałem się za włosy, nazywałem się szaleńcem, przepraszałem ją w najczulszych wyrazach...

Później straszyłem ją, że tak jak jej ojciec i ja dostanę obłąkania, że mam już nawet początki waryacyi. Obejmowała mnie wtedy za szyję — było to wieczorem, w altanie — ściskała mi skronie, pieściła się ze mną, mówiąc przez łzy; „Nie, Jerzy, Jerzy, ty będziesz miał rozum, ty się uspokoisz, ja będę nad tobą czuwała"... Wtedy gorąco całowałem ją po rękach i płakałem w nocy.

Lecz nazajutrz znowu ją dręczyłem. Drwiłem sobie z miłości, nazywałem ją potrzaskiem, zastawionym przez naturę, urządzonym tak, że zawsze chwytało się weń dwa ptaszki. Później

oba szpiegowały się nawzajem, aby żadnemu nie udało się uciec z niewoli.

Podawałem często w wątpliwość istotę źródła mojej miłości. Mówiłem jej otwarcie, że była niem moja próżność: pokochałem ją za to, że się mną zachwycała; to tak przyjemnie mieć obok siebie kogoś, który nas podziwia, a któż jest bardziej niekrytycznym nad osobę kochającą? Zapewniałem ją, że taka miłość prędko przechodzi, jest to tylko przelotne podrażnienie nerwów.

Potem czyniłem przypuszczenia co do naszego wspólnego życia. ona mnie wyczerpywała; musiałem zawsze być dla niej wymownym, rozsypującym skarby myśli; czy nie uważa, jak się zużyłem? mówię bladziej, głupiej; dowcip mój gdzieś przepadł. Po ślubie będzie jeszcze gorzej: zacznę się powtarzać, znudzę ją; przestaniemy mówić ze sobą, nie znajdziemy wspólnego tematu...

Ona załamywała ręce.

— Jak ja się boję tego, jak ja się boję....

— Nerwowy mąż... nerwowa żona... to będzie ślicznie...

— Ah, to będzie okropnie... Jak mnie ta myśl prześladuje...

— Założymy szpital waryatów... To będzie akurat pasowało... Wiesz, mnie doktorzy mówili, że nie powinienem się żenić.

„Doktorzy" — to był ów idyota, z którym jechałem do N. i z powrotem; drwiny jego z mojej kompleksyi, oraz zapewnienia, że nie powinienem się żenić, jakoś głupio utkwiły mi w mózgu.

Zdarzalo się często, że podejrzewałem poprostu siłę i prawdę jej miłości. Mówiłem jej, że jest egzaltowaną, że jej miłość dla mnie jest wytworem chorej wyobraźni; takiego człowieka, jak ja, kochać niepodobna, tembardziej teraz, kiedy przekonała się, że jestem wcale inny, niż sądziła...

— To nerwy, to nerwy, to twoja fantazya... to są skłonności chorobliwe waszej rodziny... to nie serce...

Dziwaczne myśli, wysnute w dniu mojego pobytu w N., zapuściły w mym mózgu korzenie.

— O, to serce, to serce — odpowiadała głęboko wzruszonym głosem, dłoń przyciskając do ciężko falującej piersi — ja to tutaj czuję, Jerzy... Czyżbym ja inaczej mogła słuchać twoich nierozsądnych wyrzutów? Czyżbym się ciebie nie wyrzekła? Ty nie wiesz, jak bardzo cierpiała moja duma dawniej, gdyś mnie obrażał. Dzisiaj gotowam od ciebie przyjąć wszystko. Ani jedno słowo skargi nie wyjdzie z moich ust. Wiem, że ty sam się pierwszy oskarżysz, gdy ze mną źle postąpisz, że sumienie twoje bardziej cię dręczy, niż wina twoja boli mnie; wierzę zawsze, że przyjdziesz mnie przeprosić, i naprzód już gotowam ci

wybaczyć. Rozumiem teraz nieszczęśliwy twój charakter i nie potrafię się gniewać na ciebie nigdy. Wyobraźnia moja malowała cię innym; w pierwszej chwili zabolało mnie mocno, gdy poznałam, żeś nie taki, za jakiego cię miałam. Ale miłości z serca wydrzeć niepodobna. Kto kocha, ten nie zna rozczarowania zupełnego. Tyś zawsze dla mnie tym Jerzym, który wyrwał mnie z grobu apatyi; nowe życie, które otrzymałam od ciebie, pókiś przy mnie, ma niespożytą siłę. Kocham cię ciągle, kocham głębiej nawet, niż wówczas, gdy tak wysoko ceniłam twój charakter... Jesteś mi potrzebny... Kaprysów twoich się nie lękam... Twoje wyrzuty bolą mnie mniej, gdy tobie ulgę sprawiają... Mniejsza o mnie... Mnie tylko ciebie żal, ah, jak żal!.. Ty się tak męczysz, tak męczysz...

— I ciebie męczę, Cezaryno, i ciebie — mówiłem złamanym głosem.

— A widzisz, ty to czujesz, boś ty w gruncie rzeczy szlachetny, Jerzy... Ja zawsze wierzę, że ty się zmienisz; ja cię tak będę kochała!... Wytrwała moja miłość natchnie cię wiarą w moje serce; przez moje serce uwierzysz w przyszłość!.. Wiesz co? Ty mi się dzisiaj śniłeś... Szedłeś z rozwianym włosem, dziko patrząc, i stanąłeś na szynach ze skrzyżowanemi rękoma, w tej pięknej twojej pozycyi... Naprzeciw ciebie, wprost, nadbiegał pociąg świszcząc i hucząc parą... Widzia-

łam jego czerwoną latarnię, jak rzucała na ciebie krwawy swój promień... poznałam cię i nadbiegłam... Jak szalona, stanęłam między tobą a pociągiem i wytężyłam mocno ramiona... I co powiesz? zatrzymałam ten cały pociąg w miejscu... To śmieszny sen, ja wiem... Ale mnie się zdaje, że ja bym tak zrobiła na jawie i że ja ciebie jeszcze uratuję, uratuję i wrócę życiu, jakeś ty mnie kiedyś doń wracał... Od kilku dni poczułam w sobie siły do tego... pracowałam nad sobą...

Istotnie czyniła nad sobą wysiłki, ażeby nie poddać się zarażającemu ją zdenerwowaniu. Pociągana już przezemnie na dno, mocą miłości wypływała znowu na powierzchnię, starając się i mnie wydobyć.

Podziwiałem tę wolę, która pozornie złamana, wskrzesała na nowo. Poczynałem pojmować, że charakter jej otrzymał znaczne zadatki zdrowia; odziedziczyła je widać po matce; zresztą i ojciec jej był człowiekiem hartownej woli. Upewniałem się w tem coraz mocniej, że dawna jej melancholia była wypływem głęboko czującego serca, a nie rozdrażnionych nerwów; były one nader delikatne, ale nie schorowane, jak moje.

Toż samo serce obecnie ocalało ją przed melancholią. Dla ojca wówczas ratunku nie było, to ją zgnębiło. Mnie uważała wciąż jeszcze za uleczalnego. Zaczynała mnie więc leczyć,

jak ja ją kiedyś leczyłem. Czuła w sobie siły osoby, pielęgnującej drogiego chorego, nie doznającej ani śladu znużenia, mimo szeregu bezsennych nocy.

Nie szarpałem już jej teraz, zużyłem wszystkie środki tortury; leczeniu jednak nie poddawałem się.

Byłem mocno zgnębiony; brakło mi siły do życia; wyczerpywałem się fizycznie i moralnie.

Ona starała się ożywić mnie ideami przyszłości ludów, hasłami postępu. Na pierwsze jej słowa w tym sensie, podczas przechadzki, wstrząsnąłem głową, uśmiechnąłem się smutnie i, wskazując jej aleję, która obiegała park dokoła, rzekłem:

— Widzisz to, Cezaryno? W takiem kole od kilku tycięcy lat już tłucze się ludzkość. To jej historya. Akcya i reakcya, pokój i rewolucya, wznoszenie się i upadek, powstawanie i śmierć narodów, wieczny przypływ, zmieniający się odpływem — oto jest życie!.. I czyliż warto robić jeden krok naprzód, ażeby później zrobić go wstecz?

Opierała się moim twierdzeniom; czyniła to delikatnie, łagodnie, w kształcie zapytań, bojąc się podrażnić moją próżność.

— Czyliż nie rozwija się moralność?..

Obiecałem jej pokazać statystykę zbrodni.

— Za to ciągłemu rozwojowi umysłowemu zaprzeczyć niepodobna?

Wskazałem jej genialne niegdyś narody, dziś znajdujące się w stanie śpiączki.

— Idea wolności zyskuje powszechne uznanie.

Wyliczyłem narody, pożarte w ostatnich czasach.

— Cywilizacya jest jednak dobrodziejstwem...

— Tak jest. Daje wygody wyższym klasom.

Zwracała moją uwagę, że zbyt szeroko rozumiem ideę postępu. Mierzę nią życie całej ludzkości we wszystkich wiekach. W tych ramach nie dziw, że widzę upadek i śmierć narodów. Powinienem zadowolnić się węższemi ramami; parę wieków z życia jakiegokolwiek narodu — to wiele, a w tych granicach postęp nie daje się zaprzeczyć.

— I cóż z tego, jeżeli nawet zaprzeczyć mu nie można? — odrzekłem. — Jesteśmy zdolni posiadać jedynie pojęcie postępu, wypływające z porównania całego szeregu historycznych momentów. Nie mamy natomiast poczucia postępu. W granicach krótkiego życia jednostki zachodzą nader słabe zmiany, rozwój posuwa się żółwim krokiem. Przychodząc na świat i schodząc zeń, znajdujemy się nieledwie wobec tej samej sumy wygód i cierpień. Brak tych wygód w poprzednich epokach nie ma dla nas znaczenia; myśmy go nie uczuwali. Próżnobyśmy także chcieli po-

cieszać się tem, że suma złego jest stosunkowo mniejsza; za to nerwy nasze stały się znacznie czulsze. W najlepszym więc razie ilość bólu jest ilością stałą.

„Zresztą nie może nawet być inaczej... Osiągnięcie ideału szczęścia byłoby równoznaczne z apatyą. Apatya zaś nie może być prawem życia, bo życie wymaga wiecznego ruchu. Jakiekolwiek, chociażby najlżejsze, ale stałe zbliżanie się do szczęścia, kazałoby przypuszczać w ostateczności możliwość zbliżenia się do apatyi. Najwidoczniej więc cel nasz, jak błędny ognik, postępuje przed nami równocześnie z szybkością naszego pochodu. Więc wieczna walka, wieczysty znój, wieczna niedola i tęsknota!..

„Ha, mówić o postępie, do tego dziś w tej ponurej dobie reakcyi, w której wszyscy żyjemy! Nie, nie oszukasz mnie, Cezaryno, ja nie kobieta, nie dziewczę ośmnastoletnie... to ja ciebie tak zwodzić mogłem, ale nie ty mnie!..”

Czuła się pokonaną. Jakkolwiek myśl jej pracowała, jakkolwiek natężała wszystkie umysłowe zdolności, nie znajdowała argumentów przeciwnych.

Próbowała teraz zachęcić mnie do medycyny: jest to przecież najszlachetniejsza gałęź wiedzy, nauka, walcząca z chorobą, sztuka, tępiąca ostrze śmierci. Na ten temat wysnułem przed nią nieskończoną czarną nić myśli, która, zda się,

odwijałem z jakiegoś motka zwątpień, znajdującego się w moim mózgu.

Nie wierzę w medycynę: rozebrała ona anatomicznie człowieka, zaregestrowała cały szereg chorób, ażeby wreszcie niepewna i bezsilna stanąć przed łożem chorego. Rozklasyfikowane w teoryi, idealnie opisane, ochrzczone po łacinie choroby, w rzeczywistości przedstawiały się w formie zmieszanego mnóstwa symptomatów, występujących dziwacznie, niewyraźnie, często nader jednostajnie, przy najróżnorodniejszych przyczynach, nie pomieszczały się one w ramkach nauki, myliły najwytrawniejszego dyagnostę.

Tam, w wnętrznościach chorego, zachodził zawsze tajemniczy, niezbadany proces, który dawał się tylko w części odgadywać; ileż to razy sekcya wyszydziła najprawdopodobniejsze domysły! A jeżeli nawet lekarz nie omylił się, jeżeli nawet trafnie nazwał chorobę, ani uczony, ani pracownik, którego przedstawiał, nie znajdował w tem zadowolenia. Dla uczonego istota choroby przedstawiała zawsze zagadkę; stwierdzał proces patologiczny, którego nie rozumiał, rozwodził się nad przeziębieniem, o którem nie mógł powiedzieć, czem ono jest właściwie; rozszerzał hypotezę o mikrobach, podejrzewając je wszędzie. Jako pracownik, leczył przeważnie symptomaty, a nie chorobę, której nie mógł pochwycić; odchodząc od łóżka rekonwalescenta,

nigdy nie był pewnym, czy wyzdrowienie przypisywać ma naturze, czy swojej recepcie.

Cezaryna nie umiała na to nic odpowiedzieć; tu już, rzecz naturalna, brakowało jej zupełnie danych. Zresztą ja sam przyznawałem, że czarny mój pogląd na medycynę w znacznej części wynikał z pobudek czysto subiektywnych. Zawód obrałem nader nieodpowiedni do mego usposobienia. Wstąpiłem na medycynę, po części ulegając życzeniom matki, po części widząc w niej jeden z lepszych środków w walce o chleb codzienny, po części idealizując tę gałąź wiedzy, która jakoby niosła całej ludzkości zdrowie.

Tymczasem szybko uczyniłem odkrycie, że w szpitalach na biednych czyniono w wielu razach eksperymenty; widziałem, że nędzarze oddawali swoje ciała po śmierci pod noże anatomiczne na to, aby ci, których święte szczątki spoczywać mają w ozdobnych trumnach, we wspaniałych grobach familijnych, mogli jak najdłużej zajmować się wyzyskiem.

Zdenerwowanie moje przeszkadzało mi oddychać powietrzem szpitala; przypatrywanie się operacyom z początku kosztowało mnie nadzwyczaj wiele. Przy tem wszystkiem przygniatał mnie ogrom pracy, jakiego wymaga zawód medyczny, a czas, jak wiadomo, kradły mi korepetycye.

W ostatecznym rachunku obawiałem się zawsze, że będę bardzo lichym medykiem.

— Na felczera się nie zdam. Michaś ma racyę. Słyszałem z mojego pokoju, jak to mówił do ciebie.

— Słyszałeś?.. O, on to tak sobie powiedział!

— Mniejsza o to... Ja to sam teraz potwierdzam; przychodzi mi czasami dzika myśl porzucenia medycyny. Tylko szkoda mi lat straconych, a zresztą, co potem zrobię... Dla człowieka z mojem usposobieniem niema odpowiedniego zajęcia ..

Cierpiała razem ze mną, lecz jeszcze nie ustępowała.

Próbowała obecnie nakłonić mnie do pisania poezyj: „nie powinienem zaniedbywać swojego talentu; pisałem przecież dawniej „takie piękne wiersze"; tworzenie oddziała na mnie bardzo dobrze". Zbywałem początkowo te namowy milczeniem, ale kiedy na każdym kroku poczynała mi podsuwać tematy, kiedy przesadnie zachwycała się czasem mojemi myślami, proponując mi, abym je utrwalił na papierze, powiedziałem jej nareszcie:

— Daj mi spokój. Przysiągłem sobie, że nigdy już nic pisać nie będę. Nie mam talentu. Wszystko, co piszę, jest głupie, blade, bezbarwne. Nie wiesz wcale, ile razy rozpoczynałem już pisać wiersze do ciebie; słowa uciekają odemnie, zdania plączą się, styl nie ma siły; nie uda-

je mi się wypowiedzieć tego, co myślę, tego, co czuję... Okropna niemoc tworzenia!... Com rozpoczął, tom przekreślał; nadarłem dosyć papieru! Nie dojdę o kulach na szczyt Parnasu, a nie mam ochoty leżeć na jego stokach pomiędzy gromadą mizernych pismaków... Ażeby tworzyć, trzeba mieć geniusz, trzeba w nowej formie ogłaszać światu nowe idee. Nie chcę być przeżuwaczem banalnych myśli, a to jest cały mój talent!... A zresztą pomyśl sama, czyż nie dość już piór, umaczanych w truciźnie, uświadamiających ludzkości jej niedolę. Gdybym miał świeższą wyobraźnię, gdybym był zdolny stwarzać jasne obrazy, możebym pisał... A czemże ja będę z moim pesymizmem? Fabrykantem jadu najpodlejszego gatunku, jadu, który gangrenuje, a nie ma mocy zabójczej!

Tak z kolei wytrącałem jej z rąk wszelkie lekarstwo. Po każdej rozmowie czuła się wyczerpaną, a wkrótce na nowo rozpoczynała walkę. Ja płakałem, oskarżałem się o niewdzięczność; obiecywałem poddawać się jej leczeniu, przepraszałem ją w najczulszych wyrazach. Nazajutrz następował nowy wysiłek z jej strony, a z mojej — nowy wytrysk jadu. Trwało to jeden tydzień i drugi...

XIII.

Nie było we mnie „woli życia”. O brak ten rozbijały się wszystkie wysiłki Cezaryny. Z braku tego wypływała moja moc wyciskania z każdej kwestyi trucizny.

Cezaryna zrozumiała to wreszcie i opuściła ręce. Wola jej złamała się na nowo, i teraz już bezpowrotnie. Przestała mnie leczyć. Żyliśmy z dnia na dzień, nie mogąc ani zmienić, ani zerwać naszego stosunku.

W owym to czasie począłem spostrzegać zachodzące w niej dziwne przeobrażenie. Na określenie tej zmiany nie mam innego wyrazu nad utworzone przezemnie niezręczne słowo: duchowiała. Była niezmiernie, przerażająco spokojną Nie skarżyła się na nic. Mówiła krótkiemi zdaniami. Myśli jej były były pełne jakiegoś wzniosłego idealizmu. Zapadała w głębokie zamyślenie, z którego trzeba ją było budzić parokrotnem nawoływaniem. Patrzyła wówczas na mówiącego wzrokiem, w którym malowało się takie zdziwienie, jak gdyby nagle przeniesiono ją z jakiejś odległej sfery w nieznane otoczenie.

Zmiana ta odbiła się i na jej zewnętrznej postaci: czarne jej oczy otwarte były teraz zawsze

szeroko i utkwione gdzieś, w nieskończoność; twarz zeszczuplała bardziej, niż kiedykolwiek; cera wydawała się już nie bladą, ale wprost przeświecającą. Kiedy szła, zdawało mi się, że to duch przesuwa się lekko.

Ten stan jej oddziałał na mnie. Budziła we mnie jakiś mistyczny przestrach. Kiedy milczała, szanowałem jej zadumę i nie mówiłem ani słowa. Bałem się wziąć ją za rękę i pocałować. Siadałem zawsze trochę zdala od niej. Uważałem ją jakby za świętą. Sam wobec niej czułem się drobnym robaczkiem. Przerażeniem przejmowała mnie myśl, że ja tę świętą istotę jeszcze tak niedawno ośmielałem się torturować.

Wydawało mi się, że nie mam prawa przebywać z nią często; ja, grzesznik, powinienem zadawalać się tem, jeżeli zobaczę ją raz na dzień przez króciutką chwilę. Począłem zamykać się w swoim pokoju; zapuszczałem rolety i po całych dniach leżałem na łóżku, upojony tym mistycznym przestrachem. Czasami, rzadko zachodziłem tam, do niej; witała mnie poważnem skinieniem głowy; siadałem przy niej, wpatrywałem się w nią, szanując jej milczenie; rozmawiałem z nią przyciszonym głosem o rzeczach obojętnych Czasami brałem jakąś książkę i czytałem jej na głos, ale uważałem, że nie słucha już z dawnem zajęciem, a i ja sam czytałem bardziej mechanicznie, nie myśląc o tem, co czytam.

Zmiana, która zaszła w Cezarynie, nie mogła ujść uwagi pani Olszewskiej. A że przypadła ona równocześnie z krótszemi i rzadszemi mojemi wizytami, które oddawałem blady i milczący, poczęła więc nareszcie spostrzegać, że się coś święci. Nie wiem zresztą, czy nie widziała tego i dawniej, lecz przez delikatność nie chciała się mieszać. Obecnie nie taiła uśmiechu niedowierzania, gdy raz począłem się przed nią tłómaczyć, że dlatego teraz tak mało poświęcam im czasu, iż jestem mocno zajęty czytaniem: wakacye są mi drogie, gdyż rok uniwersytecki muszę w całości obracać na studya medyczne. Sądziła jednak, że nie porozumieliśmy się jeszcze dostatecznie, że obojgu nam zbywa na śmiałości; starała się natchnąć nas odwagą.

— Niepotrzebnie pan uciekasz, panie Jerzy — szepnęła mi raz do ucha — atakuj śmiało, jeżeli ufasz swojemu sercu, Czytałam w twoich oczach; jakoś uparcie gdzieś się zwracają... Atakuj, forteca bez warty, to ja wiem.

Innym razem, patrząc na nas znacząco, mówiła:

— Dobrze będzie, nie bójcie się dzieci, nie bójcie... Nie należy tak mało zawierzać sobie.

To znów, stawiając przed nami lampę wieczorem w salonie, ozwała się:

— Zaręczam, że znowu czytać będziecie. Uważałam, że to już wam takiej przyjemności nie

sprawia .. Pogawędźcie sobie trochę, pogawędźcie, a ja tam jeszcze rachunek ze Szczepanową w kuchni zrobię.

A odchodząc dodawała:

— U młodych to tak: dziś zamyślenie, a jutro radość...

Nie wiedziała wcale, że nić łącząca mnie z Cezaryną, miała barwę czarną.

Widocznie jednak oczekiwanie nużyło ją.

Rozpytywała o moje stosunki z moją matką, o to, jakie mam bliższe zamiary na przyszłość; napomykała, że Michaś wkrótce wyjeżdża, więc zapewne i moje wakacye niedługo się kończą; dziwiła się, że wciąż jeszcze godzinami całemi przesiaduję z książką w moim pokoju.

Nie wyciągnęła jednak odemnie szczerego wyznania; dawałem jej na wszystko odpowiedzi nieokreślone. Nie czyniłem tego przez wyrachowanie; wprost nie umiałem z nią mówić otwarcie „o tych rzeczach", nie byłem zdolny spojrzeć na swój stosunek z Cezaryną z praktycznego stanowiska.

Jak niepokoiło panią Olszewską to oczekiwanie, wniosłem ze słów Michasia, które szepnął mi na odjezdnem:

— Ciocia mówiła mi, że pan masz zamiar wziąć naszą Cezarynkę. Winszuję panu i pozostawiam mu dwie rady; od siebie: pozbaw pan kuzynkę teraźniejszego jej „rozanielenia", bo to

mdli; a od cioci: „nie marudź pan". Kazano mi to panu parę razy powtórzyć. Ciocia nie pojmuje pańskiego zwlekania.

Potem udał się do saloniku, a żegnając się z Cezaryną, powiedział bardzo głośno, jakby pragnął być usłyszany:

— Mało z wami przebywałem, to prawda, ale na usprawiedliwienie moje przyznajcie, żeście nie bardzo zajmujący ludziska. Nie macie za grosz charakteru. Ten twój Jerzy jest takiż mdły z przeproszeniem, jak ty... Dobraliście się znakomicie. Żywię przeto nadzieję, że wszystko jest na jaknajlepszej drodze.

Tak, wszystko było na jaknajlepszej drodze, i już nawet weterynarz, spotykając się ze mną, parę razy otwierał usta i zaczynał mi winszować:

— Od pana Michała przed jego wyjazdem przy piramidce słyszałem... Czy można już powin...

Ale patrzyłem na niego zawsze tak surowo, że ostatnie słowo zamierało mu w gardle; żegnał się ze mną i odchodził tak pośpiesznie, jak gdyby wściekły pies za nim gonił.

XIV.

Dzień był dżdżysty; powietrze przesycone wilgocią; niebo szare. Leżałem na łóżku, z wlepionemi w sufit oczyma, targany niemą rozpaczą. Od przedwczoraj nie wychodziłem z mojego pokoju, nie widziałem jej.

— Po co, na co do niej pójdę? Czy ona mnie teraz widzi? czy ona mnie słyszy? Jak nędzny robak, bez głosu, leżę przy jej stopach, a ona nie ma dla mnie nawet tyle litości, ażeby zadeptać mnie nogą; nie zważa na mnie: jestem, to jestem; nie, to nie! Nie pójdę tam, nie pójdę. Będę leżał na łóżku, chodził po pokoju, ale nie wyjdę... Może mnie sobie przypomni i przyśle po mnie...

Szczepanowa zapukała do mojego okna:

— Panie, panie Myrsza, panienka tak płacze...

— Gdzie panienka? — zapytałem drżącym głosem, zrywając się z łóżka.

— Siedzi na końcu ogrodu i płacze... Aż się serce kraje... Ja tam kopałam kartofle i widziałam.

— A gdzie pani Olszewska?

— W kuchni z Marysią... nie wie nic... nie

mówiłam tam... Mnie się jakoś wydaje, że panicz panienkę lepiej uspokoi...

Poszedłem. Zastałem ją siedzącą na ławce z głową przechyloną przez poręcz. Dostrzegła mnie. Połknęła łzy, chciała się uśmiechnąć, ale twarz miała mokrą, głos nabrzmiały płaczem.

Usiadłem przy niej, wziąłem jej ręce w swoje i patrzyłem smutny w jej twarz

— Płakałaś?..

— Nie... nie, nie — wyjąkała.

— Płakałaś... Ileż ja cię łez kosztuję!..

— O, to nic... to nic... te łzy są mi potrzebne. Teraz mi jest lepiej, o wiele lepiej... Dlaczegoś ty, Jerzy, nie przyszedł przez dwa dni?

— Przychodziłem w ostatnich czasach na krótko, na bardzo krótko. Nie śmiałem długo siedzieć. Tyś mnie nie zatrzymywała.

— Tak, to prawda, to moja wina... Nie zatrzymywałam cię... Ale tyś nie zapomniał o mnie?.. Nie?..

— Pamiętam ciągle myślałem tylko o tobie... Myślałem, żeś ty o mnie zapomniała zupełnie. Powiedz mi, gdzie ty teraz jesteś myslami.

— Ja nie wiem sama... byłam jakby w śnie... Ale o tobie pamiętałam zawsze... Czułam, jak wchodziłeś... czułam cię przy sobie... chciałam, abyś był... Odchodziłeś; nie mówiłam nic... nie mogłam... Wiedziałam, że jutro przyjdziesz tak

samo, i byłam spokojna .. To był jakiś sen, sen przyjemnie-smutny, sen bez obrazów. Teraz to już przeszło...

— Czemu przeszło?

— Wczoraj nie przyszedłeś wcale; dziś nie przyszedłeś... To było za długo. Zaczęłam uczuwać brak, pustkę... Z początku nie wiedziałam dlaczego... Potem długo patrzyłam na drzwi salonu i czułam, że to tam, tam w tych drzwiach... Tam brakowało czegoś... Potem odrazu uczułam ból w piersi... I nagle zrozumiałam, że ten brak pochodzi ztąd, żeś ty nie wszedł tamtędy tak dawno...

Nie wiem dlaczego wstałam i przyszłam tutaj do ogrodu. Potem ciągle mi się zdawało, że ty jesteś tutaj. Chodziłam po wszystkich alejach ogródka, szukając cię. Zdawało mi się, że ty zawsze jesteś w jakiejś innej alei; chodzisz smutny i szukasz mnie także. Ogródek taki malutki, a my nie możemy się spotkać. Chciałam płakać, ale nie mogłam; tak dawno nie płakałam, że zapomniałam, jak to się płacze. Zrobiło mi się okropnie przykro, że nie umiem płakać i z tego łzy mi się polały... Teraz mi już lepiej, daleko lepiej... Teraz już nie śpię...

Łamała mnie swojem opowiadaniem. Wydawała mi się sonnambulistką. Przerażała mnie. Łzy mi ciekły po twarzy, kiedym ją słuchał.

— A, ty płaczesz, Jerzy... Ja nie chcę, żebyś ty płakał... Ja ciebie dręczę; ty cierpisz... A, dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś ty nigdy ze mną się nie spotkał. Miałeś słuszność; mówiłeś, że serce twoje rozbite, że nie wytrzyma drugi raz potęgi miłości. Tyś tak głęboko kochał kiedyś i oszukany zostałeś!.. Zranionem sercem pokochałeś mnie... To ja winna jestem wszystkiemu.

— Nie mów tak... nie tłomacz mnie...

— O tak, tak, dla ciebie byłoby lepiej...

— Nie, dla ciebie, dla ciebie, byłoby lepiej...

— Dla mnie?.. Może i dla mnie... Uschłabym spokojnie... byłam już na tej drodze... Spadałam tak powoli w przepaść, że się do tego już przyzwyczaiłam...

Nagle rozpłakała się znowu, mówiąc:

— Mój biedny ojciec! mój biedny ojciec! jak ja o nim zapomniałam!.. A on tam samotny dogorywa... Niema przy nim żadnej ręki, która mu oczy zamknie, niema nikogo, ktoby parę słodszych słów powiedział biednemu waryatowi.

Zacząłem ją pocieszać; przy nim jest przecie siostra miłosierdzia, Emilia.

Słaby promień radości zaświecił przez łzy w jej oczach, kiedym opowiadał o serdecznym stosunku zakonnicy do obłąkanych, o troskliwości, jaką im okazywała, o łagodności, z jaką przemawiała do nich.

— Wiesz, Jerzy — rzekła nagle poważnie— właściwie to nie siostra Emilia, ale ja powinnabym znajdować się przy łóżku ojca. Mnie się zdaje, że ja też umiałabym mówić z obłąkanymi, ująć ich szalone serca. Mnie byłoby nawet dobrze między tymi nieszczęśliwymi. Wiedziałabym, że życie moje przynosi komuś ulgę, że jestem pożyteczna...

Zapanowało długie milczenie.

Nagle żywo zwróciła się do mnie.

— Słuchaj, Jerzy, mówiłam ci przed chwilą, że w ostatnich dniach byłam, jakby we śnie... Tak, ale w śnie tym pomimo woli snuły mi się dziwne myśli... Przed chwilą jeszcze wydawały mi się one nieokreślonemi, a teraz, nie pojmuję, jakim sposobem, zdaję sobie z nich zupełnie jasno sprawę. To, co było we mnie nieświadomem, obecnie rozumiem głęboko. Słuchaj: myślałam o twoim charakterze. Wiesz, Jerzy, czem ty jesteś?

Słuchałem z żywem natężeniem uwagi.

— Tyś jest wcieleniem tego naszego nerwowego wieku, z którego i ja otrzymałam tyle rysów... Wiek nasz kończy się, jak zaczął, nie, gorzej jeszcze; bo więcej poznał, bardziej zesceptyczniał, bo się zestarzał w zwątpieniach. To już nie dziki, miotający się śród burz duchowych Manfred, ani sentymentalny, nieszczęśliwie rozkochany Werther. Nie, to już jest chory, filo-

zofujący o własnej śmierci, szydzący z melancholii Werthera, z namiętności Manfreda, szydzący z siebie, wiek, którego myśl przegryza samą siebie, który wszystkiemu zaprzecza i wszędzie widzi zagadki.

Ty, Jerzy, twoja umysłowość — to ucieleśnienie tej myśli, rozdwajającej się wiecznie. Ty masz napięte nerwy naszego wieku, łaknące wrażeń, a nie wytrzymujące ich; ty masz jego mózg, pełny wizyj, z których sam szydzi, nierealny, acz pragnący czegoś pozytywnego... O, tak, w tym fatalnym kierunku rozwija się nasz wiek po kilku dziesiątkach lat, podczas których wierzył w materyalne dobra, w swoją naukę, w postęp, w ideę wolności...

Słuchałem tych słów z głębokiem zdumieniem: jak ona to wszystko wyznała, jak dziwnie obmyśliła! Umysł jej rozwinął się jeszcze silniej w ostatnich tygodniach pod wpływem tej walki myśli, którą prowadziła ze mną. Ale w tem, co mówiła, widziałem nie wynik li tylko pogłębionej umysłowości, ale jakiejś niepojętej dla mnie intuicyi.

— Tak jest! ty mnie rozumiesz, a raczej odczuwasz, Cezaryno, bo i ty masz wiele z naszego wieku. Ale tyś jego najlepszą, najidealniejszą cząstką; tyś jest wcieleniem uczuciowości, wrażliwości naszego wieku; ty odczuwasz jego niedolę, gdy mnie dręczą jego zagadki.!. Tyś

podniosłą, szlachetną duszą, której obraz mógłby podźwignąć z błota tysiące skalanych i wynędzniałych i zmusić ich, aby uznali piękno, prawdę i miłość!.. Ale mnie, mnie nie może podnieść, bo we mnie już niema woli, niema woli życia, jak niema jej w naszym wieku... I ty już jej nie masz także, Cezaryno!

— Wpadliśmy w kwiecistość... Bawimy się w alegorye — rzekła ze smętnym uśmiechem. — Kiedy już porównywać, to porównywajmy. Wiesz Jerzy, do czego porównałabym naszą miłość? Jak grzyb wyrosła śród deszczu, w cieniu leśnym... ale to grzyb straszny... to, zdaje się, muchomor... O, trucizna we mie i w tobie...

I przechyliwszy głowę na moje piersi, załkała boleśnie.

— Cezaryno, pociesz się, pociesz...

— Tak, ja się pocieszę... pocieszę... Czem się pocieszę?.. Jerzy, powiedz, może i nam jeszcze słońce zabłyśnie, może przedrze się jeszcze przez te gęste liście, które tak żałobnie szumią nam nad głową... O, muchomor! muchomor!.. Powiedz, czy błyśnie słońce, czy błyśnie?.. Ja się tak męczę; okłam mnie...

— Może — odrzekłem posępnie.

W tej chwili od domu doleciało wołanie jej matki:

— Cezarynko! pójdźże moje dziecko! zimno!

— Idę, mamo, idę — odkrzyknęła.

Otarła łzy pośpiesznie i starała się przybrać weselszy wyraz twarzy.

— Żegnaj. A, Jerzy!.. starajmy się zmienić... trochę dobrej woli... troszeczkę... Może jeszcze...

W głosie jej drgał ból...

Uścisnąłem jej mocno dłoń, ciężko wzdychając. Patrzyłem na nią, póki nie znikła w sieni domu. Potem padłem bezsilnie na ławkę i, załamując ręce, zawołałem:

— Zmienić się, zmienić się, niepodobna. Niema we mnie tej dobrej woli ani odrobiny! Jestem przegniły moralnie!

Siedziałem długie godziny na miejscu, a łańcuch bólu skrętami swojemi coraz szerzej opasywał mi duszę i wżerał się w nią swojemi ogniwami. Rozpacz zaciemniała myśl moją, nie dozwalała mi rozumować.

Przedmioty w wyobraźni mojej utracały realne swoje kształty: ja i Cezaryna byliśmy teraz już nie ludźmi, ale jakiemiś olbrzymiemi symbolami myśli i uczucia wieku. Łączył je nie stosunek miłości, ale nieuchwytna, przyciągająco-odpychająca moc.

Myśl przeżerała siebie samą, uczucie udręczało siebie. Uczucie nie miało krwi do ożywienia myśli; myśl robiła sobie igraszkę, zabijała uczucie powoli.

A tu i tam świecił jakiś straszliwy brak; nie

było woli, nie było jej nigdzie. Wola, zda się, oszalała: zamknięta była w murach szpitalnych, a paraliż znęcał się nad nią i pchał ją do mogiły... I dlatego uczucie przechodziło w apatyę, a myśl przenikała się gangreną; dlatego te dwa olbrzymie symbole, przyciągając się i odpychając, nie mogły nigdy połączyć się i w męczarniach zawieszone były w przestrzeni.

A przestrzeń tę widziałem przed sobą. Była szara, niezmierna... tylko pozornie kończyła się zachmurzonem sklepieniem nieba; bo chmury rozwierały się, rozchodziły, łamały się, i tu lub owdzie na ciemno niebieskiem tle na chwilę migała blada gwiazda; potem chmury łączyły się na nowo i gwiazda przepadała we mgle.

Mrok już zapadł. Wieczorny chłód począł mnie przejmować. Czułem zimny dreszcz w całem ciele. Wstałem i powoli poszedłem do domu.

XV.

— Tak, nasza miłość to muchomor! — mówiłem, chodząc szerokiemi krokami po ciemnym pokoju, od jednej ściany do drugiej. — I to ja ją uczyniłem muchomorem, ja zatrułem tę roślinkę... Ja! ja! ja!..

Co ja uczyniłem z tą anielską istotą?.. Znęcałem się nad nią, szarpałem jej serce, wlewałem w nią jad, a ona to wszystko znosiła. Szła za mną, jak się idzie za pogrzebem drogiego człowieka. Jak ona teraz wygląda! To cień jakiś, to duch, to mój wieczny wyrzut!..

Jak ja odkupię moje winy?.. I czy je odkupię? Może zawsze będę ją tak szarpał... tak dręczył.!. Taki mam już charakter...

Okropny to będzie związek... A przecież kiedyś nastąpić musi... Trzeba będzie raz już powiedzieć Olszewskiej...

Nie! nie! nie!.. ja tego powiedzieć nie mogę... Nie mogę prosić, aby dała mi córkę na wieczne tortury... Nie mogę połączyć się ślubnym węzłem z moim wyrzutem sumienia... Ani ona, ani ja nie znajdziemy w tem wcale szczęścia...

Wzrok mój padł nagle na dwie samoświecące plamy na ścianie.

To były fosforycznie błyszczące oczy Olszewskiego. Mrok nie dozwalał rozejrzeć ani jednego rysu twarzy. Nie wyobrażałem sobie w tej chwili Olszewskiego, ani takim, jakim go przedstawiał portret, ani takim, jakim go widziałem w szpitalu, ale te dwa samoświecące punkty przejęły mnie dreszczem. Rozumiałem jedno, że to są oczy jej ojca, że patrzą na mnie surowo. Jakiś abstrakt ojcowstwa zdawał się czynić mi gorzkie wyrzuty:

— Czegoś ty chciał od mojej córki?!.. Czyś pragnął zapędzić ją do szpitala waryatów, co? Dlaczegoś ty stanął na jej drodze?! Leczyłeś ją, ha?! Ona i bez ciebie z czasem otrząsnęłaby się z tej melancholii. Ażeby leczyć, trzeba samemu być zdrowym. Ty zarażasz swoją chorobą! Ty nie chcesz być zdrowym!

— Nie, nie mogę, nie mogę, nie mam siły— wołałem, chwytając się za włosy; zakrywałem oczy rękoma, biłem głową o mur.

A głos jakiś zdawał się mówić dalej:

— Co masz zamiar uczynić? Będziesz czekał, aż ona oszaleje, lub umrze?

— Ach, tak, tak, ona może oszaleć... Ona już teraz taka dziwna... A jeżeli nie oszaleje, to umrze: niknie w moich oczach... Nie, nie, czekać nie można!.. Ja będę winnym...

— Więc jakże? Cóż uczynisz?!

Z załamanemi rękoma runąłem na łóżko i łkając wyszeptałem:

— Wyjadę!..

Ta myśl przebłyskiwała już czasami w mojej głowie, ale powstawała tam tylko przelotnie; nie liczyłem się z nią nigdy, nie brałem jej na seryo. Żyłem długie tygodnie z dnia na dzień, niezdolny do żadnej myśli, którą potrzeba wykonać w praktyce. Tak dalece płynąłem z prądem, że nie myślałem nawet o blizkim końcu wakacyj. Nie wiedziałem nigdy, jaką datę mamy, było mi to wszystko jedno. Wierzyłem, że wyjazd mój nastąpi kiedyś sam przez się.

I oto teraz pod wpływem miotających mną wzruszeń moralnych, myśl ta zarysowała się w mojej świadomości jasno i stanowczo.

Nie było tu decyzyi woli, tak jak się ją zazwyczaj rozumie: zamiar mój nie był wynikiem rozważania wszelkich „za" i „przeciw", rachunek bowiem tak czy owak przedstawiał przyszłość jednakowo ciemną: związek z Cezaryną i zerwanie z nią, jedno i drugie wydawało się zarówno fatalnem dla obojga! Nie wybrnąłbym nigdy z labiryntu sprzecznych rozumowań, na mocy chłodnego rozbioru nie umiałbym nic postanowić.

Ale w pewnej bolesnej chwili, gdy wyobraźnia przedstawiła mi tragiczny rozwój obecnego położenia, przerażony uchwyciłem się myśli wyjazdu. Wyjazd był zmianą, był inną sytuacyą,

której grozy jeszcze nie odmalowałem sobie, był pozornem wybawieniem z błędnego koła, w które los mnie wepchnął. A skoro raz jasno zarysowała się we mnie myśl o wyjeździe, natychmiast nabrała ona rozkazującej mocy.

Od tej chwili poczęła, że tak powiem, magnetyzować moją wolę. To nie ja zdecydowałem się na wyjazd; ja go tylko pomyślałem; myśl moja stała się zamiarem: nie rozjaśniam tej zagadki, analizuję tylko stan psychiczny.

Teraz napływały mi właśnie do głowy wszelkie argumenty przeciw wyjazdowi. Ale jakem powiedział, byłem już zamagnetyzowany: musiałem wyjechać! To też głuchy byłem na wszelkie głosy, przeciwne tej konieczności. Egoizm mój, rozsądek, nawet miłość dla Cezaryny, wszystko to teraz pomagało mi odpierać owe zatrzymujące mnie głosy, bronić się przed niemi, bądź słusznemi zasadami, bądź sofizmatami, które miały dla mnie pozór słuszności.

A głosów tych było cztery: jej ojciec, patrzący na mnie ze ściany fosforycznemi oczyma, jej matka, która zawierzyła mi to biedne dziecię, ona sama, kochająca mnie całą potęgą miłośći, a wreszcie ja sam-po części.

Gdym runął na łóżko, ze łkaniem szepcząc: „wyjadę!”, głosy te poczęły wołać na mnie:

— Nikczemny! uciekasz, uciekasz, pozostawiasz ją na łup jej tęsknocie, jej rozpaczy... Przy-

prowadziłeś ją z zamkniętemi oczyma na brzeg przepaści, a teraz oddalasz się... Dlaczego nie chcesz walczyć ze sobą, zmienić się dla niej? Zawiniłeś strasznie przed tą dziewczyną!

— Nie mogę się zmienić, nie, nie, nie! Urodziłem się takim i takim umrę! Wyjeżdżam, bo nie chcę, aby oszalała albo umarła przy mnie i przezemnie.

— Chcesz, aby oszalała lub umarła bez ciebie? Bo to już i tak stać się musi. Pragniesz oszczędzić sobie przykrego widoku. Nikczemny!

To uczucie wstydu wewnątrz mnie mówiło tak do mnie. Ale egoizm mój odpowiadał:

— Nie, jak mnie nie będzie, ona nie oszaleje, ani nie umrze... Obecnością moją właśnie spycham ją w przepaść. Trzeba, trzeba wyjechać! Dla niej to lepiej i dla mnie.

Potem poczynałem w myśli prowadzić formalne rozmowy z jej ojcem:

— Nie, nie, ja nie chcę zapędzić do szpitala twojej córki. Ja właśnie dlatego wyjeżdżam. Zresztą ten związek jest zbrodnią. Ty to przecie rozumiesz. Twoja żona mówiła mi, żeś nie szukał nerwowej kobiety, boś się obawiał przekazać kompleksyę swoją przyszłym dzieciom. I teraz może jedynie dzięki temu córka twoja otrzymała pewne zadatki zdrowia, które ją ocalą, gdy mnie tu nie będzie. Gdybym został, spotęgowałbym

tylko jej nerwowość. Tak, tak, uciekam tylko od zbrodni i od nieszczęścia. Nie chcę sprzęgnąć dwóch starganych nerwowych systematów. Co to byłoby za małżeństwo! Jakieżby ono wydało dzieci! Ja nie powinienem się żenić... ja nie jestem zdrów... mają słuszność ci, którzy mi to mówili... Tamten człowiek w wagonie nie mylił się... Zresztą ja nie jestem pewny zdrowia swojego umysłu... Ją i siebie popchnąłbym do szpitala... Muszę, muszę wyjechać! To dla nas obojga lepiej!...

Ojciec wydawał mi się uspokojonym; obecnie stawała w wyobraźni mi jej matka. Jej łagodna twarz zmarszczyła się surowo, oczy błyszczały oburzeniem i żalem:

— Odjeżdżasz? porzucasz moją córkę? Dlaczegoś tego wcześniej nie uczynił? dlaczegoś zwodził ją tak długo?.. Czemuś pozwalał mi łudzić się nadzieją? Dlaczego, gdy dawałam ci poznać, że pragnę waszego połączenia, nie powiedziałeś otwarcie: „nie jest to moim zamiarem“. To było twoim obowiązkiem... Nie spełniłeś go...

Rzucałem się na łóżku, zatykałem uszy, jak gdyby głos ten dochodził mnie zzewnątrz. Tłómaczyłem się:

— Tak jest, powinienem był to uczynić... Ale ja sam nie zastanowiłem się... Nie spojrzałem nigdy na ten związek ze strony praktycznej... A przecież on żadnego sensu niema... Zastanów

się pani sama... Co wy macie? Ogródek, obdłużony dom... A ja czem jestem?... Niczem... Półtora roku jeszcze muszę studyować, ażeby sobie jaki taki byt zapewnić... Będę pewnie kiepskim doktorem... Ten związek to nędza... Dziwię się, jak tego dotąd nie widziałem, ale pani, matka, powinna byłaś to widzieć... uprzedzić mnie...

Zdawało mi się, że się zgadza, że uznaje, iż była nierozsądną, zezwalając na ten związek.

Ale tu dwoje rąk oplatało mą szyję; melodyjny głos błagał mnie:

— Jerzy! Jerzy! zostań... Wiesz, jak cię kocham; wiesz, że cierpliwie znoszę wszelkie męczarnie od ciebie; przyzwyczaiłam się do twoich nierozsądnych wyrzutów; nie skarżyłam się nigdy na ciebie; mam niespożytą siłę cierpienia w sobie, pókiś ty przy mnie. Bez ciebie uschnę... Com ja zawiniła, że mnie porzucasz... Jerzy, Jerzy, zostań... Nie odbieraj mi słodkiej trucizny twojej miłości; ja nią żyję...

Serce mi się krajało, łzy mnie dusiły!

— To dla twojego szczęścia, to dla twojego szczęścia... Zapomnisz mnie... Po takim człowieku, jak ja, pocieszysz się... Nie bój się, przeżyjesz to, uspokoisz się. . Jak wyjadę, może będziesz jeszcze szczęśliwą... Na co ci ten muchomor?.. po co?!.. Muszę, powinienem wyjechać. Żegnaj mi, żegnaj na zawsze.

Okropny płacz wstrząsał mną, męczył mnie; nigdy w życiu nie płakałem jeszcze takiemi gorzkiemi łzami; wszystkie uczucia moje przetopiły się na te łzy.

— A, gdybym mógł zostać... gdyby mi było wolno... Gdybym był tym zdrowym, silnym człowiekiem, za jakiego ona mnie miała!.. Całe życie poświęcić jej, przeleżeć u jej stóp, budząc uśmiech w jej cudnych, czarnych oczach, co to za rozkosz, co to za szczęście... Ale ja już nie potrafię zbudzić jej uśmiechu... Trzeba, trzeba wyjechać...

— A, odjechać od niej!.. Jakaż pustka teraz mnie otoczy... chłodny wiatr zawieje wkrąg mnie... Nigdy szczęścia już nie zaznam .. Wiecznie, wiecznie tęknić za nią będę... Ja ją kocham, kocham dziwnie, truję ją, męczę... ale kocham... Ach, gdybym mógł tu zostać... Co się teraz stanie z mojem sercem?..

Cóż to?!.. Ja śmiem płakać nad sobą... Tak, tak, teraz nad sobą płakałem... Precz ze łzami... Powinienem ukamienować własne serce!.. Jeżeli co błąd okupić może, to tylko przyszłe moje męczeństwo... Wyjeżdżam! Tysiące powodów nakazuje mi to uczynić... Z jakiejkolwiek strony rozpatruję ten związek, widzę zawsze i wszędzie fatalne następstwa... Wyjeżdżam!..

Łzy oschły na moich powiekach. Opanowa-

ła mnie niema rozpacz. Powstałem z łóżka. Postanowienie moje wydawało mi się teraz wynikiem tysiąca najpoważniejszych pobudek. Czyniłem je jakby pod wpływem głębokiej rozwagi: tak nakazywała mi postąpić miłość dla niej, tak nakazywał postąpić i mój egoizm. W danej chwili wydawało mi się, że nawet pierwsze z tych uczuć znacznie przeważa w mojej decyzyi; dziś, gdy to piszę, z boleścią widzę, że egoizm mój wówczas grał bezwątpienia górującą rolę: uciekałem od bólu, który znałem, do bólu, którego jeszcze nieznałem; liczyłem, że ten nowy ból nie będzie tak silnie mi dolegał. Gdyby nie ten egoizm, nie uspakajałbym się tak łatwo, że Cezarynie nic się nie stanie po moim wyjeździe; gdyby nie egoizm, walczyłbym jeszcze z moim charakterem; gdyby nie egoizm, czekałbym ranka i pożegnałbym się z nią i wytłómaczyłbym jej sam, czemu wyjeżdżam.

Ale obawiałem się, że ona zniszczy moc mego postanowienia. Chciałem już nie oddalić się, ale poprostu uciec, i to jeszcze tej nocy. Wiedziałem, że pociąg do Warszawy wyjeżdża o godzinie wpół do czwartej nad ranem. Furmankę łatwo mogłem dostać; potrzebowałem tylko udać się do zajazdu i rozbudzić znajomego mi żydka.

Z tem wszystkiem niepodobna było tak uciekać, nie pozostawiając ani żadnego wyjaśnienia, ani wyrazu pożegnania.

Zapaliłem świecę. Postanowiłem napisać do niej długi, szeroki list, któryby wyjaśnił jej przyczyny mego wyjazdu. Ale com zaczął list, tom podarł: byłem niezdolny do wyrażenia tego mnóstwa uczuć i myśli, które mną miotały; wydawało mi się, że każdy wyraz, który piszę, kłamie.

Nareszcie porwałem ze stołu małą karteczkę i skreśliłem tylko kilka następujących słów, ten dziwaczny list:

„Cezaryno! Nie śmiem nazywać cię najdroższą... Odjeżdżam... Jestem podły... nie jestem godzien ciebie... Nie byłabyś nigdy ze mną szczęśliwa.. Nie umiem opisać, co się ze mną dzieje, lecz mniejsza o to... Jestem podły... Ale nie chcę cię dręczyć dalej... Nie zapomnę cię nigdy, nigdy, nigdy... A ty zapomnij o mnie na zawsze... Bywaj zdrowa.. Gdybyś wiedziała, co ja teraz czuję... Zapomnij o mnie... Czasami jednak wspomnij o mnie... choć wiem, że nie zasługuję na to... Kochać cię będę wiecznie, daleki i zapomniany przez ciebie.

Nie twój, na szczęście twoje

Jerzy Rymsza“.

Obok tego listu pozostawiłem drugi jeszcze do pani Olszewskiej, krótszy i dziwaczniejszy:

„Szanowna Pani!

„Żegnam Panią, dziękuję za wszystko, nie śmiem prosić o przebaczenie, zawiniłem strasznie, córka wszystko wyjaśni; nie wierz jej pani, jeżeli będzie mnie broniła. Muszę wyjechać.

„J. R.“

W kopercie załączyłem należność za kończący się trzeci miesiąc. Następnie pośpiesznie zapakowałem rzeczy; nie było tego wiele; zabrało mi to pół godziny czasu! Potem na palcach, jak złodziej, wyszedłem z mieszkania, wynająłem bryczkę i kazałem jej podjechać trochę zdala od domu.

Furmana wprowadziłem ostrożnie do mieszkania, zalecając mu, aby nikogo nie obudził. W największej cichości wyniósł moje rzeczy.

Wówczas nie usiadłem, ale rzuciłem się wprost na bryczkę i z oczyma, pełnemi łez, wyjechałem z tych miejsc, gdzie doznałem tylu rozkoszy i tylu bólów, gdzie poznałem najidealniejszą istotę pod słońcem.

W oknach było ciemno... Cezaryna spała... Uciekałem od tego domu, jak gdybym spełnił tam zbrodnię...

Przez całą drogę okropny obraz dręczył moję wyobraźnię: wydawało mi się ciągle, że jakaś blada, wiotka postać chwyta palcami za szprychy kół, chce gwałtem zatrzymać bryczkę, a później

pociąg: koła ją wloką, przechodzą po niej, miażdżą to drobne ciało, a ona wciąż powstaje i znowu walczy, i znowu koła przechodzą po niej...

XVI.

Czy to było życie ten szereg dni i nocy, który potem dla mnie nastąpił, dni, spędzanych na gorączkowej, wyczerpującej pracy, nocy, upływających na rozmyślaniach, na tysiąckrotnem przewałkowywaniu wspomnień tych kilku ostatnich tygodni?... I to trwało półtora roku!

Ileż to razy książka wypadała mi z rąk, z przerażeniem rozglądałem się po nagich ścianach wązkiego mojego pokoiku i załamując ręce, wołałem w bezsilnej rozpaczy:

„Sam... sam... jestem znowu sam! Jakem mógł, szalony, ją opuścić! Com ja uczynił ze sobą i z nią!“

Ileż razy zrywałem się, aby do niej jechać, paść przed nią na kolana i przywrócić dawne stosunki.

— Ale teraz, czy to podobna?.. Potem jak ją tak haniebnie opuściłem, rzucając ją na łup

trawiącej potędze jej miłości?.. Teraz wrócić?!.. A może już uleczona, może zaparła się mnie... Mamże prawo burzyć po raz wtóry spokój jej serca?.. Gdzież pewność, że teraz będę inny?!.. A jak ona mnie przyjmie?.. może chłodno, może dumnie, może wskaże mi palcem drzwi... tak, tak, powinna to uczynić... A jej matka?.. czyż ona dopuści mnie teraz do swojego dziecka, kiedym temu dziecku serce poszarpał... Trzeba znosić cierpienia miłości, gdym odtrącił sam jej rozkosze...

Dopiero zdaleka od niej czułem, jak mocno ją kochałem. Po wyjeździe, być może, pokochałem ją jeszcze goręcej. Należałem do kategoryi tych ludzi, którzy potrafią ocenić wartość przedmiotów dopiero wówczas, kiedy im los je wydrze... a losowi temu często pomagają sami... Czułem teraz potrzebę posiadania przy sobie takiej czującej i rozumnej duszy, jaką posiadała ona... Nie wmawiałem już w siebie, że miłość moja była słabą, że pochodziła li tylko z próżności. Wiedziałem tylko, że wrosła ona głęboko w moje serce, i że nie mogło być inaczej.

— Trzebaby być idyotą — mówiłem sobie teraz — żeby módz się nie zakochać w tej idealnej istocie... Jakżeż rzadko spotkać można podobną w tym tłoku pospolitych, prozaicznych ludzi uganiających się za przyjemnostkami, bezmyślnie przechodzących około piękna natury, bez

wrażenia mijających niedolę! Takich jak ona nie spotyka się na każdym kroku: to meteor rzadko przelatatujący drogę życia; to skarb, leżący na bezmiernem, szarem polu... Jakżeż mogłem go porzucić!

I zmysłowe wrażenia grały tutaj niemałą rolę. Teraz potrzebowałem bardziej, niż kiedykolwiek, ucałować te drobne usteczka, spojrzeć w te dyamentowe oczy, podziwiać rzeźbione rysy i przecudne białe lica...

Nie było, nie było jej przy mnie! Ręce moje chwytały pustkę, wargi poruszały się jakgdyby w próżni, oczy trafiały na przedmioty obojętne. A, gdyby ją raz jeszcze zobaczyć... na minutę, na sekundę, ażeby lepiej utrwalić w wyobraźni swojej tę twarz, co mi się rozpływa we mgle wspomnień...

Nie wiedziałem, co się z nią stało, ale odrzucałem z trwogą myśl napisania listu do Niemirówki do kogokolwiek z zapytaniem o nią. Rzecz dziwna, pozornie byłem o nią spokojny: nie myślałem już teraz, że dotknął ją obłęd, lub śmierć zabrała z powodu moralnego wstrząśnienia, którego musiała doznać, dowiedziawszy się, żem ją opuścił.

Moja miłość kazała mi teraz wierzyć, że tej, którą kocham, nie mogło przytrafić się żadne nieszczęście. Egoizm uspakajał moje sumienie: nie, nie jestem takim winowajcą; nie zabiłem jej, nie

przyprawiłem o szaleństwo; odczuła mój wyjazd, to pewna, ale musiała się pocieszyć. Najdzielniej jednak w tem uśmierzeniu niepokoju pomagał mi wyrabiający się we mnie obecnie „zmysł medyczny”, przedtem zaciemniony całkowicie przez wstrząśnienie morale w chwili mojego wyjazdu z Niemirówki. Szpitale przedstawiały mi ludzi, chorujących i umierających zawsze pod wpływem czynników fizycznych. Z miłości nie umiera się tak prędko! Co się zaś tyczy szaleństwa, to zarówno jak nigdy nie można twierdzić napewno, że najzdrowszy umysł wiecznie takim pozostanie, tak z drugiej strony wszelkie przypuszczenia, iż ktokolwiek musi w przyszłości zwaryować, nie mają żadnej podstawy realnej.

Od dawnej melancholii Cezaryny do melancholii waryata może być bardzo daleko; zdenerwowanie nie przechodzi musowo w obłęd; nieszczęście nie wichrzy równowagi umysłu w tysiącach i setkach tysięcy wypadków; nawet predyspozycya dziedziczna może nas tylko łudzić. Chłodniejsza rozwaga pouczała mnie nareszcie, że w Cezarynie były znaczne zadatki zdrowia, przekazane jej, zda się, przez matkę; gdyby nie to, nie udałoby mi się wyrwać jej z pierwotnej apatyi, nie mogłaby mnie nawet pokochać tak silnie.

Byłem więc pozornie spokojny co do stanu Cezaryny. Powiadam „pozornie”, bo czułem do-

brze, że rzeczywistość mogła zaprzeczyć najlogiczniejszym nawet rozumowaniom i dlatego to... nie pisałem listu do Niemirówki. Wolałem niepewność nad możliwość otrzymania wiadmości o katastrofie.

Z tem wszystkiem głęboką ranę nosiłem w piersi. Nie było sposobu o niej zapomnieć. Nie probowałem tego nawet. Od towarzystw stroniłem jeszcze bardziej; gwar koleżeńskich pohulanek przerażał mnie poprostu; od kolegów odsunąłem się teraz zupełnie. Nazywano mnie dziwakiem, odludkiem, a wkrótce przestano zwracać na mnie uwagę. Nadewszystko miłą mi była samotność; żyłem w niej moim bólem i przyzwyczajałem się doń powoli, lubiłem go nawet i skutkiem tego mniej cierpiałem.

Ale w samotności był mój ratunek. Z początku w tem odosobnieniu od wszystkich przebłyskiwała mi nader często myśl o samobójstwie, której rozwojowi właśnie najbardziej sprzyja samotność. Ona jest atmosferą ludzi, obdarzonych samobójczym popędem.

W sobie samym, po za instynktem samozachowawczym, nadspodziewanie znalazłem siłę odporną. Poszarpać serce Cezaryny i uciekać od bólu, od wyrzutów sumienia, zdeptać własne szczęście i nie chcieć znosić konsekwencyi swojego postępku, było to rozwiązanie, na które wzdrygałem się nawet ja. Zdawało mi się, że sumienie

moje przeżyje mnie. Lecz i pozostawać nadal takim, jakim byłem, rozkładać się moralnie, wiecznie uczuwać nędzę swoją, czuć, że w istocie nie było się godnym tego szczęścia, które się odrzuciło, nie, to również jest niepodobieństwem. Nie będę nigdy już szczęśliwym — z tem mogę się pogodzić, ale nie mogę zstąpić do grobu, w ostatniej chwili czując, że szczęścia nie byłem godzien wogóle nigdy, żem zgnił moralnie za życia.

Ostatnie słowa jej do mnie były: „Jerzy!.. zmień się... miej trochę, troszeczkę dobrej woli...” To był jej testament, chciałem go uszanować!

Gorączkowo rzuciłem się do pracy. Rzucając się do niej, wołałem: zabiję się pracą! Praca jednak, zamiast zabić, ocaliła mnie. Zasmakowałem w niej; przejąłem się medycyną.

Przeszłość jednak i tutaj nie pozostała bez wpływu. Śród wszystkich gałęzi medycyny zajęła mnie najżywiej psychiatria. Marnujący się mózg ludzki, zawieszający prawidłowość swoich funkcyj, — to oburzało mnie najbardziej pośród mnóstwa chorób, trapiących kruchy organizm człowieka, któremi obdarzyła nas tak szczodrobliwie natura. Temu mózgowi chciałem pomagać, wydrzeć naturze tajemnicze środki, walczyć niemi, o ile się da, z potwornym szatanem obłędu, wżerającym się do skarbnicy myśli na-

szych, do kierowniczej pracowni naszego organizmu... Postanowiłem zostać lekarzem obłąkanych... Nie będę opowiadał, ile to kosztowało mnie pracy, jak bardzo musiałem się przezwyciężać. Częstokroć zdawało mi się, że między obłąkanymi spotykam Olszewskiego. Ilekroć nową chorą sprowadzono do szpitala, mimowoli przebłyskiwała mi w głowie myśl, że to Cezaryna. Wreszcie przezwyciężyłem się; osiągnąłem nawet zdrowie z obranej przezemnie gałęzi pracy: jakkolwiek zawsze uznawałem jeszcze, że granica między normalnym stanem umysłu a obłąkaniem jest nader ruchomą, to jednak ciągłe spotykanie się ze zdecydowanemi szaleńcami, maniakami, hallucynatami i t. p. pozwalało mi ocenić normalność funkcyj mojego umysłu; nie mogłem nie uczuwać kontrastu pomiędzy sobą a tymi chorymi, z któremi stykałem się ciągle.

Po roku rana mojego serca zagoiła się; wprawdzie pozostawała we mnie nieokreślona miłosna tęsknota, ale palącego bólu nienasyconej, zdeptanej miłości, nie odczuwałem już; miłość zagasła wraz z biegiem czasu, nie podsycana wrażeniami zewnętrznemi, których wymaga koniecznie, ażeby żyć mogła. Natomiast jednak wyradzał się we mnie poważny i głęboki smutek, smutek człowieka, który przeszedł w życiu wiele; na szczęście nie paraliżował on mojej woli: pracowa-

łem wytrwale, z zamiłowaniem i udało mi się odznaczyć konkursową rozprawą, za którą otrzymałem medal i wynagrodzenie ze specyalnych funduszów uniwersyteckich. Nawiasem mówiąc materyalne warunki mego życia w ostatnim roku pobytu na uniwersytecie poprawiły się znacznie: byłem stypendystą.

W oświetleniu tego spokojnego smutku, który mnie opanował, rozpatrywałem przeszłość. Zapomnieć jej nie mogłem. Było to nad moje siły. Częstokroć śród nocy bezsennych, lub podczas samotnej przechadzki, otwierała się w mojej pamięci księga wspomnień i wzruszony głęboko odczytywałem jej stronice: odtwarzałem wszystkie szczegóły naszej miłości, przypominałem sobie nasze rozmowy, wyobrażałem sobie ją, jej słowa, ton jej głosu; widziałem na nowo wszystkie obrazy, które przemknęły przed oczyma mej duszy w ciągu trzech niespełna miesięcy, spędzonych w Niemirówce. Pamięci mojej pomogły odnalezione przypadkowo pomiędzy książkami stare kartki: były to kawałki pamiętnika, oraz kilka napoczętych wierszyków z owego czasu. Odczytałem je ze łzami w oczach; ale od tej chwili, do mojej tęsknoty miłosnej przymięszało się rosnące wciąż, z biegiem czasu, pragnienie wylania na papier dziejów naszej miłości.

Jestem przecie trochę poetą... Nie dziw więc, że obrazy przeszłości otaczały mnie wszę-

dzie, goniły za mną, prosiły się, abym je wydobył z głowy. Odczuwałem teraz coraz mocniej potrzebę zadośćuczynienia prośbom tych natrętnych mar wyobraźni: jeżeli to uczynię, skończę nareszcie z niemi, będzie mi lżej... Goethe oddzielił się od swojej miłości „cierpieniami młodego Werthera".

Pragnąłem również odtworzyć idealną duszę Cezaryny, oprawić ją w ramy poezyi, ażeby w mroku życiowej prozy zaświeciła ona oczom tych, którzy kochają duchowe piękno. Chciałem wreszcie dać sobie wyraźny policzek, czarno na białem potępić swoje postępowanie... Może, myślałem, to przyznanie choć w części okupi moje winy... może okaże się, że bardziej byłem nieszczęśliwym, niż winowajcą...

O, bo zaprawdę, byłem nieszczęśliwem dzieckiem naszego przemądrego, nerwowego wieku!..

XVII.

Po półtora roku, kiedym uzyskał dyplom lekarski i uczuł się wolnym zupełnie, nie mogłem się oprzeć tęsknocie.

— Pojadę tam...

— Jakaś słaba nadzieja, do której nie chciałem się przyznać, zamigotała mi.

Serce mocno mi biło, kiedym zbliżał się do ich domu... Też same to były pola, taż sama ulica, tylko wszystko to teraz pokrywał śnieg. . na nim odznaczały się błotne koleiny.

Najgłówniejsza zmiana zaszła w drzewach: topole wysadzające ulicę, były nagie; suche, posępne ich gałęzie wznosiły się do góry, ogołocone z liści. Również białe ściany domów przeświecały jaśniej przez te pęki rózeg, w które zmieniły się dawniejsze eleganckie zielone ogródki.

Zbliżyłem się do ich mieszkania. Zamarznięte szyby nie wydały przedemną, co się działo wewnątrz.

W ogrodowej furtce stał opasły niemiec z fajką w zębach, w haftowanej czapeczce na głowie, w watowanym zielonym szlafroku, wygodnie leżącym na krępej jego figurce.

Znałem go z widzenia. Mieszkał już wówczas u pani Olszewskiej. Nie mówiłem z nim nigdy, gdyż uprzedzono mnie, że był bardzo milczącego usposobienia.

— Pani Olszewska w domu?... Nie wie pan?—spytałem drżącym od wzruszenia głosem.

Kazał to sobie dwa razy powtórzyć, bo był przygłuchy.

— Kein Olczecka niė miszka... To moja dom... ja kupila...

Zamilkł i flegmatycznie pociągnął dym z fajki.

Stałem przed nim, milcząc.

Wtem jakiś głos zmusił mnie do odwrócenia się.

— Rany Chrystusa! to pan Myrsza! jak się zmienił!

Mówiąc to, stara Szczepanowa ze wzruszenia opuściła węzeł fartucha, z którego wypadło kilka drew, niesionych na ogień. Jęła je podnosić.

— Pani Olszewska?.. panienka?.. co?—zapytałem pośpiesznie.

Do mieszkania nie śmiałem wejść, nie uprzedziwszy o mojem przybyciu.

— To pan nic nie wie? — pokiwała smutnie głową.

— Co się stało?!.. mówcie! mówcież!..

Przeszedł mnie dreszcz, potem gorąco.

— Toć przecie pan Olszewski umarł... pani sprzedała dom... Ja teraz u tego pana służę — pokazała na niemca—i wyjechali do Kijowskiej gubernii, do krewnych pani.

— A cóż?.. panienka zdrowa?..

— A tera to pewnie i zdrowa... ale zmizerowało się paniątko... Wtedy, wtedy, mieliśwa kłopot... niech pan Jezus zachowa drugi raz... Chorowała nasza panienka... o, i jak ciężko... myśleliśwa, że się nie podźwignie z łóżka bez tę gorączkę... A potem jeszcze pan nasz umarł.. nic panience nie można było mówić, ale zgadła sama, zgadła... O, to Matka Boska cudowna sprawiła, że panienka wyzdrowiała... Jakiś doktór był tu... żal mu było... zajął się tą panienką... dobry, stary doktór... niech mu tam pan Bóg da wszystko... Wyjechał potem, ale panienka była już znacznie zdrowsza... A wie pan co? W malignie to ciągle pana wołała: Jerzy! Jerzy!.. Tośmy z panią płakali i Marysia tyż... Pani chciała posyłać po pana, ale panienka, jak tylko była przytomna, to cięgiem mówiła: „Mamo! mamo! jemu ta nic nie pisać!.. on bez to będzie cierpiał... Ja nie chcę, nie chcę!.. Ja chcę umrzeć". Dobra to panienka, dobra... Nie było to panu z nią się ożenić?...

Pomarszczoną, grubą ręką poczęła ocierać łzy, wiszące na jej siwych oczach.

— Nie gadala stara tyle! — wrzasnął niemiec — do robota!

Oparłem się o parkan ogródka, bezmyślnie oglądałem ten dom, w którym mieszkaliśmy kiedyś. Potem machinalnie zawlokem się po grubej warstwie śniegu do parku i śród zimna długo siedziałem na wilgotnej ławce.

— Skończyło się! skończyło! wyjechała! Nie wrócić już przeszłości!.. a i po co ją wracać?..

Ogromna blada źrenica zimowego słońca patrzyła na mnie obojętnie... Wrony z krakaniem siadały na wysokich drzewach, zrzucając śnieg z grubych gałęzi... A ja rozmyślałem o tej przebrzmiałej pieśni mojego życia, tak harmonijnej a tak pełnej dysonansów, wygranej na delikatnych strunach jej serca, na drżących strunach moich nerwów...

Epilog.

Po długich staraniach i ogłaszaniach się w gazetach, otrzymałem wreszcie dwie oferty. W K. ofiarowywano mi miejsce asystenta przy profesorze psychiatryi, w S. miejsce młodszego lekarza przy oddziale dla obłąkanych w miejscowym szpitalu.

Pomyślny rezultat poszukiwań przypisywałem nagrodzonej medalem rozprawie z zakresu psychiatryi, która, dzięki niejakiej oryginalności poglądów, imię moje uczyniła do pewnego stopnia głośnem nawet w Cesarstwie.

Na chybił trafił wybrałem K., dotąd udałem się niezwłocznie.

Przed przyjęciem obowiązków zapragnąłem poprzednio rozejrzeć się w szpitalu.

Tu przytrafił mi się następujący wypadek.

Mimo przestróg dozorcy, jako oswojony z obłąkanymi, śmiało wszedłem do pokoiku furyata. Ale jakież było moje przerażenie, kiedy ten ostatni popchnął mnie nagle w głąb izby, poczem, zatrzasnąwszy drzwi, zaparł je plecami przed dobijającym się posługaczem. Twarz miał

dziką, rozrastającą się ku dołowi, kańczastą, o czworokątnym nieledwie podbródku, o zwierzęcym wyrazie w rozwartych ustach, ukazujących dwa rzędy ogromnych, zdrowych zębów. Dyszał ciężko, śledząc mnie ostremi maleńkiemi oczyma, przypominającemi oczy drapieżnego ptaka.

— A ty złodzieju jakiś! — wołał do mnie — to ty się będziesz napraszał do hrabiego?! Poczekaj, rozbiję ja ci tę mordę, rozbiję!

Ochłonąłem cokolwiek z przerażenia i ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, stojąc nawprost niego, wsparty o zakratowane okno, czekałem, co będzie dalej.

Ratunek wydawał mi się nader wątpliwy. Sądziłem, że lada chwilę szaleniec skoczy na mnie i udusi mnie. Siłę miał olbrzymią; dwóch dozorców, dobijających się od zewnątrz, nie mogło wepchnąć do wnętrza drzwi, które zaparł szerokiemi plecami. Walka jego z tym naporem ocalała mnie tymczasem.

Słyszałem krzyki trwogi w korytarzu. Jakiś głos zawołał: po siostrę Annę! niechaj poślą po siostrę Annę!..

Potem jakiś radosny okrzyk: Siostra Anna idzie... jest tutaj... spieszy...

Furyat śledził mnie oczyma. Stałem wciąż ze skrzyżowanemi rękoma i mierzyłem go wzrokiem spokojnym, usiłując przełamać jego zacie-

kłość. Ale z rzucania się jego wnosiłem, że chwila stanowcza zbliża się.

Wtem jakiś głos, pełny słodyczy, dziwnie melodyjny ozwał się z zewnątrz.

— Józefie! mój Józefie! wpuśćcie mnie. To ja, wasza dobra siostra Anna... Wpuśćcie...

Coś znajomego uderzyło mnie w tym głosie... A tu nagle ujrzałem, że wściekłość znikła z twarzy furyata; jakiś uśmiech zwierzęcia zjawił się na niej. Zwolnił napór pleców i odsunął się.

Otworzyły się drzwi i weszła młoda smukła kobieta, w czarnej sukni, w płóciennym kapturku na głowie... Podeszła, wyciągnęła ku mnie rękę i rzekła:

— Pozwól pan, nie lękaj się pan ze mną niczego...

Lecz tu urwała i przez chwilę przystanęła w miejscu. Z mojej piersi wydobył się stłumiony okrzyk zdziwienia: ta smukła postać... blada, szczupła twarz... te mocno ciemne oczy... nie mylę się: to Cezaryna!

Ale ona już opanowała wzruszenie. Podała mi rękę spokojnie, po przyjacielsku i wyprowadziła mnie z pokoju, idąc pomiędzy mną a furyatem i łagodnie kiwając głową...

Szedłem za nią w milczeniu, nie dowierzając sobie jeszcze, że wszystko to jest prawdą. To dziwne spotkanie, to ocalenie przez nią to chyba wytwór rozdrażnionej wyobraźni! A jednak, jestem prze-

cie na jawie, znajduję się w K., w domu obłąkanych, byłem tam, w pokoiku tego furyata i ona, ona, której nie spodziewałem się nigdy więcej zobaczyć, idzie tuż przedemną, w kapturku, w długiej czarnej sukni z białym fartuszkiem, w stroju siostry miłosierdzia. Życie jest fantastyczniejszem pomięszaniem wypadków, niż najnieprawdopodobniejsza powieść!

W milczeniu wyszliśmy na przedsionek, przed którym rozciągał się ogród szpitalny, w tej chwili zupełnie pusty. Lekki wiatr zrywał pożółkłe liście jesienne i rzucał je na ziemię, gdzie leżało ich mnóstwo, tylko jeszcze bardziej zeschłych i rozwiniętych. Smętny blask zbliżającego się ku zachodowi słońca, blado rozświecał atmosferę.

Byliśmy sami.

— Więc pani jesteś tutaj siostrą miłosierdzia?

— Tak panie — odrzekła poważnie, patrząc mi w twarz spokojnem okiem.

Nie było tam już żywego, dziewczęcego blasku; nie pozostało zeń ani śladu. Było to spojrzenie łagodne, melancholijne, spojrzenie kobiety. Jakiś spokój, jakby nie z tego świata, rozlewał się po jej licach.

— A cóż matka pani?...

— Jest w pobliżu K., przy moim wuju, chorym na reumatyzm, przy bracie...

— Pani... pani — ozwałem się po chwili milczenia — nie wiem, czy mi nawet wolno o to pytać... lękam się...

— Mów pan — rzekła prosto.

— Zawiniłem wobec ciebie ciężko... Powiedz mi, czy masz do mnie urazę... żal...

— Żadnego żalu do nikogo w mojej duszy niema. Wiem, że pan byłeś nieszczęśliwy... zrozumiałam cię... żałowałam ciebie — dla ciebie...

— Dziękuję.

Pochyliłem głowę na piersi. Czułem, że mi teraz do niej zbliżać się nie wolno.

Ona pierwsza przerwała milczenie.

— Pan się bardzo zmieniłeś... jesteś blady..

— Cierpiałem ..

— Cierpienie oczyszcza.

Nowa, długa chwila milczenia.

— Czy pan zostaniesz w K?..

— Nie, pani; teraz... nie...

— To i lepiej — odrzekła cicho—nie należy patrzeć na stare rany.. Czy pan masz inne miejsce?

— Dostanę w S., także w szpitalu obłąkanych, ale... daleko ztąd...

— Jedź pan... i... weź moje błogosławieństwo na drogę.

— Dzięki serdeczne... Z przebaczeniem pani lżejszem mi będzie życie...

Jakiś cichy spokojny żal rozlewał się w mojej piersi. Było to łagodne, przyjemne cierpienie... błoga tęsknota.

— A więc żegnaj pan — ozwała się, poda-

jąc mi rękę, której ośmieliłem się dotknąć zaledwie przelotnie — żegnaj. Gdziekolwiek los cię poniesie, pomagaj nieszczęśliwym, nie rachując na własne szczęście... W tem bowiem właśnie ono się zawiera. To najwyższe szczęście na ziemi udało mi się osiągnąć... Nic więcej nie pragnę...

I rozstaliśmy się... a odtąd nie widziałem jej więcej... Korzystam z jej ostatniej rady, pomagam nieszczęśliwym, i... i... jestem szczęśliwy, jak potrafię... jak możebnem jest na tym świecie... szczęśliwym... jak ona!

K O N I E C.

13 Października 1888 r.

Druk. i Litogr. Jana Cotty
Warszawa.